

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LIPIEC 2019/4

magazynhisteria.pl

DZIWNY DOM
NOCNE MARY
PASSA
PIEŚŃ SKOWRONKA
PRZEDWCZESNY ZACHÓD SŁOŃCA
SIEDEM DNI UWOLNIENIA
TAŃCZĄCY PŁOMIEŃ
WIZYTA
Z GŁĘBI MORZA
ZEW



SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
DZIWNY DOM	Mateusz Chariton	4
NOCNE MARY	Paulina Ciupak	22
PASSA	Daniel Krawczyk	33
PIEŚŃ SKOWRONKA	Antoni Nowakowski	45
PRZEDWCZESNY ZACHÓD SŁOŃCA	Robert Zawadzki	63
SIEDEM DNI UWOLNIENIA	Paweł R. Ofiarski	75
TAŃCZĄCY PŁOMIEŃ	Filip Cholewczyński	91
WIZYTA	Bartłomiej Mucha	107
Z GŁĘBI MORZA	Agnieszka Fulińska	111
ZEW	Dariusz Bednarczyk	128

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka : Joanna Widomska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Roman Panasiuk, Małgorzata Siłkowska, Izabela Wojciechowska, Zvyrke

Korekta: Kaja Jaroszewska, Joanna Korytko

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami lipcowa Histeria. To już trzydziesty trzeci numer!

Wśród dziesięciu tekstów grozy znajdziecie m.in. trzy finałowe opowiadania z *Wakacyjnego konkursu literackiego*.

Życzymy strasznej lektury i wracamy do prac nad wrześniowym wydaniem.



B. Jaworski i M. Zawadzki



DZIWNY DOM

Mateusz Chariton

Ostatnio wydarzyła się dziwna sprawa. Przyszedł do mnie człowiek, na pozór zwyczajny. Taki, co prawdopodobnie mieszka niedaleko ciebie. Średni był w każdym calu. Lecz to, co mi opowiedział, było dalekie od słowa „zwyczajne”. Znamy się od wielu lat, byliśmy kiedyś najlepszymi kumplami, ale teraz rzadko się widywaliśmy. Ja zostałem dziennikarzem w lokalnej gazecie a on... Tego nie wiedziałem, w końcu na dłużej spotkaliśmy się ostatnim razem w liceum. Przyszedł zziębnięty do mojego biura, było widać, że biegł. Zapytałem, czemu tak się spieszy. Odpowiedział, że to nieważne. Prosił mnie jednak, bym wysłuchał tego, co ma do przekazania, i żeby w razie wydania tego zachował anonimowość. Tak więc od razu przeszedł do opowieści, wcześniej uprzedzając mnie, że brzmi to bardzo nieprawdopodobnie, ale wydarzyło się naprawdę.

To, co usłyszałem później, miało mi zapaść w pamięć do końca moich dni. Historia zaczęła się całkiem niewinnie. Wspomniany wcześniej człowiek właśnie przeprowadził się do swojego nowego lokum na obrzeżach miasta, w małym lesie. Jego

zawód wymagał ciszy i skupienia, dlatego przeniósł się z dala od zgiełku. Był to stary przedwojenny, a może i starszy dworek szlachecki. Normalnie nie byłoby go stać na taki dom, nie był przesadnie biedny, ale do bogatych też nie należał. Posiadłość ta była spadkiem po starej ciotce, która była starszą siostrą jego dziadka od strony matki. Była bezdzietną wdową. Jej mąż zginął podczas wojny. Należał on do lokalnego oddziału partyzantów, który to bardzo często przeprowadzał zbrojne akcje przeciwko okupantowi. Z jednej takich potyczek już nie wrócił.

W każdym razie mąż ten, którego imienia nigdy nie poznałem, należał do wiekowej szlacheckiej rodziny, której linia wygasła właśnie na nim. Ciotka nie bardzo interesowała się tym dobytkiem, mimo iż teraz należał do niej. Zawsze wolała swoje małe mieszkanie w kamienicy w środku miasta. Dlatego też po przyjeździe zastał domostwo w stanie praktycznie ruiny. Musiał je odremontować. Wynajął więc ekipę budowlaną, która zrobiła część prac. Tak jak już wspomniałem, mężczyzna ten nie był bogaty, dlatego też nie miał środków na remont całości. Jednak wystarczyło na tyle, żeby w tym miejscu zamieszkać. Sama przeprowadzka nie miała trwać długo, ponieważ nie miał wielu rzeczy, zawsze otaczał się tylko najpotrzebniejszymi do życia przedmiotami. Mebli też nie musiał przenosić, zostały stare, a jednakowoż przepiękne, bogato zdobione, po poprzednich właścicielach. Pierwszym, co zobaczył po przyjeździe, był taras przed drzwiami do środka, na który prowadziły dwa schodki. Gdy wszedł, przywitał go piękny, ciemny, dębowy parkiet, a także ściany i wysoki sufit, nad którym znajdował się duży strych, wszystko wyłożone klasycystyczną boazerią. Najpierw udał się do łazienki. Mniej więcej wiedział, co gdzie jest. Wy tłumaczyli mu to budowlancy, którzy tu buszowali, chociaż i oni nie wiedzieli wszystkiego o tym budynku i nie wszędzie byli.

Łazienka była wyłożona czarnymi i białymi płytkami z ceramiki. Na nich spoczywała wanna na czterech ozdobnych nóżkach, umywalka na wymyślnym, przypominającym lwa filarze oraz toaleta. Ze ścian zaś wystawały miedziane krany z ozdobnymi sześcioramiennymi kurkami.

Wszystko to sprawiało, że było czuć bogactwo dawnej rodziny, która tu żyła. Jednocześnie cały ten przepych był utrzymany w dobrym smaku i bez przesady.

Po załatwieniu potrzeby poszedł zobaczyć resztę domu. Po wyjściu z łazienki poszedł korytarzem w prawo. Znalazł się w ogromnej bawialni. Podłoga była marmurowa, ściany do połowy pokryte boazerią, a druga połowa tapetą. Znajdował się tam kominek wyłożony kafelkami, obok którego leżał pogrzebacz i popielnik. Stał tam też fortepian. Podeszedł do niego i chciał zacząć coś grać, ale okazało się już od

pierwszego dźwięku, że instrument jest rozstrojony. Nad tym wszystkim wisiał duży żyrandol z kryształu, który miał oświetlać nocne tańce i zabawy. Za dnia światło dostawało się do środka przez wielkie okna. Znajdowały się też tam drzwi prowadzące do niegdyś cudownego ogrodu, teraz zarośniętego wysoką trawą oraz licznymi chwastami, których nie potrafił nazwać. Zobaczył też drzewa owocowe, które tam rosły i na których były jeszcze owoce. Jabłoń, grusza, śliwka. Zerwał jedno jabłko. Było to najśłodsze jabłko, jakie jadł w swoim życiu. Rozkoszował się każdym gryzem i wyobrażał sobie tamte dni. Bale tutaj organizowane, na których ludzie tańczyli niczym w ekstazie, śmiejąc się. Ogród, w którym teraz przebywał, pełen kwiatów, owoców oraz caującą się tutaj parę młodych ludzi. Kawalera wyznającego swą miłość oraz zawstydzoną pannę. Rozmarzony wrócił do środka w dobrym humorze. Myślał, jakim sposobem przywrócić świetność tego dworu. Nie stać go. Nawet gdyby wszystko sam zrobił, musiałby mieć służbę, która pomoże mu to wszystko utrzymać, jednak to wiąże się z ponoszonymi przez długi czas kosztami. Starając się nie męczyć tą myślą, udał się zwiedzić resztę domu. Znalazł się w gabinecie. Był dość mały w porównaniu z tym, co już zobaczył, na tyle jednak przestronny, by zmieściło się tam biurko, szafa, jednoosobowe łóżko, na wypadek gdyby pracujący tu pan domu przysnął przy pracy lub pokłócił się z żoną. Był tam też barek oraz biblioteczka, na której wciąż znajdowały się książki. Co prawda zakurzone i z pożółkniętymi kartkami, lecz nadal nadawały się do czytania. Nie miał teraz na to czasu, zerknął tylko na tytuły. Wszystko dotyczyło biologii, chemii, anatomii, ludzkiej fizjologii, chorób i innych tego typu tematów. Wskazywało na to, że pan domu był lekarzem. Z myślą, że jest to idealne też dla niego pomieszczenie do pracy, poszedł dalej. Teraz czas na najważniejsze dla niego, zaraz po łazience, pomieszczenie – sypialnię. Znajdowało się tam duże dwuosobowe łóżko małżeńskie z baldachimem, przy nim po obu stronach szafki nocne, w rogu pokoju toaletka dla pani domu oraz drugi już spotkany barek dla pana, była tam także ogromna garderoba, w której to wciąż znajdowały się ubrania poprzednich właścicieli. Wytworne suknie balowe, suknie wyjściowe, codzienne, jak również garnitury, marynarki, frak i koszule. Były tam też drzwi, o których nie wiedział, co kryją. Otworzył je lekko. Ukazał mu się pokój dziecięcy. Po środku stało białe łóżeczko z barierkami, nad którym zakręciła się od podmuchu powietrza otwieranych drzwi karuzela z księżycem, gwiazdkami i słoneczkiem, znajdowała się tam też w tej samej kolorystyce szafa na ubranka, pod oknem kolorowa skrzynia na zabawki, szafka na rzeczy potrzebne do pielęgnacji maluszka, a z półek ściennych zerknęły na niego pluszami, przez co czuł się trochę nieswojo. Wraz z tym widokiem naszała go melancholia. Myślał o swojej jakże kiepskiej

sytuacji życiowej. Trzydziestoletni artysta malarz dorabiający na malowaniu pokoi, bez pieniędzy, kobiety i dzieci.

– Może kiedyś się to zmieni – mówił sam do siebie. – Wtedy ten dom będzie idealnym miejscem dla pełnej rodziny.

Westchnął. Było późne popołudnie, powolnymi krokami zbliżał się wieczór. Od rana nic nie jadł, zgłodniał i ssało go w brzuchu.

Przypomniawszy sobie, że przed wyjazdem przygotował sobie jedzenie, wystarczyło tylko je podgrzać. Po krótkim błądzeniu po posiadłości znalazł się w wielkiej sali z dużym kominkiem, kilkoma obrazami oraz ogromnym stołem z wieloma krzesłami, na którym stał świecznik z ciemnego złota z miejscami na trzy świece, a nad nim żyrandol też jakby z ciemnego złota. Wyglądał, jakby kiedyś był na świeczki, a teraz żarówki.

Pośród boazerii ledwo było widać drzwi prowadzące do kuchni, gdy przez nie przeszedł, zobaczył pomieszczenie całe wyłożone białymi kafelkami. Znajdowała się tam staromodna lodówka sprzed ery elektryczności, chłodziarka na prąd i kaflowy piec na węgiel. *Węgiel, skąd ja wezmę do cholery węgiel? Mogłem się domyśleć, przecież to wiekowy dom, w którym nikogo pewnie nie było od prawie stu lat, skarcił się w myślach. Ogrzewanie też pewnie jest na węgiel, jak dobrze, że jest lato i nie muszę się teraz tym martwić. W każdym razie muszę znaleźć lub jechać do miasta i zakupić trochę. Tyle dobrego, że przynajmniej o żarówkach pomyślałem, bo byłoby kiepsko.*

Udał się w kierunku piwnicy. Wejście do niej znajdowało się niedaleko wyjścia z domu, po prawej stronie, jakby w ukrytej komórce. Po lewej zaś było wejście na poddasze. Zszedł na dół. Było tam zimno, wilgotno i ciemno ze względu na to, iż tylko jedna nieosłonięta żarówka oświetlała całe pomieszczenie. Pierwsze, co ujrzał, to półki z winem. Uśmiechnął się. Nieopodal znajdował się piec grzewczy i trochę opału w postaci kocyka węgla oraz trochę spróchniałego drewna. Do kosza, który stał obok, zapakował po trochu obu i wrócił przygotować sobie jedzenie. Gdy posiłek był już ciepły, przełożył go na porcelanowy talerz, wyjął srebrne sztucce i usiadł na szczycie stołu, jak to należało gospodarzowi, i zjadł.

Po kolacji nalał sobie wody do wanny, umył się i trochę poleżał w ciepłej wodzie, zrobiło mu się tak przyjemnie, że na trochę usnął. Obudził się, gdy woda była już zimna. Wyszedł więc, wyszczotkował zęby. W sypialni wygodnie usadowił się na podwójnym łóżku i po chwili zasnął po dniu tak pełnym wrażeń. Śniły mu się rzeczy bardzo dziwne i straszne. Wyczuwał też jakąś obecność. Rano przebudził się całkiem spocony. Tłumaczył to sobie wszystko jako normalną reakcję na przeprowadzkę do nowego, nieznanego miejsca.

Tego dnia ludzie z firmy przewozowej mieli mu dostarczyć jego rzeczy z poprzedniego mieszkania. Zastanawiał się, co jest mu z tego wszystkiego naprawdę potrzebne. Po chwili doszedł do wniosku, że już nie ma niepotrzebnych rzeczy. Oprócz chyba paru koszulek, których i tak nie nosił, ale przydadzą się na szmaty. Koło godziny jedenastej miał już swoje rzeczy na miejscu. Spierał się trochę z tragarzami.

– Proszę wnieść do środka te rzeczy. Zwłaszcza te cięższe.

– Panie, wnieś je sobie sam. My nie od tego.

– Jak nie od tego, jesteście przecież tragarzami.

– Jakimi tragarzami? Firma przewozowa. Umiesz pan czytać?

– Szanowny panie, ewidentnie gdy dzwoniłem, zaznaczyłem, że trzeba także wnieść do środka, więc niech pan mi tu nie wciska kitu.

– Mnie szef nic takiego nie mówił.

– To może zadzwonimy do niego? Co pan o tym myśli?

– Dobra, już dobra. Czego się tak denerwuje?

Po chwili rzeczy znalazły się tam, gdzie wskazał. Lodówka i mikrofała w kuchni. Telewizor w bawialni. Sprzęt muzyczny w sypialni. Pudła z ubraniami zostawili na zewnątrz. Laptop osobiście umieścił w biurze. Po kilku godzinach wszystkie pudła były rozpakowane, a ubrania poukładane. Największy problem miał z telewizorem. Summa summarum znalazł się w sypialni, naprzeciw łóżka, na drugiej szafce nocnej, która nie była mu potrzebna. Gdy już wszystko było skończone, została mu tylko jedna sprawa, najważniejsza ze wszystkiego. Sztaluga, płótna, pędzle, farby i wszelkie pozostałe akcesoria do malowania jego obrazów.

Było to jego pasją, odkąd pamiętał. Rodzice nie popierali jego zainteresowania. Chcieli, by ich syn poszedł na dobre studia, został lekarzem, prawnikiem, farmaceutom czy cokolwiek innego, co zapewniałoby mu spokojne i dostatnie życie. Co innego miał w głowie, ale rzadko o tym rozmawiał, ponieważ zawsze kończyło się to awanturą. W szkole uczył się bardzo dobrze, nie żeby był tak zwanym szóstkowym uczniem, ale jego oceny zadowalały rodziców, lecz każdą inną wolną chwilę, czy to po całym dniu nauki, weekendy, czy święta i wakacje, malował. Był wtedy jak opętany, jak w jakimś transie. Wpierw jego dzieła nie przypominały niczego, czym mógłby się pochwalić, z czasem jednak stawały się coraz lepsze. Kupował sobie książki na temat technik, albumy z ilustracjami obrazów największych mistrzów malarstwa na przestrzeni wieków. Niektóre z nich dla ćwiczeń odwzorowywał, zazwyczaj te, które uważał za łatwiejsze, na przykład „Słoneczniki” Van Gogha, „Krzyk” Muncha czy „Kobietę z parasolką” Moneta. Sam jednak najbardziej lubił malować martwą naturę i pejzaże. Te, które uważał za najlepsze, sprzedawał na targu w mieście. Nie były to

wielkie pieniądze. Wszystko, co uzbierał, wydawał na nowe płótna i coraz to bardziej profesjonalne narzędzia.

Miesiąc po skończeniu osiemnastki, którą to obchodził dwudziestego pierwszego stycznia, pomimo zimna znów poszedł na targ sprzedawać swoje obrazy. Stojąc na mrozie i licząc pieniądze, myślał, jak oznajmić rodzinie, że jednak nie idzie na prestiżowe studia wyższe, a do akademii sztuk pięknych. Każdy scenariusz wydawał mu się zły, aczkolwiek miał jeszcze trochę na to czasu. Pewna kobieta, na oko koło czterdziestki, wyrwała go z zamyślenia. Była ubrana w modny, elegancki i jak mniemał drogi płaszcz, rękawiczki ze skóry oraz czarny szal, który też wyglądał na nietani. Na szyi wisiała czarno-złota kolia. Twarz zaś zdobił delikatny, podkreślający jej urodę makijaż.

– Dzień dobry, który obraz pani chciałaby lub mogę coś zaproponować?

– Dzień dobry, tak właściwie to jestem zainteresowana tym obrazem. – Wskazała palcem na obraz przedstawiający ciemny las nad jeziorkiem, w którym odbijał się blask księżyca w pełni, na drugim brzegu znajdowały się trzy sarny, samica i dwoje małych, zaś gdzieś w tle majaczyły góry.

– Proszę bardzo, należy się sto złotych. – Kobieta wyciągnęła z portfela pieniądze.

– Proszę. – Gdy artysta wyciągnął rękę po banknot, klientka cofnęła rękę.

– Mam dla pana jeszcze jedną propozycję. Jestem mecenasem nowo otwartej miejscowej galerii sztuki o nazwie Pejzaż. Naszym celem jest przedstawienie największych klasyków tego tematu, jak i obiecujących debiutantów. Czy chciałbyś sprzedać nam swoje dzieło?

Zamurowało go, nie wiedział, co powiedzieć. Był taki młody, a już jego malunek miał się znaleźć w galerii.

Przez chwilę, kiedy jeszcze nie doszedł do siebie, kobieta kontynuowała.

– Niestety wielkich pieniędzy z tego nie będziesz miał, przynajmniej na początku. Mogę zaproponować ci, hmm, powiedzmy, pięćset złotych na miesiąc plus odpowiednią kwotę na przyrządy do pracy.

– T... tak, zgadzam się. Bardzo chętnie – wydukał.

– Zatem ustalone. A ten to wezmę za tysiąc dwieście.

– Proszę bardzo, pani...?

– Barbara Styczyńska.

Obraz zapakował starannie niż innym klientom. Ona przekazała mu odliczoną kwotę. Ukradkiem zauważył, że w jej portfelu wciąż znajdował się spory plik banknotów. Przed rozstaniem wymienili się numerami telefonów. Do końca dnia miał szczery uśmiech na

twarży. Czuł, że jeszcze nigdy nie był tak zadowolony i szczęśliwy jak w tym momencie. Nic, absolutnie nic, co się wydarzyło jeszcze w tym dniu, nie popsło tego humoru. Po powrocie do mieszkania czym prędzej pochwalił się swoim osiągnięciem. Niestety ta informacja nie sprawiła równej radości domownikom. Wywiązał się kolejny spór.

– Mamo, tato. Udało mi się!

– Co ci się udało, synku? – spytała matka. Nie była ona kobietą brzydką, ale do pięknych też nie należała, chociaż dla ojca była miss świata. Za niedługo miała kończyć pięćdziesiąt lat. Wciąż była w pełni energii, uprawiała sport, co przekładało się na jej sylwetkę i kondycję. Słuchała także dużo muzyki i to właśnie ona była zazwyczaj ich nicią porozumienia.

Ojciec podniósł głowę znad książki, zdjął staromodne okulary, które trzymał na łańcuszku. Twarz miał pociągłą, z długą i dość gęstą brodę, co jeszcze bardziej ją wydłużało.

Można rzec, że przypominał on dobrego czarodzieja z baśni.

– Moje dzieło będzie w galerii sztuki! – Nie pochwalił się im jednak, ile dostał za obraz oraz ile będzie zarabiał od galerii.

– Te twoje bazgroły?! Phi. Wziąłbyś się bardziej przyłożyć do nauki. Za rok masz maturę. Musisz ją dobrze zdać, żeby dostać się na studia – powiedział ojciec.

– Dużo ludzi kupuje, jak to powiedziałeś? „Moje bazgroły”. Poza tym nie chcę iść na te studia, o których WY marzycie. Mam zamiar udać się do akademii sztuk pięknych – w końcu powiedział to, z czym tak zwlekał i czego się tak straszliwie bał.

– Jaka akademia?! Nie ma mowy! Chcesz żyć jak biedak? Chcesz być bezdomnym? Tak, tego właśnie chcesz? – Wściekł się, co było naprawdę rzadkim widokiem. Zawsze był człowiekiem spokojnym. Nie pamiętał go w takim stanie, w takiej furii. Matka stanęła za fotelem i położyła czule ręce na ramionach mężczyzny.

– Zdzisław. Odpuść mu. Ma osiemnaście lat, niech robi, co chce.

– Robię to dla jego dobra. Jego przyszłości, żeby miał jakieś wykształcenie porządne, prestiż, pieniądze...

– Kochanie. On tego nie chce. Malowanie mu sprawia radość, a jego szczęście powinno być dla nas na pierwszym miejscu, niezależnie od tego, co myślimy o jego decyzji.

– Może masz rację. Pójdę jeszcze raz z nim porozmawiać.

Zapukał do pokoju syna i nie czekając na odpowiedź, wszedł. Nie spodziewał się tego, co zobaczył.

– Co ty robisz? – spytał zdziwiony.

– Nie widać? Pakuję się – odbąknął, pakując ostatnie potrzebne mu rzeczy. Stąd właśnie wzięła się jego lubość do zabierania ze sobą tylko tego, co najpotrzebniejsze. Wbrew pozorom była to jedna z najlepszych jego decyzji i mimo kłótni wspominał ten dzień jako szczęśliwy.

– Gdzie się zamierzasz podziąć? – spytał go na pół zatroskany i na pół zszokowany ojciec.

– Dzisiaj przenocuję w hotelu. Potem poszukam czegoś na stałe – odpowiedział, jakby to była najnormalniejsza rzecz w świecie.

– Synu. Przepraszam cię, niepotrzebnie się uniosłem. Zostań, to nie jest konieczne – przekonywał.

– Tato. Wiem, że nie chciałeś, rozumiem. Myślę jednak, że tak będzie dla nas wszystkich lepiej. To jest ten czas, bym wyfrunął z gniazda – stwierdził. Ojciec czuł, że chłopak ma rację. Chciał, żeby został, żeby się ciągle nim opiekować jak dawniej. W jego oczach wciąż był małym chłopcem, tym bobasem, którego tak starannie pielęgnował.

To przeminęło. Teraz był pełnoletnim mężczyzną.

– Słuchaj. Nie musisz iść do hotelu...

– Tato, postanowiłem...

– Nie przerywaj mi. Nie musisz iść do hotelu. Mój kumpel ma kamienicę w centrum miasta i niedawno zwolniło mu się mieszkanie. Nic specjalnego, ale...

– Dziękuję, że chcesz mi pomóc. Chętnie się tam zatrzymam na pewien czas, dopóki nie znajdę czegoś całkowicie swojego. Chcę też zaznaczyć, żebyś nie płacił za mnie, muszę sobie poradzić sam.

– Tak, dobrze, oczywiście. – Mimo żalu i smutku ojciec odczuwał też dumę ze swojego syna, że miał tyle odwagi podjąć ten krok, i szczęście, że może mu pomóc przynajmniej ten ostatni raz.

Od tamtej pory często się przenośli w różne miejsca, nigdzie nie zabawił więcej niż dwa, trzy lata. Jak już niejednokrotnie mówiłem, zabierał tylko te rzeczy, które uważał za najpotrzebniejsze. Rzadko coś nowego kupował, nie licząc akcesoriów do malowania. Ostatnim jego większym zakupem był telewizor, który jak się okazało, zaczął mu się po krótkim czasie nudzić i przestał prawie w ogóle z niego korzystać. Miał tylko jeden ulubiony program i to był jedyny powód, dlaczego go jeszcze nie sprzedał. Wszelkie narzędzia swojej pracy umieścił w gabinecie, było tam wystarczająco miejsca. Zastanawiał się jednak, czy nie urządzić sobie pracowni na strychu, ponieważ bał się zapachów, które mogą się stamtąd wydobywać. On był przyzwyczajony, nie czuł już ich w ogóle, lecz goście, którzy mogli tu

przyjść... Jacy goście? Przecież on nikogo nie zna, wszyscy zostali w mieście. Nieważne, będzie miał spokój, nikt mu nie będzie przeszkadzał. Ma coraz więcej zamówień i coraz mniej czasu.

Jego dzieła trochę podrożały od czasu spotkania pani Barbary, wciąż nie był jakimś bardzo sławnym artystą, jednak kwota, jaką otrzymywał z obrazów, z galerii i dorywczo malowania pokoi wystarczała, by spokojnie żyć. A propos, musiał jechać po nowe farby i płótna. Zamknął dom, wsiadł do auta i odpalił silnik. Po godzinie jazdy był na miejscu. Sklep plastyczny pana Stanisława Nowaka, przyjeżdżał tu od wielu, wielu lat. To właśnie w tym miejscu dostał swoją pierwszą małą sztalugę, płótno, pędzelki i farbki. Kiedy już tylko wszedł, pan Stasiu wiedział, kto idzie.

– O! Kogo moje stare oczy widzą. To, co zawsze?

– Dzień dobry, oczywiście, to, co zawsze.

– Co tam u ciebie? Znow się przeprowadziłeś?

– Tak. Do dużego domu, otrzymałem w spadku. Gdzieś godzinę jazdy stąd. Piękna okolica, mieszkam w samym lesie.

– Taki dworek, tak?

– Owszem. Skąd pan wie?

– Synu, już mam swoje lata, dużo widziałem i dużo słyszałem. Ostrzegam cię, wynoś się stamtąd czym prędzej. To plugawe miejsce.

– O czym pan mówi? Proszę powiedzieć coś więcej.

– To niemożliwe. Nie mogę. Tyle powiem, zwiewaj, póki ci życie miłe.

Zapłacił, wziął towar i gdy wychodził, usłyszał głos pana Stasia.

– Proszę cię, uciekaj.

Skinął tylko głową i udał się do auta. Zapakował wszystko do bagażnika i pojechał do swojej posiadłości, mając w głowie słowa starszego pana. Podczas podróży rozpętała się szaleńcza burza, nastąpiła ciemność niczym w nocy. Gdy dotarł na miejsce, szybko wziął rzeczy i pobiegł do domu. Po ustawieniu nowych płócien w gabinecie rozebrał się, rozpałił kominek, przy którym wysuszył swoje przemoknięte ubrania. Usiadł na fotelu przy kominku i rozważał. *Co ten sprzedawca miał na myśli? Nieważne, pewnie bredzenia starszego człowieka, oni często opowiadają zmyślane przez siebie opowieści lub przeinaczają już gdzieś zasłyszane.* Uspokajał sam siebie.

Dzień miał trwać jeszcze kilka dobrych godzin, ale otoczenie lasu oraz burza sprawiły, że noc nastąpiła już teraz. Poszedł do gabinetu, próbował coś namalować. Oprócz dawnego i sprawdzonego już tematu, dzięki któremu został zauważony. Nie mógł nic nowego zrobić.

Ostatnio dopadła go niezwykła zapaść twórcza, wena za nic w świecie nie chciała przyjść. Po dwóch godzinach starań zdenerwowany przewrócił sztalugę wraz z tym, co na niej się znajdowało. Przyszła chwila załamania. Trzeba było posłuchać rodziców i zostać lekarzem czy coś w tym rodzaju. Zachciało mi się być artystą do stu piekieł.

Gdy trochę ochłonął, wziął wiadro, wodę i zaczął czyścić gabinet. Podczas sprzątania pod łóżkiem znalazł bardzo starą, zapieczętowaną srebrem, drewnianą, inkrustowaną złotem szkatułkę. Byłby jej nie zauważył pod znaczącą warstwą kurzu. Pomyślał, że nawet dobrze, że przewrócił tę sztalugę, przynajmniej znalazł skarb. Zastanawiał się, czy ją otworzyć. Najpierw, bardzo skrupulatnie i z wielkim zaciekawieniem, zaczął oglądać samą pieczęć. Wyglądała jak krzyż z pięcioma wypustkami na każdym końcu ramienia, a w przestrzeni między ramionami znajdowały się swastyki, ale nie wyglądały one jak te nazistowskie. Pierwszy raz w życiu widział taki symbol, nie wiedział, co on oznacza ani co się stanie, gdy złamie pieczęć.

Był ateistą, nie wierzył w duchy, magię, bogów ani nic z tym związanego. Twierdził, że są to bajki dla ciemnego ludu, które próbują nam wytłumaczyć nieznanne zjawiska. Próbował otworzyć ręką, niestety srebro odparło jego atak. Drugą próbę przeprowadził przy pomocy noża. Udało się lekko odzepić, lecz nadal było zamknięte. Ostatecznie wziął dłutko do rzeźbienia, którego zaczął się niedawno uczyć dla przyjemności. Tym narzędziem udało mu się złamać zabezpieczenie. Otworzył szkatułkę.

Pustka, nic.

Nagle zgasło światło w całym domu. Ze szkatułki wydobywała się jakby zielonkawa poświata. Próbował zaświecić lampkę, ale żarówka pękła. Po minucie, góra dwóch, wszystko wróciło do normy, a poświata jakby wygasła. Trochę się wystraszył, ale doszedł do wniosku, że przez tyle lat musiały się wytworzyć tam jakieś wiązki, które dawały efekt fluorescencji.

Teraz jego priorytetem była wymiana pękniętej żarówki. Wykręcając starą, skaleczył sobie rękę, na szczęście nic poważnego, wystarczyła woda utleniona i mały bandaż. Po opatrzeniu sobie dłoni wkręcił nową żarówkę z tych, które sobie zostawił na zapas. Szkoda, że nie we wszystkim był aż tak przezorny.

Na dwie godziny przed zachodem znowu zrobiło się jasno. Wykorzystał ten czas na krótki spacer. W tym czasie ochłonął, opróżnił swoją głowę z myśli i chłonął każdy padający promyk słońca, jednocześnie słuchając arii słowików. Kiedy wracał, słońce nabierało pomarańczowej barwy. Posiedział trochę na tarasie, po czym zjadł kolację, wziął kąpiel w gorącej wodzie i wybrał się do krain Morfeusza. Noc była dla niego bardzo niespokojna, miał koszmary. Śnił mu się środek ciemnego lasu, w środku kamiennego kręgu, zakapturzeni

ludzie w ciemnych szatach kłaniali się w stronę ognia i wypowiadali słowa w jakimś niezrozumiałym języku. Jeden z nich miał trochę inne ubrania, bardziej zdobione, wyglądał na kogoś ważnego, był chyba mistrzem całej ceremonii, od czasu do czasu dosypywał jakiegoś proszku do ognia, wywołując tym zmianę barwy ognia na czerwoną i charakterystyczny dźwięk.

Od czasu do czasu powtarzało się jedno słowo, które było wypowiadane głośniejsz i z większą mocą – QUANTAR. Nagle kilku ludzi bez kapturów, w ubraniach wyglądających jak ze średniowiecza, przetransportowało kogoś związanego na prowizorycznych noszach, które składały się z dwóch grubych i wytrzymałych kawałków drewna i umocowanej między nimi szarej tkaniny. Teraz widział wyraźniej. Była to kobieta, nogi i ręce miała przymocowane powrozami, słychać było głuchy jęk i krzyk, miała knebel w ustach, który tłumiał wszelkie wydawane przez nią dźwięki. Postawili ją na kamiennym piedestale, po czym każda z postaci pokryła dziewczynę. Stojąc w ukryciu i przyglądając się temu, widział przerażenie i niezmierny ból w jej oczach. Chciałby jej pomóc, ale sam był jakby związany niewidzialnymi pętami.

Mistrz tego zgromadzenia wziął zdobiony srebrny sztylet i przeszył ciało kobiety. Trysnęła krew. Ona wciąż żyła, mistrz włożył rękę do jej klatki piersiowej i dosłownie wyrwał jej serce. Dziewczyna zmarła, lecz wcześniej zdążyła zauważyć, co się stało. Po tym wydarzeniu najwyższy kapłan odmawiał jakieś modły, trzymając wysoko jeszcze ciepłe serce. Po chwili wszyscy chóralnie coś odpowiedzieli, wtedy najważniejszy z nich wrzucił narząd do ognia.

Gdy kończyli ceremonię, jeden z nich zauważył go. Musiał uciekać, ale wciąż nie mógł się ruszyć. Gdy tamci już mieli go dotknąć...

Obudził się. Jego serce biło szybko, był cały spocony i ledwo mógł złapać oddech. Czuł się, jakby przebiegł maraton. Nagle zorientował się, że jest w gabinecie, a mógłby przysiąc, że zasypiał w sypialni. Spostrzegł, iż ręce ma całe od farby. Najdziwniejsze było to, że przed nim znajdował się obraz. Przedstawiał nagą kobietę na piedestale, ogień, zakapturzone postacie i las. Wszystko to, co widział w śnie. To niemożliwe! Myślał. *Jakim cudem mogłem to namalować przez noc?! Nieważne, kolejny koszmar i po prostu zacząłem lunatykować. To się zdarza.* To, co się zdarzyło w nocy, nie dawało mu spokoju. Udał się do łazienki. Zimna woda pomoże mu w zebraniu do kupy cały przebieg nocy. W końcu najlepsze pomysły powstają pod prysznicem. Tak gdzieś czytał.

Poranny natrysk dodał mu sił. Jeszcze tylko musiał się ogolić, wyglądał okropnie. Wziął tradycyjną maszynkę na żyłki oraz piankę. Zatkał kran i nalał sobie wody. Opłukał

twarz i nałożył pianę, zaczął się golić. Wtem zauważył w lustrze jakąś postać, zbliżała się do niego, zniknęła. Niespodziewanie pojawiła się w lustrze jej twarz i wypowiedziała słowa, głębokim, jakby szepczącym, basowym głosem.

– Nie wyrzekniesz się przeznaczenia. – To coś zniknęło.

Z przerażenia zaciął się i upadł na podłogę. *Co do cholery się ze mną dzieje?* Zakleił ranę na twarzy i trochę bojąc się, co zobaczy w lustrze oprócz swojego wizerunku, dokończył się golić. Wrócił do gabinetu w poszukiwaniu informacji. Czy przypadkiem to wszystko nie jest spowodowane jakimś urazem, chorobą czy coś w tym rodzaju. Zerknął jeszcze jeden raz na swoje nocne dzieło. Oprócz tego, że na jego widok miał ciarki i był według niego niepokojący oraz straszny, był to też naprawdę dobry obraz, dawno już takiego nie namalował. Być może go wystawi lub sprzeda.

Skupił wzrok na regale z książkami. „Encyklopedia Zdrowia”. *Być może coś tam jest, ale zbyt długo bym szukał.* „Principia physico – medica”. *Naprawdę stare, na dodatek nie znam łaciny.* „Farmakopea”. To nie, jakiś zielnik, to też nie. „Człowiek w stanie zdrowia i choroby”, Bock, rok 1873. Przewertował książkę i znalazł kilka chorób mogących wywołać majaki i zwidy, ale dotyczyło to głównie gorączki wywołanej przez coś. Zauważył jeszcze jedną książkę, która być może mogła zawierać ciekawe informacje. „Tajemne choroby ciała i duszy”. Było to grube tomiszcze, z którym się siłował, żeby go wyciągnąć. Mimo jego wysiłku książka nie chciała drgnąć. Spróbował jeszcze raz i coś się ruszyło. Było słychać szcęk mechanizmu, regał odsunął się i ukazał wejście do ukrytego w ziemi, niczym piwnica, pokoju. Prowadziło tam kilka schodków. Zszedł, a regał wrócił na swoje miejsce.

Trochę go to zaniepokoiło, ale zdał sobie sprawę, że to tajna pracownia czy coś w tym rodzaju, więc musi być inne wyjście.

Panowały tam egipskie ciemności. Nie było tam ani jednego okna, nie zabrał latarki, nie licząc tej w smartfonie. Miał mało baterii, więc musiał się pospieszyć, by znaleźć inne źródło światła. Rozglądał się dookoła, lecz mało co widział. Kurz, który wznosił swoimi krokami, zasłaniał mu widok niczym mgłą, oprócz tego wszędzie wisiały duże, wręcz ogromne pajęczyny, miał nadzieję, że ich właściciele nie są aż takich rozmiarów, jak ich sieci. Po chwili natrafił biodrem na stół, co spowodowało okropny ból, do tego stopnia, że się zgiął. Na jego szczęście ból nie poszedł na marne. Na blacie stała lampa naftowa. Odpalił zapalką knot, ogień rozjaśnił ciemności. *Na coś mój nałóg się w końcu przydał*, pomyślał sobie. Ukazało się jeszcze kilka lamp, które można było rozpaścić, co też uczynił. *Światło, w końcu wszystko widać.* W podziemnym pomieszczeniu znajdowało się mnóstwo różnych utensyliów laboratoryjnych – fiołki, kolby miarowe, zlewki... Na blacie stał palnik, destylator oraz kilka

innych dziwnych jak dla niego urządzeń. Dojrzał także wiele innych, okropnych rzeczy. Serce, jak sądził ludzkie, oczy różnych wielkości, ludzki płód, dłoń, stopę i wiele innych zatopionych w wielkich słojach z formaliną. Nie wiedział, przez co go bardziej mdli, zapach czy widok tego, co w niej zostało zanurzone. Było tu też wiele ksiąg, dużo więcej niż na górze i nie dotyczyły stricte medycyny. Przejrzał tytuły, kiepsko było widać, ale przeczytał kilka. Nic mu nie mówiły, chociaż brzmiały okropnie. „Pseudomonarchia Daemonum”, „Czarna Kura” (ten tytuł trochę go rozśmieszył), „Picatrix” czy ostatnie, co wyjątkowo go zaniepokoiło „Necronomicon”. Oprócz tych znajdowały się tytuły takie jak „Zapiski Jana Twardowskiego” czy „Kamień filozoficzny” Nicolasa Flamela i „Tractatus de lapide philosophorum” Michała Sędziwoja. Te kojarzył, że dotyczyły alchemii. Cokolwiek ktokolwiek tu robił, musiały to być rzeczy ohydne, ocierające się o jakieś chore rytuały, imaginacje, eksperymenty. Jeszcze bardziej sobie to uzmysłowił, kiedy ujrzał stół sekcyjny. Miał wielką chęć wydostania się stąd, dlatego też szybko pobiegł na górę. Po minucie znalazł odpowiedni mechanizm, dzięki czemu mógł swobodnie wyjść. Znalazł się w gabinecie. Wywarło to wszystko na nim ogromne wrażenie, dotąd myślał, że to sny lub stany psychiczne dotyczące przeprowadzki. Teraz nie wiedział nic. Czy to wszystko były zwidy, czy działo się naprawdę. Jednocześnie rozpałiło to w nim niezdrową ciekawość.

Zjadł coś, przemyśli się po wyprawie na dół. Zamierzał pojechać do miejskiej biblioteki, dowiedzieć się czegoś na temat tego kultu. Wszedł, poprosił o wskazanie działu na temat różnych religii, sekt i tego typu rzeczy. Pani grzecznie wskazała. Spędził ponad dwie godziny na przeglądaniu książek, nie znalazł nic. Później przeszedł na dział okultystyczny, dowiedział się tam paru ciekawych rzeczy, niestety nic związanego z kultem. Ostatni dział, jaki zwiedził, to historia. Przeglądał długo, gdy nagle podeszła do niego pani bibliotekarka.

– Proszę szanownego pana, za chwilę zamykamy.

W tym momencie, przeglądając książkę na temat lokalnej historii, natknął się na ilustrację dworku, w którym mieszkał.

– Tak, tak, przepraszam. Wezmę tylko tę książkę.

– Och, nie ma za co przepraszać, każdy czytelnik jest na wagę złota. Ma pan kartę biblioteczną?

– Obawiam się, że nie.

– W takim razie proszę to wypełnić.

Zapisał wszelkie potrzebne dane, oddał dokument.

– Dziękuję pani. – Ukłonił się lekko.

– Mam jedno pytanie, przepraszam, że jestem taka ciekawska, ale jeszcze nie widziałam kogoś, kto przeglądał tyle książek, czyli pan czegoś szuka. Prawda?

– Zgadza się. Szukam informacji na temat pewnego tajemniczego i zapomnianego kultu Quantara.

– Niech pan zapomni, niczego pan nie znajdzie. To tylko bajania starszych ludzi.

– Mhm. W każdym razie dziękuję. Do widzenia.

W drodze powrotnej zahaczył jeszcze o sklep spożywczy oraz aptekę, gdzie kupił coś na sen oraz środek przeciwbólowy na wszelki wypadek. Pani aptekarka proponowała mu również kilka innych specyfików, witamin, suplementów diety... Niestety musiał odmówić, stwierdzając, że jest na to zbyt zdrowy. Wstąpił także do sklepu budowlanego, gdzie zakupił parę ważnych rzeczy – łom, młotek, śrubokręt i worek węgla. Nie zapomniał też o żarówkach, wziął lampę naftową oraz litr nafty. Obładowany zakupami wrócił do posiadłości. Wypakował się. Ponaprawiał kilka uszkodzeń. Następnie, ze względu na późną porę, położył się spać. Zapomniał jednak o tych tabletkach, które zakupił.

Noc była wyjątkowo gorąca. Wiercił się na łóżku, nie mogąc zasnąć, miękki materac i pościel wydawały się teraz niczym kamień. Kiedy sen już podchodził, usłyszał dziwne szmery. Drapanie murów w wielu miejscach przez tysiące szczurów. Najgłośniejsze jednak odgłosy dochodziły z poddasza. Włożył szlafrok, kapcie i zapalił światła. Na wypadek, gdyby na górze nie było elektryczności, a rzeczywiście tak było, wziął mocną policyjną latarkę, którą kupił w sklepie survivalowym i dla obrony łom. Pokonując kolejne stopnie, czuł obawę, co go spotka na szczycie. Otworzył drzwi. Pusto, totalnie nic. Nie licząc wielu różnych skrzyń, mebli i tego wszystkiego, co każdy zazwyczaj trzyma na swoim strychu. *Wariuję, pomyślał.*

Wrócił z myślą, że rano musi sprawdzić te skrzynie. Powoli udając się do sypialni, stwierdził, że nadal słyszy te szmery, jednak odgłosy nie wydobywały się z góry, a z dołu. Zszedł do piwnicy, żeby sprawdzić, co jest źródłem tych dźwięków. Ominął miejsce, gdzie stał piec i leżał opał, udał się w kierunku półek z winem. Wtedy zauważył między nimi wąż. Okrągły, kamienny, z dwiema szparami, dość sporymi, które miały ułatwić podnoszenie tego, przynajmniej tak się wydawało. Z otworów wydobywało się światło. Chciał podnieść kamienne wejście, lecz było za ciężkie. Posłużył się łodem. Przy pomocy fizyki oraz siły mięśni udało mu się. Odsunął kamień, który upadł, wywołując przy tym głośny dźwięk. Spojrzał na dziurę, która się przed nim ujawniła, po czym stwierdził, że nie ma żadnego światła. Musiało mu się przewidzieć lub struga świetlna latarki odbiła się od czegoś, przez co się tak stało. Świecąc w głąb, zobaczył drewnianą, linową drabinkę. Była bardzo stara,

obawiał się, że spadnie, ale musiał się dowiedzieć, skąd dochodzi ten nieznośny szmer, oraz jeśli będzie to możliwe, wyeliminować go. Schodził powoli, stopień po stopniu, w ciemność. Gdy tak schodził, jeden z nich się złamał, co spowodowało, że się osunął, na szczęście w ostatniej chwili złapał się i uniknął twardego spotkania z podłożem, które to okazało się kostką brukową.

Miejsce, w którym się znalazł, było olbrzymią komnatą, nie widział zbyt wiele. Coraz słabszy promień latarki uniemożliwiał mu dojrzenie cokolwiek. W tym czasie rozpałił się jakby niebieski ogień. Nigdzie jednak się nie paliło. Światło nie miało źródła, pochodziło znikąd. Tuż przed nim, może z trzy do pięciu metrów, ukazał się ohydny, bez określonych lub stałych kształtów stwór, który to roztaczał wokół siebie nieopisany fetor oraz nieznośne, przenikliwe zimno. Nic w nim nie było stałego. Raz był bardziej szpiczasty, za chwilę jego kontur się zaokrąglął. Jego ciało przypominało galaretę z wieloma oczami, lecz bez otworu gębowego czy nosa. Jednak wydawał dźwięki, okropne dźwięki. Wśród katatonii szmerów, rechotów, szczęknięć, usłyszał w swojej głowie obcy głos, tego czegoś głos. Szeptał:

– Zginiesz. Nie pokonasz mnie.

To coś zaczęło się zbliżać...

Obudził się rano w swoim łóżku. Nie był pewny, czy to był sen, czy jawa? Może to, co teraz uważa za pobudkę, jest snem. Tak wiele miał pytań i ani jednej odpowiedzi. Ledwie wstał. Nie wiedział czemu, ale miał potrzebę namalowania tego, co właśnie widział. Pobiegł do gabinetu. Wziął sztalugę. Umieścił białe płótno i zaczął swe dzieło. Malował jak opętany, niczym w szale. Nie było go, nie istniał. Był farbami, pędzlem, paletą. Kreska po kresce. Dziki pęd końskim włosiem po czystej powierzchni. Pociągnięcie za pociągnięciem. Coraz więcej szczegółów, kolorów. Ruch za ruchem. W demonicznym tańcu. Skończył swój obraz. Był spocony, zziębnięty. To było dla niego coś nowego. Nigdy tak nie malował. Zdał sobie sprawę z czegoś przerażającego. To nie on go zrobił. Tylko jego ręka i wizja. Nie było jego samego w tym obrazie. Szatańskie dzieło bez autora.

Czuł, że musi się napić. Wybrał się do piwnicy po jedną z butelek ponad stuletniego wina. Ku jego zdziwieniu w miejscu, gdzie miał być okrągły włącz, nic nie było. Podłoga była cała, ani jednej szparki, załamania, pęknięć. *Czyli jednak to był tylko zły sen*, pomyślał. Chociaż czuł, że się oszukiwał. To nie był zwyczajny koszmar. Za chwilę także zobaczył dowód na swoją nocną obecność w tym miejscu. Była to jego latarka. Sprawdził, czy świeci. Była całkiem rozładowana. Wrócił na górę do jadalni z winem i latarką, wziął także wypożyczoną wczoraj książkę. Nalał sobie to srebrnej czarki krwiście czerwonej cieczy. Wino było smaczne, niezwykle smaczne. Po takim czasie zapewne też niezmiernie drogie.

Zaczął przewracać strony tomiszcza do czasu, aż znalazł zauważony uprzedniego dnia wizerunek. Na tej samej stronie znajdowała się informacja.

Dwór hrabiego Popiela.

Pierwsze wzmianki o tym budynku pochodzą z XIV w., kiedy to Kazimierz III Wielki zamienił ówczesny drewniany gród w warownię. Sądzi się, iż sam gród pochodzi z czasów przedchrześcijańskich, wtedy prawdopodobnie spełniał rolę kompleksu świątynno-obronnego. Przez wieki był wielokrotnie niszczone i odbudowywany. Do dziś został sam dworek szlachecki z XVII w., w którym do rozpoczęcia drugiej wojny światowej zamieszkiwali potomkowie pierwszego znanego nam dzisiaj właściciela, hrabiego Popiela z Zielonej Warowni.

Nie dowiedział się niczego, co mogłoby wyjaśnić mu przynajmniej część zdarzeń, ale skierowała go ta notka na właściwe tory.

Odłożył książkę i natychmiast udał się do tajnego pomieszczenia pod gabinetem. Pomyślał, że był głupi, od razu tu nie zaglądając w poszukiwaniu informacji. Tym razem już nie błędził. Zadbął także o porządne światło. Próbując nie patrzeć na wszelkie okropności, od razu podszedł do nie wiadomo jak starych zbiorów. Miał problem, dzieła nie były posortowane w jakkolwiek sposób, ani po tematyce, ani po nazwisku autora, chociaż to go nie dziwiło, albowiem wiele książek po prostu go nie miało. Szukał długo, jednak w końcu natrafił na coś ciekawego. „Historia Rodu Popielów”. Rodzina ta pochodziła jeszcze z zamierzchłych czasów. Gdy cesarstwo rzymskie było w latach swojej świetności, a jedyną jego granicą była granica imperium Słowian pod władzą Piastów, Popielów, Sławnikowiców czy Przemyślidów oraz wielu innych rodów słowiańskich. Nie było wtedy podziału na Czechów, Lechitów, Rusinów i tak dalej, był jeden naród, jedno imperium. Przedstawiciele Popielów oprócz roli szlacheckiej, urzędowej byli znani ze swojej pobożności oraz oddaniu bogom. Niektórzy jej członkowie piastowali wysokie stanowiska, byli najwyższymi żercami, wołchwami czy Wojownikami Peruna. Gdy przyszedł czas chrztu, stworzyli nowy byt zwany Obrońcami Wiary. To oni powoływali wszelkie powstania, podtrzymywali ducha narodu. W księdze było opisane jeszcze wiele informacji na ten temat, jednak przeszedł dalej. Skupiając się teraz na tym, kim byli Wojownicy Peruna, czuł, że to ma jakieś znaczenie. Znalazł kolejne tomiszcze, które mogło mu rozjaśnić pewne sprawy. Dotyczyło właśnie wiary Słowian, było czymś w postaci Biblii oraz encyklopedii na temat dawnej wiary. Przewertował księgę, aż w końcu znalazł.

Wojownicy Peruna – ich zadaniem jest obrona świątyń, a także obrona ludzi przed przedwiecznymi demonami. Wojownikiem mógł zostać najwyższy żerca były lub obecny znający wszelkie arkana magii.

Przedwieczne demony. Czy tym właśnie jest Quantar? Dlatego właśnie jego byt został zapieczętowany świętymi znakami. Zamierzał poszukać jeszcze coś w rodzaju księgi magii, miał nadzieję, że to coś da. Zanim jednak to zrobił. Poszukał czegoś o samym Quantarze. „Necronomicon” oraz jakiś stary spis demonów dały mu odpowiedź potwierdzającą przypuszczenia. To właśnie z tym i podobnymi walczyli Wojownicy Peruna. Znalezienie ksiąg najwyższych żerców trochę mu zajęło, albowiem nie były one jako takie na papierze, lecz wykute na glinianych tabliczkach i zalane srebrem. Wyglądało to na ostatnią reprodukcję, tak jak większość księgozbioru już zapisaną alfabetem łacińskim, przynajmniej tyle dobrego. Zaopatrzony w magiczną broń pradawnych i nieznaną mu słów wrócił na górę. Uczył się tych wersów na pamięć, wiedział, że w walce z tym czymś nie może się pomylić. Teraz miał pewność. Śpiąc, mógł go pokonać, o ile to był sen. Poszedł do łóżka.

Gdzieś po trzeciej w nocy wstał. Poszedł do piwnicy, włączył światło na swoim miejscu. Mając już doświadczenie, podważył kamień łomem, po czym pchnął go. Po drabince dostał się tym razem na dół, delikatnie i powoli, ześlizgując się po linkach, starając się nie chodzić po niepewnych stopniach. Ta sama komnata, znów niebieskie światło. Ta sama piekielna istota, szeptała „Zginiesz, dzisiaj zginiesz. Przejrzałem twoje zamiary, nic nie zdasz tymi bzdurami”. Również w sobie odpowiedział – „Zobaczymy”. Poczwarą zbliżała się do niego z zawrotną prędkością.

– RDA GAD DEM BSZTA!

To coś się cofnęło, jak gdyby odbiło się od niewidzialnej tarczy. Nagle rozboleła go niesamowicie głowa, czuł, jakby miała dosłownie za niedługo rozerwać. *Tym razem tak atakujesz, tak?* Ledwo wydusił:

– RDA GAD DEM BSZTA!

Demon znów odsunął się w tył i jakby odrobinę zmałał. Jednocześnie ból jego głowy spotęgował. Długo tak nie wytrzyma. Póki mógł, wrzasnął na pełną pierś ponownie te same słowa.

– RDA GAD FEM BSZTA!!!

Potwór zmałał, uniosła się nad nim zielonkawa para, ból jakby odrobinę odpuścił. Wstał na równe nogi i znów wykrzyknął te same słowa, przedłużając je aż do utraty powietrza.

– RDA GAD DEM BSZTA!

Przedwieczny przemienił się z powrotem w zielonkawą parę. Wtedy innym zaklęciem umieścił go w tej samej szkatułce i przymocował pieczęć, którą na szczęście nie uszkodził, tylko oderwał, dzięki czemu udało mu się przymocować ją na mocny klej. Wystarczyło. Szkatułkę z demonem zostawił w tym pomieszczeniu.

Przed powrotem musiał się czegoś upewnić. Znalazł kawałek szkła i przeciął sobie na skos dłoń. Po tym, co przed chwilą przeżył, ten ból był prawie nieodczuwalny. Wrócił na górę. Po drabince.

Rano obudził się jak poprzednio, zmęczony i spocony, ale dziwnie spokojny. Usiadł na skraju łoża, spojrzął się na swoje ręce. Jedna z dłoni była przecięta...



NOCNE MARY

Paulina Ciupak

Cichy szum wkradł się w panującą ciszę. Amelia spała jeszcze, niczego nie podejrzewając. Jednak po dłuższym czasie zaczęła odczuwać ich obecność. Powietrze stało się gęste. Przekręciła się w łóżku. A potem po raz kolejny. Trwało to kilka minut, aż w końcu, dręczona złym przeczuciem, otworzyła oczy.

Nie zobaczyła nic oprócz ciemności. Gorąco uderzyło jej do głowy. Rozejrzała się po sypialni, ale przecież nikogo tu nie było. Poruszyła się w przepoconej pościeli. Wstała, aby otworzyć okno i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Włączyła światło, ale pokój był pusty. Tyle tylko, że nadal nie mogła pozbyć się tego uczucia, że nie jest sama. Pokój wydawał się pełen ludzi. Gdy kładła się z powrotem do łóżka i zamykała oczy, wiedziała, że ktoś tu jest. Słyszała ich delikatny oddech.

Naciągnęła mocniej kołdrę na głowę, wmawiając sobie, że śni.

Zamknęła za sobą drzwi do mieszkania, z trudem dźwigając wielką paczkę. Dzisiejszy dzień był zdecydowanie najgorszy. Została zwyzywana przez klienta, kasa fiskalna odmawiała posłuszeństwa. Na kuchni popsuła się klimatyzacja i oparzyła się piecem, wyjmując z niego pizzę, więc na dłoni pojawiła jej się wielka, przekrwiona rana. To wszystko wołałoby opomstę do nieba, ale wynagrodziło to przybycie jej najnowszego nabytku. Chwyciła za nóż i zaczęła rozcinać karton. Z jego wnętrza wyłoniło się najśliczniejsze cacko, jakie widziała w życiu. Rozpakowała do końca lśniącego czernią Underwooda, którego klawisze, pomimo sędziego wieku, miały nienaruszone litery, a taśma sprawiała wrażenie nowej. Przyglądała się z dumą swojej pierwszej maszynie do pisania, do której sprzedania udało się namówić pewnego upartego emeryta. Obrzuciła wzrokiem przymałe mieszkanko i podziękowała w duchu za wcześniejszą zapobiegliwość. Wzięła maszynę i z niemałym wysiłkiem przeniosła ją do sypialni. Tydzień wcześniej, wiedząc, że nie będzie miała gdzie jej postawić, zamontowała w pomieszczeniu półkę, która znajdowała się na nieco większej wysokości niż przeciętnie. Teraz podstawiła sobie pod nią krzesło i z wysiłkiem podniosła Underwooda, by po kilku chwilach walki z jękiem ulgi go tam umieścić. Nie przewidziała jednak jednej rzeczy. Półka była zbyt wąska.

Maszyna, popchnięta do samego końca, w jednej trzeciej wisiała w powietrzu. Amelia walczyła z nią jeszcze chwilę, jednak w końcu ręce opadły z sił, więc zgrzana, dała za wygraną. Oddaliła się, aby zobaczyć, jak maszyna się prezentuje, jednak – jako że wisiała częściowo w powietrzu – okazało się, że niezbyt imponująco. Westchnęła i zanotowała sobie w głowie, że na dniach musi kupić inną półkę i tym razem wziąć dokładne wymiary.

Teraz miała poważniejszy problem. Wczorajszej nocy zostawiła niedokończony wątek. Zostawiła śledczego Millera w potrzebie.

Natychmiast weszła pod prysznic, aby przywrócić się do zmysłów. Letnia woda schłodziła ją w pewnym stopniu. Niedługo potem zasiadła przed laptopem, zagłębiając się w świat Millera. Miała na głowie seryjnego mordercę, trzy trupy i zero rozwiązania. Główny bohater był w kropce. Wiedziała, że musi podać mu dłoń, wskazać jakąś drogę, aby wyciągnąć go z głębokiej dziury, lecz nie wiedziała jak. Śledczy nie mógł jeszcze złapać zabójcy, jeszcze nie teraz. Coś musiało się wydarzyć, coś, czego nie przewidziała. Coś, co obróci całą akcję i sprawi, że Miller połączy ze sobą wszystkie elementy układanki. Tylko co? Myśl uciekała za każdym razem, gdy próbowała złapać ją za ogon. Tkwiła w martwym punkcie i nie potrafiła go rozwiązać. Ślady, motywy, postacie... ślady, motywy, postacie...

Patrzyła w ekran, próbując znaleźć kontynuację dla przerwane go tekstu, lecz w głowie widniała pustka.

Nic nie jest gorsze od pisarskiego bloku. Jeszcze wczoraj było dobrze, jeszcze wczoraj tekst leciał płynnie, jakby pisał się sam, akcja poganiała akcję, a Miller trzymał śledztwo w rękach i ciągnął je, w którą stronę chciał. Dzisiaj stracił ogień i stanął w miejscu, bezradnie na nią spoglądając, czekając na place poruszające się po klawiaturze i prowadzące do przestępcy.

Uparcie wpartywała się w ekran. W końcu zaczęła:

Śledczy Miller był bezradny. Przestępcę, na którego trop zdawał się już wpaść, znowu przepadł...

Nie, jakby napisał to dzieciak z podstawówki. Backspace.

Sfrustrowany śledczy wyjął papierosa i zapalił. Rzucił nałóg dwa lata temu, ale dzisiaj bardzo tego potrzebował...

Pomasowała się po karku. Wpatrywała się przez chwilę w te słowa. Backspace.

Mężczyzna...

Nie mogła się skupić. Z jakiegoś powodu cały czas wracało do niej wspomnienie z dzisiejszej nocy. Teraz, w świetle dnia, nie było straszne ani nie wzbudzało lęku. Było jednak dziwne. Zanim się zorientowała, zaczęło rosnąć w jej wyobraźni. Pusty pokój, przepełniony osobliwą, ciężką atmosferą, zdawał się mieć swoich lokatorów. Przybierali oni postacie zjaw. Nosili maski z metalowymi dziobami i czarne płaszcze, nadając sobie w ten sposób prawdziwą formę. Pod płaszczami widziała długie ostrza, które służyły do odprawiania rytuałów.

Spojrzała na laptop i spróbowała znowu skupić się na losach Millera, lecz myśli uciekały w jednym kierunku.

Cholera.

Jeszcze raz rozpoczęła nieszczęsny akapit, gdy jej pracę przerwał telefon. Z westchnieniem spojrzała na wyświetlacz. Mama. Przez chwilę ignorowała wibrujące urządzenie, jednak w końcu przesunęła zieloną słuchawkę do góry.

– Tak, mamó?

– Witaj, słońce...

Wstała i przeszła się do kuchni po colę z lodem. Upał naprawdę ją dobijał. Zjawy,

zjawy... To w sumie byłby dobry pomysł na opowiadanie. Tylko że chciałyby skupić się na książce. Swojej drugiej książce. Tej, która powstaje już od sześciu miesięcy, której fragment został pokazany agentowi i która zapowiadała się bardzo dobrze. Jeśli uda się skończyć na czas.

Wzięła z biurka notes, długopis i zapisała w nim szkic opowiadania, które zaczynało się kreować. Zjawy, rytuał, jakaś wyższa siła, ofiara. Okej, dobra. Pod wpływem impulsu szybkimi ruchami naszkicowała swój pokój. Narysowała łóżko, leżącą na nim dziewczynę, anaokoło niej pięć zjaw, przyglądających jej się we śnie. Patrzyła przez długą chwilę na ich maski, próbując doszukać się pod nimi ludzkiego oblicza, ale bez skutku. Schowała notes i od nowa próbowała skupić się na losach śledczego i seryjnego mordercy.

Ten wieczór był do niczego. Udało jej się stworzyć tylko kilka bezsensownych akapitów, które zapewne usunie następnego dnia, gdy tylko siądzie do pracy.

W sypialni było niemiłosiernie gorąco. Zostawiła okno otwarte na oścież, jednak wystarczyło kilka minut, aby jej łóżko było przesiąknięte potem. Długo nie mogła zasnąć, kiedy jednak jej się to udało, około trzeciej w nocy, gwałtownie się obudziła.

To znowu one.

Obudziła się z przekonaniem, że coś stoi przy jej łóżku. Otworzyła oczy i poderwała się do pozycji siedzącej. Wpatrzyła się w ciemność, ale przecież nic tam nie było. Usiadła, stawiając nogi na podłodze. Jej oddech stał się płytszy, a serce przyspieszyło. Czuła, że coś stoi przed nią, dokładnie naprzeciwko, niemal dyszy jej w twarz. Wstrzymała oddech. Nie słyszała nic, tylko samą siebie. Powietrze wokół było ciężkie i gorzkie, jakby w pokoju znajdował się tłum ludzi oddychających tym samym tlenem co ona. Nie do końca świadoma tego, co robi, powoli wyciągnęła przed siebie dłoń, pewna, że gdy dosięgnie istoty, dotknie ją jak prawdziwe ciało.

Nic takiego jednak się nie stało. Ręka przecięła powietrze. Tylko dyszenie stało się bardziej wyraźne. Przed oczami stanęły jej zjawy, które stworzyła wczoraj. Rozejrzała się po pustym pokoju i wyobraziła sobie te zjawy, z ostrzami w dłoniach, które przyszyły po nią. Przez chwilę widziała je tak wyraźnie, jakby naprawdę tam były. Czerwone oczy przeszywały ją spojrzeniami spod czarnych kapturów.

– Czego chcecie? – rzuciła w przestrzeń.

Jednak gdy cisza dalej trwała, otrząsnęła się w końcu i zapaliła światło. Stanęła

w oknie i wzięła oddech. Umysł pisarza to niebezpieczna rzecz, pomyślała. Gdy już się uspokoiła, położyła się. Światło zostawiła zapalone.

Ten blok okazał się trudniejszy do przebiccia, niż myślała. Opowieść stanęła w miejscu, powstrzymana przed dalszym ruszeniem przez wysoki i gruby mur. Codziennie, gdy Amelia wracała z pracy, przez kilka godzin biła w niego głową. Miller, nieskory do współpracy, palił papierosa za papierosem, a schwytanie mordercy zdawał się mieć głęboko gdzieś. I to by było tyle, jeśli chodzi o szybkie skończenie książki.

A wszystko dlatego, że nie chciały jej opuścić zjawy. Ani we śnie, ani w rzeczywistości. Cały czas tkwiły w pamięci, w dzień domagając się spisania na kartce papieru, w nocy nawiedzając ją i budząc. Choć nie chciała o nich myśleć, stawały się coraz bardziej natarczywe i przychodziły z większą liczbą szczegółów, tak, że z każdym dniem wiedziała więcej.

W niedzielę padało. Maraton szalonych upałów został przerwany przez burzę i serię ulew. Błękitne niebo w końcu przesłoniły chmury. Amelia spała tego dnia dłużej, pozwalając sobie na lenistwo po tygodniu pracy. Gdy w końcu się podniosła i usiadła przy laptopie, zamiast jak zwykle skierować kursor na plik *Zabójstwo Millera*, zastanowiła się i utworzyła nowy dokument tekstowy, podpisując go *Zjawy*. Od tego momentu tekst zaczął płynąć sam, jakby tworzył go ktoś inny, jedynie posługując się jej rękoma.

Zjawy wypełniały pustkę pokoju, który musiała oglądać co noc Amelia. Nawiedzały one główną bohaterkę, tyle tylko, że ona mogła je zobaczyć. Pisarka opisała ich wygląd najlepiej, jak potrafiła. Po czym pozwoliła głównej bohaterce mówić za siebie.

Stwory przyglądały mi się z natarczywością. A mi nadal zdawało się, że śnię. Nie wiedziałam, czy są prawdziwe ani w jakim celu przyszły. Przerazały mnie. Zapytałam:

– Kim jesteście?

Nie odpowiedziały. Zauważyłam narzędzie w dłoniach jednego z nich. Było oznaczone jakimiś wzorami, których znaczeń nie potrafiłam zrozumieć. Ścierpła mi skóra. Jedna z postaci zaczęła się przybliżać.

– Po co przyszliście? – zapytałam, próbując zamaskować strach.

Amelia zatrzymała się w tym momencie, zastanawiając się nad odpowiedzią. Nie mogła pozostawić swoich zjaw niemymi, chciała poznać ich historię. Tyle że żadna z istot nie chciała przemówić. Amelia wstała, aby przejść się po mieszkaniu i pomyśleć nad racjonalnym

rozwiązaniem, które doprowadziłyby do zakończenia.

Po kwadransie bezczynności wróciła z przekonaniem, że jakoś to będzie.

Tylko że odpowiedź zjaw już tam była.

– *Po co przyszliście?* – zapytałam, próbując zamaskować strach.

– *Masz coś, co pragniemy mieć w swojej kolekcji.*

Wpatrywała się w tekst, próbując przekonać siebie, że tak, to na pewno ona to napisała, to jej dzieło, tylko tego nie pamięta. Kompletnie nie pamięta. Ale to jej dzieło, na sto procent, przecież nie ma tutaj nikogo innego.

Kontynuowała historię.

Kolekcji? Co za banał. Chciałam się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego nerwowy grymas. Zaczęłam więc zadawać pytania.

– *Jesteście prawdziwi czy to tylko moja wyobraźnia?*

Dobre pytanie.

– To twoja wyobraźnia – stwierdziła na głos, zanim jednak jej palce dotknęły klawiatury, na ekranie pojawił się napis.

– *Jesteśmy na tyle prawdziwi, aby wykonać swoją pracę.*

Wpatrywała się w te słowa, a po jej plecach pociekła strużka zimnego potu. Odruchowo obejrzała się za siebie. Zamknęła klapę laptopa. Założyła buty, chwyciła torebkę i zamknęła za sobą mieszkanie, pociągając dwa razy za klamkę. Myśli w jej głowie szamotały się niczym ptaki w klatce, zderzając się ze sobą i tworząc kompletny chaos. Przesłaniały choć chwilowo to coś, w co nie powinna uwierzyć, a co jednak przemawiało bezpośrednio do niej.

Zadzwoiła do przyjaciółki. Tak bardzo nie chciała być teraz sama.

Zaczynało się już ściemniać, gdy wróciła. Jej umysł chodził na pełnych obrotach. Dzień, spędzony w gronie znajomych, nie zdołał przepędzić problemów. Siedząc w pobliskiej kawiarni, przemyślała wszystkie możliwe scenariusze. Próbowiła przekonać samą siebie, że to nie jest możliwe, że to głupi żart, jednak jej rozwinięta wyobraźnia była trudna do zatrzymania.

Teraz wróciła z postanowieniem, aby rozwiązać wszystko. Przestać bać się rzeczy, stworzonych przez wyobraźnię. Szybko przygotowała się do snu, po czym wzięła laptop i usiadła z nim w łóżku. Wróciła do tekstu i zaczęła od wykasowania odpowiedzi zjaw. *Zamiast Jesteśmy na tyle prawdziwi, by wykonać swoją pracę stało Twoja wyobraźnia.*

Czekała chwilę, czy coś się wydarzy, ale otaczała ją cisza. Nie zadziałała żadna magiczna siła, edytor nie stawiał oporu, był przecież tylko programem komputerowym, posłusznym jej poleceniom.

– Twoja wyobraźnia – odpowiedział, przybliżając się jeszcze bardziej.

Wyraźnie widziałam ostrze, które wyciągał w moją stronę. Oddaliłam się odrobinię zapytałam znowu:

– Kto was przysłał?

Wiedziała, że to się wydarzy, lecz nadal nie była przygotowana. Z jej ust wydobył się krzyk, przytłumiony dłońmi przyłożonymi do ust. Na ekranie pojawił się napis:

Służymy tylko sobie.

A potem tekst zaczął pisać się sam. Litery układały się w całe słowa i zdania, prowadząc główną bohaterkę dalej, w głąb opowieści. Amelia siedziała ze splecionymi rękami, niczym zahipnotyzowana, śledząc tekst, czytając go zachłannie, nie potrafiąc oderwać od niego wzroku.

A potem zjawy rzuciły się na mnie. Nie zdążyłam się cofnąć, nie zdążyłam wykonać najmniejszego ruchu, a one już były przy mnie i trzymały mnie za ręce. Było ich pięć. Czwórka obezwładniła mnie, przygwoździła plecami do małego stolika do kawy, trzymając za ręce i nogi. W głowie stanęły mi sceny z obrzędów Majów. Najpierw cię przytrzymywali, aby po chwili wyrwać ci bijące serce. Z przerażeniem spojrzałam na nóż w rękach piątej zjawy. Szarpałam się bez skutku. One pragnęły czegoś, co było wewnątrz mnie, a mój opór nie miał znaczenia. Tak czy inaczej miały to pozyskać. Poczułam, jak postać rozrywa moją koszulkę i dotyk ostrza prześlizgującego się po mojej skórze...

Tekst z każdym zdaniem robił się coraz bardziej mroczny i przerażający. Amelia w końcu nie wytrzymała i jednym ruchem odrzuciła laptop od siebie, tak mocno, że wylądował na podłodze. Opowieść urwała się. Pisarka znowu poczuła, jak atmosfera stała się gęstsza. Zrobiło jej się duszno.

Podniosła wzrok i zobaczyła ich, stojących w końcu sypialni.

Wyglądali tak, jak ich opisała. W czarnych pelerynach, z czerwonymi, świdrującymi ślepiami. Z metalowymi dziobami przytwierdzonymi do masek.

To trwało chwilę. W jednej sekundzie przyglądali jej się, w następnej byli obok, wyciągając długie, sine ręce. Wyglądały niemal jak ludzkie, a dłonie zakryte były skórzanymi rękawiczkami. Krzyknęła, chciała ich odepchnąć i przez jedną przerażającą chwilę myślała, że nie będzie w stanie, że dłonie tylko przenikną przez anemiczne ciała. Jednak poczuła ich. Nie było ich czuć ludźmi, dłonie uderzyły w coś gąbczastego, coś, co ugięło się pod dotykiem.

Ten ułamek sekundy pozwolił poderwać się na nogi. Ale zjaw było za dużo. Otoczyły ją i skręciły jej ciało. Przeniosły, jakby nic nie ważyła, i umieściły wierzgającą na małym, szklanym stoliku do kawy. Przerazonym wzrokiem rzuciła na laptop. Nie trzeba było więcej tłumaczyć.

Jej ręce i nogi były trzymane bardzo mocno. Myśli gorączkowo galopowały w jednym kierunku.

Umrę tutaj, w ten sposób, umrę, umrę, pozbawią mnie życia, koniec, kaput, umrę tutaj, teraz...

Nie potafiła się skupić. Krew uderzyła do głowy, oszołomiona, rozglądała się nakoło, jakby nadal nie wierzyła w to, co się dzieje. Widok ostrza był jak stumień zimnej wody. Od razu przywrócił ją do zmysłów. Przestała się szarpać, a w jej umyśle pojawiła się jedna, wyraźna myśl.

To twory twojej wyobraźni.

Wierzyław to. A przynajmniej chciała wierzyć. W tej chwili chciała w to wierzyć tak bardzo. Tylko że wiedziała pewną rzecz. Twory wyobraźni mogą być przerażające, mogą sprawić, że będziesz bać się wyjść z domu czy zejść do ciemniej, wilgotnej piwnicy, mogą nawet sprawić, że będziesz krzyczeć. Ale nie mogą cię skrzywdzić. Twory twojej wyobraźni nie ozywają ot tak i nie atakują cię we własnym domu. Nie potrafią wydostać się poza twoją wyobraźnię. Chyba że sam powołasz je do życia.

Obróciła głowę, szukała czegoś, co mogło pomóc uwolnić się, jakiejś broni, czegokolwiek. Jej wzrok wylądował na laptopie, który leżał na podłodze, dosłownie półtora metra od niej. Edytor wciąż był włączony, wyświetlał opis sceny, która właśnie miała miejsce.

A co, gdyby usunęła ten tekst? Jeśli to wszystko działo się naprawdę, to nie pomoże jej to w niczym. Ale jeśli to ona popchnęła te istoty do działania? Jeśli to ona to wszystko zaczęła? Czy nie może ich zatem powstrzymać?

Dłonie w rękawiczkach chwyciły jej koszulę i rozerwały ją na klatce piersiowej. Poczła zimne ostrze na skórze.

– Czekaaj! – krzyknęła.

Wzrok pisarki utkwiony był w sztylcie, nacinającym długą, cienką linię między jej piersiami. Ból był ostry i przerażający. Próbowała myśleć, jednak czuła, jak panika i rozpacz znowu zaczynają przejmować kontrolę. Gdy pochyłona nad nią zjawą zsunęła kaptur z głowy, ukazując w pełni metalową maskę i czerwone oczy przepełnione pustką, zaczęła krzyczeć. Usta natychmiast zatkała dłoń w rękawiczkach. Był późny wieczór, niedziela, ludzie byli w mieszkaniach. Ktoś mógł ją usłyszeć. Jeśli będzie miała szczęście, może przybędzie jej na

pomoc.

Przestała się ruszać. A chwilę później z całej siły ugryzła wewnątrz obcej dłoni. Poczula na języku smak skórzanej rękawiczki, a także dziwnej, gumiatej substancji. Dłoń cofnęła się i Amelia krzyknęła jeszcze raz. Czując rozluźniający się uścisk na prawej nodze, szarpnęła nią. Uwolnioną nogą z całej siły kopnęła pochylającą się nad nią zjawę, aż ta odbiła się plecami od ściany. Półka zachybotła, a wraz z nią maszyna do pisania. Amelia poczuła zastrzyk adrenaliny. Szarpiąc się na wszystkie strony nie pozwalała zjawom na ponowne skrępowanie. Jeszcze raz wymierzyła bardzo mocne uderzenie, tym razem wyżej, wycelowane w bark. Zjawa ponownie uderzyła plecami o ścianę. Amelia nie dała jej chwili na wytchnienie, kopła raz za razem, wyładowując całą swoją bezradność i wściekłość w tej jedynej formie obrony. Maszyna chybotła się niebezpiecznie, a gdy zjawa zaczęła z lekka upadać na podłogę, Amelia wymierzyła jej kopniak tak mocny, że maszyna, lekko wychylona do przodu, uległa naporowi własnego ciężaru i poleciała w dół. Z całym impetem uderzyła w tył głowy zjawy, pozbawiając ją przytomności. Maskę osunęła się i upadła na podłogę obok maszyny, ukazując oblicze monstrum. Oczy Amelii rozszerzyły się, gdy spojrzała w tę przestrzeń pod żadnym względem nieprzypominającą ludzkiej twarzy. Ogarnął ją strach, paniczny, niewyobrażalnym strach przed tym, co zobaczyła. Jediną rzeczą, którą pragnęła zrobić, było odwrócić wzrok, ale jednocześnie nie potrafiła tego zrobić. Poczula, że uściski stały się luźne, zjawy także wpatrywały się w oblicze towarzysza, zastygając w niedowierzaniu. Amelia desperackim ruchem wyswobodziła się z ich uchwytówi podążyła za jedyną myślą, która została w jej umyśle. Chwyła się niej jak tonący brzytwy.

Czasami, gdy sytuacja jest naprawdę ciężka, a naszą rzeczywistość zaczynają nawiedzać stwory, które widzieliśmy tylko w snach, wtedy umysł staje się nieposłuszny. Przestaje myśleć racjonalnie, a istoty, w których istnienie nie wierzył wcześniej, jawią mu się jako najbardziej rzeczywiste. Na skutek strachu, szoku, może całkiem jeszcze innych uczuć robi rzeczy, których się po sobie nie spodziewał. Amelia, pisarka, która nauczyła się przywoływać twory swojej wyobraźni do życia, lecz która nigdy nie wierzyła w duchy ani życie pozagrobowe, gdy przyszło jej się zmierzyć z tym, czego istnienia nawet nie brała pod uwagę, chwyciła się ostatniej rzeczy, która łączyła ją z rzeczywistością. Uznała zjawy za twór swojej wyobraźni, uwierzyła w to, że gdy wykasuje je z komputera, znikną z jej życia. Dlatego, zamiast rzucić się do ucieczki, rozpaczliwie sięgnęła w kierunku laptopa.

Na czworaka pokonała krótką odległość i sięgnęła klawiatury. Drżącymi palcami kliknęła plik i polecenie *Usuń*. Wraz z chwilą, gdy zniknął on z pulpitu, z ulgą wypuściła powietrze z płuc i przytknęła oczy.

Skończyło się.

Jednak chwilę później przerażenie wróciło, dwa razy silniejsze niż przedtem. Za sobą nadal czuła obecność zjaw. Zanim zdążyła się obrócić, dłonie chwyciły ją ponownie.

Rana na piersi dała o sobie znać. Przycisnęły ją do ziemi i przytrzymały o wiele mocniej, tak że teraz nie była już w stanie wykonać żadnego ruchu. Wytrzeszczonymi oczyma wpatrywała się w odsłonięte oblicze zjawy, która postanowiła dokończyć swoje dzieło. Pomarszczona twarz miała w sobie jednocześnie coś z nienarodzonego dziecka i starca. Ze świńskich oczu wypływała żółta substancja, a pozbawiona warg czarna dziura rozszerzyła się w uśmiechu. Można by odnieść wrażenie, że jej oprawca płacze ze śmiechu.

Amelia chciała krzyczeć, ale nikt nie dał jej możliwości na drugi występ. Postać, która pochylała się nad nią, zdjęła rękawiczkę, ukazując niebieskie, pomarszczone palce. Te palce zagłębiły się w rozcięcie na piersi, wślizgując się pomiędzy rozciętą skórę, a Amelia poczuła, jak usta wypełnia jej krew. Pulsujący ból uderzył w tył głowy, a wzrok zaczął się zamazywać. Straciła przytomność.

Nie będzie mi go brakować.

Amelia naprawdę lubiła swój bar, w którym przepracowała kilka ostatnich lat, ale teraz nie miał już dla niej znaczenia. Chciała się wyprowadzić. Najlepiej do innego kraju. Anglia byłaby niezła. Albo Australia. W każdym razie musi się wynieść, bo oszaleje.

Wzięła głęboki oddech, kilka razy przestąpiła z nogi na nogę i pobawiła się kluczami. W końcu włożyła je do zamka i przekręciła. Weszła do mieszkania. Rozejrzała się po pustych ścianach, na których wcześniej było mnóstwo zdjęć, plakatów, rysunków. Jej mieszkanie, choć małe i ciasne, gdy sprzedała wszystkie meble, wydało się wręcz nieprzyzwyczajenie duże.

Wciąż nawiedzało ją wspomnienie z tamtej nocy. Choć było to dawno temu i Amelia przestała się w końcu bać pustego pokoju, nie potrafiła zapomnieć. Zjawy zabrały jej coś, co było dla niej najcenniejsze. Zabrały jej zdolność tworzenia. Od tamtego czasu laptop leżał nieużywany, a spod jej palców nie wyszło ani jedno cenne słowo.

Próbowała, naprawdę próbowała. Ale jej umysł nie pracował już według tego schematu. Muza odeszła dawno temu i nie zamierza nigdy jej odwiedzić. Na jednej, z bólem wydanej książce, która miała otworzyć drogę do aleji znanych pisarzy, skończyła się kariera Amelii.

Dlatego musiała wyjechać. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek uda jej się coś

napisać, ale na pewno nie w tym mieszkaniu.

Żałowała, że zaczęła pisać o zjawach. Może, jeśli uparcie trzymałaby się śledczego, nic takiego by się nie wydarzyło. Może wtedy nie miałyby jak jej nawiedzić. Gdyby nie powołała ich do życia, może nadal byłyby bezsilne.

Żałuję, że to wszystko się wydarzyło.

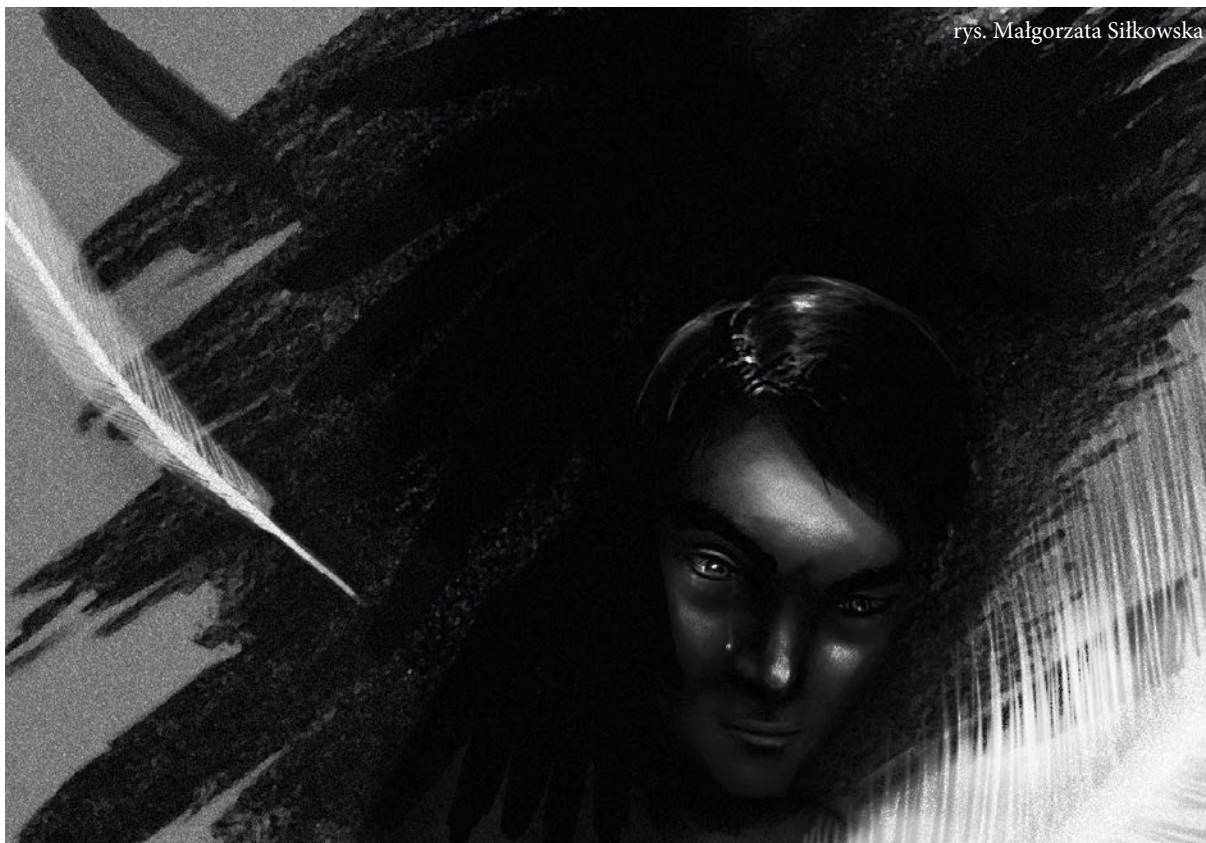
Musiała wyjechać. Puste ściany przyglądały jej się, a ona kulila się pod siłą ich spojrzenia. Nawet gdy szłaspać i zamykała oczy, nadal wiedziała, że patrzą w jej stronę.

Była w drodze na lotnisko. Wybrała Australię. Mglista i senna Anglia teraz chyba by nie mogła jej pomóc.

Gdy wyciągała bagaże z taksówki, usłyszała dźwięki saksofonu. Skuszona, podążyła za nimi, a wraz z nią niektórzy ludzie. Z trudem taszcząc ze sobą walizki, skręciła w ostatni zakręt i zobaczyła coś, co najchętniej wymazałaby od razu z pamięci.

Na oko dwudziestodwuletni chłopak. Stał na środku ulicy i przygrywał, a publiczność, którą zdołał wokół siebie zgromadzić, uśmiechała się z uznaniem. Amelia też chciałaby się uśmiechnąć. Chłopak miał talent. Za kilka lat, gdyby udało mu się przebić, mógłby stać się sławnym muzykiem. Bardzo przyjemnie się go słuchało. Widać było, że miał wprawę w tym, co robi. Ale ona widziała zjawy. Stały tuż za nim, otaczając go swoją dziwną aurą. I choć chłopak pozornie zdawał się wesoły, Amelia wiedziała, że też je czuł.

I pomyślała także, że nigdy nie zobaczy go w telewizji ani nie kupi jego płyty. Już niedługo chłopak miał stracić swój talent i stać się bezdomnym, stać się nikim, zupełnie jak ona. Odwróciła wzrok i zawróciła, a dźwięk walizek, leniwie ciągniętych po brukowanym chodniku, wydawał się dla niej dźwiękiem, zwiastującym śmierć.



rys. Małgorzata Silkowska

PASSA

Daniel Krawczyk

Cierpienie wlewało się przez wszystkie szczeliny mojego ciała. Byłem niczym durszlak, a czara goryczy już dawno przepełniła się w moim umyśle.

Będąc nikim, z nikim nie walcząc, teoretycznie umierając każdego dnia. Powrót do żywych był dawno zagubioną widokówką z mojego nigdy nieistniejącego, słonecznego życia.

Połacie mroku zasiedliły się nad moim istnieniem, czarne jak piekielna smoła, zwiastując nadejście srogiej zimy, przypominając raczej wróżki zębuszki. Karmiłem je ze swojego okna suchym jak ja chlebem. One chciały czegoś więcej, patrzyły na mnie tymi nieodbijającymi, a zarazem ukrywającymi na samym dnie ostatnie tajemnice oczyma. Tak przenikliwe, tak hipnotyzujące, dlaczego mnie gnębicie? Urywałem kawałek chleba, rzucałem przed siebie, podlatywały z finezją.

Nie chciały tego, jadły, aby przetrwać, tak jak ja chciały czegoś więcej. Byliśmy tak

bardzo podobni. Kiedy urosną mi skrzydła, odleczę wraz z wami, moi przyjaciele. Mogę was nakarmić moim mięsem albo stać się jednym z was. W zamkniętym pokoju z tym małym okienkiem byłem panem życia. Nie myśląc o przeszłości, zagłębiając się w przyszłość, która nie przypominała niczego oprócz zaśnieżonego obrazu telewizyjnego. Ciągłe szumiał, nie potrafiłem przyciszyć tego skowytu nicości. Wpatrywałem się raz to w ekran, raz przez moje okienko. O, przyszłości moja, gdzie jesteś?

Sekunda właśnie minęła. O, kolejna. Ekran dalej śnieżył, nic nie widziałem. Skończył się im chlebek. Mi też się skończył, ale ja nie musiałem jeść. Trawiłem samego siebie. Te kości, ta skóra, kiedyś piękne, tytaniczne, na wzór Pana Boga, a teraz, a za sekundę, a za całą wieczność. Jeden pył. Skomlałem jak dziecko, trwoga przepelniała te cztery ściany. Ugrzęzłem tutaj niczym wróbel, który wpadł do czadzi czarnej farby, czułem, jak od spodu coś próbuje mnie złapać za nogi, a ja nieudolnie szarpiąc, tylko bardziej zagłębiałem się w maź bólu.

– Nie! Proszę! – krzychałem na całe gardło, czułem, jak cały wibruję, moje ciało przeszywają spazmy, to zimna, to gorąca. Czułem się, jakby mnie ktoś oblał ciekłym azotem, tylko bicie serca przytrzymało mnie przy byciu. Moje skrzydła zanurzone w tej brei, ważące tysiące ton, nie odleczę, nie mam siły. Kładłem się na czymś będącym, tam kiedyś, w tej nieistniejącej przeszłości, łóżkiem. Materac śmierdział moimi sikami, przywołując jedyne wspomnienie tego, że jestem człowiekiem, zwierzęciem o ludzkich rysach. Leżałem i marzyłem o śnie, który nigdy nie nadejdzie. Pod powiekami ta ujmująca czerń, która była jedyną nadzieją na zbawienie. Zapadłem w stan oderwania niemającego nic wspólnego z marzeniem sennym. Było to bardziej nieświadome lewitowanie nad łóżkiem, szczelina między życiem a śmiercią.

Schodziłem po schodach, mijałem nieznanne mi postacie, te zamazane twarze przypominające leśną mgłę, schodek po schodku, zahaczałem o nich, blokowały mi drogę, przepychałem się, szturchałem ich tylko, aby mnie puścili, kim oni są. Ja chciałem na dół. Walilem łokciami, kolejny schodek, jedna zjawa padła mi do stóp, jakby ktoś z niej spuścił powietrze.

Schody o walcowatym kształcie, czy to latarnia morska, czy to moja wieża, w której jestem więźniem. Schodziłem dalej, tych dziwnych istot już nie było, tych na kształt mnie samego. Złapałem się za twarz. Poczułem jej chłód i szorstkość, zastanawiając się, czy jest tak samo niewyraźna jak twarze tych istot. Jak w spirali niekończącej się zabawy lzy spływały mi teraz po policzkach, a ja tak bardzo chciałem do domu. Tak bardzo chciałem wrócić do przeszłości, która była moim schronem. Dlaczego tak bolało, jakby ktoś przypalał mój mózg rozżarzoną przętą i próbował przebić się na wylot?

Jedynie, co mogłem zrobić, to zagryźć pięść i dalej, schodek po schodku, staczać się. Tam głęboko, gdzie nikt nie widział, mogłem skręcać się w swoich wariackich katuszach, przez które przechodziło moje ciało i jakże ostatnie resztki zdrowego umysłu. Wrywałem włosy, spoglądałem na nie jak na jakieś niezbadane obiekty, kłębki siwizny błyszczały się w dochodzącym z dołu blasku czegoś spoza znanego mi wcześniej świata. Jak w sercu cyklonu, cisza otulona szarawą rzeczywistością.

Cóż to za światło? Zszedłem jeszcze niżej, jeśli przyjąć za pewnik, iż dół to dół, a góra to góra. Jeszcze jeden krok i znalazłem się w czymś przypominającym mój pokój z dawnych lat, z wielkim, przejrzystym oknem, skromnym biurkiem i regałem na książki. Na łóżku starannie zaścielony koc w kształt szachownicy. I ten zapach unoszący się w powietrzu. Nie był to żaden owoc czy przyprawa, była to woń bezpieczeństwa i wizji spełnionych marzeń. Pokój człowieka owianego miłością.

Podszedłem bliżej do okna, spoglądając przez nie. Ukazywał mi się ten sam widok, ścieżka prowadząca do oddalonego na horyzoncie lasu i huśtawka tuż przed wejściem na dróżkę, zawsze skrzypiąca, zawsze budząca we mnie wszystko, co najlepsze. Dziecko żyjące w dziecku, rozkoszujące się wolnością w takt poskrzypywania. Teraz była pusta, zaśnieżona, a droga prowadząca polaną w kierunku drzew ledwo widoczna. Wzięłem głęboki oddech, niczym przed wyprawą ku dnie morskiej zatoki, ścierając wilgotne policzki po resztkach słonawych łez, próbowałem sobie to wszystko dokładnie przypomnieć i poczuć to jeszcze raz. Chciałem, aby to wszystko na mnie spadło jak wiadro zimnej wody, jak piorun uderzający w kilkusetletni dąb. Marzyłem o tym, aby przez moją jaźń choć jeszcze ten jeden raz popłynął prąd.

Przyłożyłem dłoń do okna, płaska tafla szkła przypominała lodowisko, zimne ukojenie, włosy na rękach uniosły się ku górze, strosząc się jak sierść bezpańskiego kundla.

To było pożegnanie. Musiałem iść dalej, na dół, odszukać siebie. Wychodząc z pokoju, spojrzałem jeszcze raz w stronę okna. Widoczne było odbicie mojej dłoni, wyglądało to jak odznaczenie na mundurze, medal za życie. Z jakimś takim wyrzutem, a zarazem spokojem opuściłem ten pokój, tę mistyfikację tego, co było, teraz czekała mnie dalsza wędrówka. Schodek po schodku, jeszcze raz, ten jeden raz obejrzałem się za siebie w stronę wejścia. Nic nie było oprócz istoty bez twarzy zerkającej zza winkla.

Jaki był mój cel, po co to wszystko było? Dlaczego schodziłem, dlaczego byłem więźniem samego siebie? Jeśli to była moja ucieczka, wyzwolenie od zła, wszem i wobec opętanego mnie w całej postaci. Przytłumiony schodziłem dalej, bez większego entuzjazmu, jedyne, co chciałem, to dalej lewitować. Mały błąd, pstryknięcie palcami mogło to wszystko

zniszczyć, powieki ujrzałyby ten drugi świat. Krainę rozpaczy i kłamstwa. Teraz, tutaj schodząc, mogłem załatwić te wszystkie sprawy raz na zawsze. Aby już nigdy później nie musieć się bać. Rozkoszować się przeszłością i przyszłością, jak gdyby jedna była kawą, a druga mlekiem, a nie wstrętnym posmakiem cierpkiej krwi.

Nie wiem, jak długo tak schodziłem, od kiedy opuściłem pokój, mogło to być pięć minut, ale równie dobrze całe wieki. Czas był niepotrzebny tutaj, nieodczuwalny. Płynął zarówno do przodu, jak i wstecz równomiernie. Kolejny schodek i kolejny, jak zahipnotyzowany. Niczym chomik, nie myśląc o niczym, tylko o bezmyślnym wykonywaniu ruchów w celu zachowania równowagi. Krok po kroku.

Ujrzałem kolejne drzwi, ich wygładzona chromowana powierzchnia w jakiś nienaturalny i nieznany mi sposób wcześniej zaginała światło. Podeszedłem bliżej nich, pośrodku rozpościerała po całej długości szczelina, dzieląc je na pół. Była to winda, a przekonałem się o tym na pewno, kiedy – nie wiedząc, w którym momencie – mój palec dotykał okrągłego guzika. Poczułem, jak delikatnie ugina się i zapada w głąb ściany. Jaskrawe światło wyłoniło się z wnętrza kabiny, a bulgocząca muzyczka była teraz czymś namacalnym.

Wszedłem ostrożnie do środka, nie było miejsca na wątpliwości. Chciałem wybrać piętro, ale nie było żadnego oznaczenia oprócz symbolu zamykania drzwi. Zamknąłem oczy, przyłożyłem dłoń do guzika i tylko usłyszałem pomruk zamykających się bram i skowyt ruszającej windy. Nie byłem w stanie określić, czy jadę w górę, na dół, a może wiruję w odmętach pustki, w jakiej dane mi się było znajdować.

Winda po chwili zatrzymała się, a drzwi z tym samym dźwiękiem rozwarły, ukazując opasłe betonowe kominy, szyby wentylacyjne, sterczące nijako anteny satelitarne i zwoje piorunochronu. Wszedłem z puszki, która mnie tutaj dowlekła. Byłem na dachu jednego z bloków na dobrze mi znanym osiedlu. Idąc po szorstkiej powierzchni, łapiąc w płuca przegniłe, a zarazem kojące hausty powietrza, próbowałem sobie przypomnieć, skąd we mnie to poczucie ciepła, sympatii dla tego miejsca.

Podeszedłem do krawędzi, zerkając w nieliczne zapalone światła w bloku naprzeciw. Musiał być środek nocy. Skupiając wzrok na jednym z okien, dostrzegłem postać, krzątała się po pokoju, tam i z powrotem, latała jak poparzona, gdy nagle się zatrzymała, jakby ktoś z niej wyciągnął baterię, po czym podeszła do okna, firanka zatańczyła i ujrzałem zjawę bez twarzy. Tę, którą wcześniej mijałem, idąc swoją klatką schodową. Tę, która zerkiała na mnie, kiedy opuszczałem pokój. Ciepło i poczucie bezpieczeństwa odeszło teraz bezpowrotnie. Czuję, jak stróżka moczu spływa mi po nogawce, dłonie trzęsą się w niezdolnych do opanowania konwulsjach. Poczucie utraty ważnej części mnie samego uderzyło jak fala napadająca na

bezbronny brzeg jednej z miliona wysepek. Krew uderzyła silnym zrywem, pulsowanie w karku wybijało dynamiczny rytm, a z nosa poleciała cienka nitka krwi, ironizując ten cały zamęt z popuszczeniem w spodnie.

Odwróciłem wzrok od tamtego okna, czymkolwiek były te zjawy, jakkolwiek one miały sens i ich puste twarze wymazane przez kogoś gumką, to wszystko nie teraz...

Chciałem tych paru sekund dla siebie. Ruszyłem dalej dachem, upewniając się tylko wcześniej, czy mój środek transportu nie ruszył bez mnie. Drzwi były na swoim miejscu, odbijając światło księżyca, tworząc przy tym mozaikę na kształt rozlanego mleka. Trwoga obejmująca mnie całego wywierała chęć jak najszybszego zbudzenia i powrotu do tej zaschłej rzeczywistości, tylko czy tam naprawdę było lepiej? Właśnie tutaj, pomimo niepewności, chorobliwego strachu, co będzie dalej, i paniki przesywającej mnie na wskroś, to tutaj czułem się wolny. Sen był ucieczką, a zarazem jedyną możliwością na poznanie samego siebie. Odnalezieniem wybaczenia. Nie mogłem jeszcze otworzyć powiek, byłem za płytko. Czułem, iż muszę kopać głębiej.

Blok był długi, szedłem już jakiś czas przed siebie, mijając kable od anten, pęcherze powietrza w papie i wpatrując się w nieliczne zapalone okna, w których nie mogłem już niczego dostrzec. Dochodziłem powoli do końca budynku. Dach kończył się wystającym murkiem obitym blachą. Prostą linię betonu zaburzało jakieś wypuklenie, na pierwszy rzut przypominające komin, jedną z rur wentylacyjnych, ewentualnie coś innego. Jednak kiedy byłem coraz bliżej, te wszystkie wyobrażenia, co to mogło być, przemieniły się w pewność mojego błędu, gdyż była to siedząca postać, z długimi, rozpuszczonymi włosami, lekko przygarbiona, zwrócona plecami do mnie. Będąc parę metrów przed nią, słyszałem, jak tupie stopami o ścianę budynku. Cóż za spotkanie, pomyślałem. Jeszcze krok. Słyszałem, jak oddycha, czułem, jak pachnie. Bałem się tak bardzo, że będzie to zjawy bez twarzy.

– Przysiądź się – doleciał do mnie delikatny kobiecy głos. Taki z nutką cierpienia, rozgoryczenia oraz matczynej troskliwości.

Stałem już przy samym murku, raz spoglądając w dół, raz ukradkiem na nią. Była młodą dziewczyną o bladej twarzy, nad wyraz pięknej, z małym nosem i zawiniętymi uszami. Pomimo nocy dostrzegłem pojedyncze piegi i szramę pod lewym okiem.

Przełożyłem nogę, usiadłem okrakiem, potem drugą i nie zważając na mój lęk wysokości, który zresztą był przecież tylko złudzeniem, a tutaj najzwyczajszą fanaberią, zacząłem też uderzać nogami o ścianę bloku.

Betonowe molochy rozpościerające się po sam horyzont, a na dole nieprzenikniona czerń jak ich oczy, tych z mojego okienka, moich przyjaciół żywiących się suchym chlebem.

Zaferowany widokiem, jego pustką, bojaźliwością i czymś zupełnie niezrozumiałym, odwróciłem wzrok w stronę mojej kompanki, która nie była skora do rozmów. Tak cię stworzyłem, abys siedziała cicho, tutaj, ze mną, na skwarku, miliardy kilometrów od domu. Twoja twarz, tak pełna, tak prawdziwa, niezmacona kłamstwem. Bez żalu i tej zżółciałej melancholii. Właśnie teraz byliśmy czymś więcej, prawdziwi, natchnieni. Bez tego balastu życia, który musimy nieść, bo tak nam wpojono. Wolni od osądów, zamykając gębę na kłódkę, siedząc na murku, popijając coca-colę. Marzyłem, aby ten sen trwał całą wieczność, nie chciałem przebudzenia. Nie chciałem wyrwy w tym trwaniu. Łapiące za gardło przerażenie na samą myśl o powrocie.

– Zabrali wszystko. – Spojrzała na mnie swoimi mętnymi jak woda w kałuży oczami. – Nie pozwolili żyć. Wpili nieprawdę. Z uśmiechem na twarzy, wbijając nóż w plecy, wskazali drogę. Bez zakrętów, dolin i pagórków. Z klapkami, przez ciemność, czując spływającą krew. Jedyne ciepło, jakie było nam dane poczuć. – Splunęła z chłopcą teatralnością. – Oczekujesz rozgrzeszenia?

– Nic mi to nie da – odparłem. – Rozgrzeszenie byłoby za proste. Męczmy się, gnijmy, niech nasze ciała rozkładają się przez tysiące lat. Pokuta jest domem, a ciężar myśli największą karą. Nie liczymy na błogosławieństwo, bo to wszystko i tak na nic.

– Walczysz sam ze sobą, nie wiesz, co mówisz, chcąc wiedzieć. Udajesz, nawet teraz, kręcisz, łudzisz mnie, łudzisz siebie. Po co to wszystko? Ciemność i ludzie bez twarzy zawładnęli twoim sercem. Nie, nie wypieraj się umysłem, zdrowym rozsądkiem i tym, że jak się obudzisz, to słońce zapuka do twoich drzwi, a człowieczeństwo wróci na swoje miejsce. Oni tak po prostu nie odejdą.

– Chciałbym uciec. Daleko, na jedną z bezludnych wysp. Obserwować te fale uderzające o brzeg, wsłuchiwać się w ich szum, spoglądać w stronę zachodzącego słońca. Oddać się zapomnieniu, umrzeć w samotności. Ale na własnych zasadach. Tylko wiesz, co w tym wszystkim jest najgorsze... – Przynależem się mimowolnie bliżej dziewczyny. – To, że nie ucieknę od samego siebie. Będę zawsze w sobie, w tym mizernym ciele, bez wyrazu, bez twarzy. Siedzę w czterech ścianach całymi dniami, podróżując po nieznanym mi dotąd miejscach. Tylko zawsze się budzę. Chciałbym, aby sen trwał wieczność, nie pociągając za spust.

– To jest nieistniejąca obłuda szczęścia. Życie nie jest bajką, filmem z jakże radosnym zakończeniem. Tak jak kiedyś powiedziałeś – „to tylko piekielna machina zbiegów okoliczności”. Nie ma żadnej recepty, przepisu czy programu na to, aby było po prostu dobrze. Jeśli mamy cierpieć, to cierpimy. Umieramy każdego dnia, tylko po to, aby poczuć

rozgoryczenie nadejściem dziewiczego wschodu – przełożyła swoją grzywkę, odkrywając znaczną część twarzy. – Skoczysz ze mną? Tak, wiem. Wiem, co to by oznaczało. Przebudzenie. Nie mam prawa do tego cię namawiać. Ale jakby przecież nie patrzeć, to ty rozmawiasz sam ze sobą pod przykrywką mnie. Wewnętrzny monolog, tylko po to, aby zrozumieć. Nie wiemy, co zrozumieć. Dlatego szukasz, idziesz po tych swoich schodkach. Bo masz dosyć. Skok oznaczałby ekstazę swobodnego lotu. Ale jak długo? Jesteś w stanie przeciągać to przez wieczność. Może piętro niżej będzie gabinet luster, abys mógł bardzo dokładnie przyjrzeć się sobie. I co wtedy zobaczysz?

– Człowieka bez twarzy – odparłem.

Wstałem, odszedłem parę kroków, wbijając w nią spojrzenie, tak jakbym chciał zrobić zdjęcie. Uwiecznić to spotkanie, aby tuż po obudzeniu mieć przed sobą tę twarz. Nieskalaną. Czystą od zła. Pierwotną dobrą. Nie chcąc zwariować, przypominając sobie i wracając całymi dniami do tego spotkania. Nie mogę zapomnieć.

Dziewczyna zaczęła cała dygotać w niekontrolowanych wstrząsach przypominających atak padaczki. Bałem się, że zaraz zleci, cokolwiek to by mogło dla niej oznaczać. Zaczęły rozdzierać się jej ubrania, jej blade ciało wychodziło teraz poprzez szpary, przeciskając się, tworząc sinobordowy kolor. Odszedłem jeszcze jeden krok. Jej twarz, powyginana teraz, wyglądała jak robota kapryśnego dwulatka bawiącego się modeliną. Coś mamrotała, ale nie mogłem jej zrozumieć. Z jej ciała dolatywał teraz odór palonych włosów. Przykryłem usta dłonią. Przemieniała się, to ja ją przemieniałem. Całe ubranie już z niej spadło, teraz tarzała się po dachu jak pies po trawniku, próbując pozbyć się pcheł. Na jej skórze pojawiły się czarne pióra. Rosły w ekspresowym tempie, na moich oczach w parę sekund zamieniła się w kupę czegoś mi niezrozumiałego. Leżała teraz niczym oblana asfaltem, próbowała wstać, ale jej pióra przywierały do dachu. Pęczniała jak balon, który lada moment miał wybuchnąć. Jeszcze jeden krok wstecz. Machnęła ręką-skrzydłem w geście, który mógł oznaczać, abym uciekał. Chciałem, ale tak bardzo pragnąłem zobaczyć, co się stanie dalej, nawet wiedząc w podświadomości dokładnie, jak to się skończy. Kobieta wybuchła, tworząc przy tym fajerwerki gęstej cieczy. Kiedy wszystko opadło, bez zdziwienia ruszyłem biegiem w stronę windy. Gonila mnie chmara białych kruków. Żądne krwi własnego ojca, ze skrzekiem, jakby ktoś przesuwiał kredens po granitowej posadzce. Widziałem ich rozwarte dzioby, krwiste oczy i dynamiczne łomotanie skrzydłami. Całe tysiące, tuż za mną, czułem ich przegniłe oddechy.

Dobiegałem do windy, nie wiem, czy ja to sam zrobiłem, czy tak już miało być, ale drzwi, wcześniej zamknięte, teraz stały otworem. Biegłem ile sił w nogach, ptaszyska nie odpuszczały, próbowałem się ich pozbyć całą swoją wolą i myślą jak konstruktor mocujący

dynamit w swoim pionierskim wieżowcu. Tylko to wszystko było jednym wielkim niewypałem. Nie miałem już nad nimi żadnej kontroli. Zbliżałem się do windy, wydłużyłem krok, wskoczyłem do środka, wcisnąłem guzik i odwróciłem się, aby spojrzeć przeznaczeniu prosto w oczy.

Drzwi zaczęły się zamykać, usłyszałem potężny huk uderzającej fali białego dziadostwa. Jeden kruk wleciał do środka. Trzepał skrzydłami, próbował mnie dziobać. Jego zawieszona była nadzwyczaj ludzka, niczym opuszczona dusza pragnąca zemsty. Winda ruszyła, a ja toczyłem pojedynek na śmierć i życie.

Udało mi się go złapać, kręcił energicznie głową, czułem, jak przez jego ciało przepływa niezbadana siła. Skupiłem na nim swój wzrok, wystawiając ręce przed siebie, ptak przestał się ruszać. Uspokoił się, przypominając teraz bardziej małego pieska w moich objęciach. Winda wydawała pulsujące dźwięki mijanych pięt. Trzymałem go teraz za szyję, tymi błagalnymi oczami odpowiedział na moje wpatrywanie. Ty fałszywco, pomyślałem sobie, po czym skręciłem ptaszysku łeb. Jego ciało gruchnęło teraz o podłogę, przypominało śpiące beztrudnie dziecko. Łapki podwinęte pod sam dziób, jak te nóżki podkurczone. Jego białe pióra jakby delikatna blada skóra. Ta martwa częśćka tej dziewczyny, teraz, ze mną, tutaj.

Winda się zatrzymała, a drzwi otworzyły. Zrobiłem krok przez zwłoki ptaka i wyszedłem na zewnątrz. Znowu byłem na mojej klatce schodowej. Długo nie myśląc, ruszyłem ku dołowi. Schodek po schodku. Aby tylko iść. Aby tylko za dużo o tym nie myśleć.

Przecież kiedyś byłem człowiekiem. Stąpającym twardo po ziemi, z uniesioną głową, smugą szczęścia wypisaną na twarzy, z melodyjnym bełkotem pogwizdującym ulubione piosenki. Tym zwykłym śmiertelnikiem, szarym obywatelem. Z założenia dobrym kimś. Nieraz panem, nieraz na przegranej pozycji, ale wciąż człowiekiem. Z prawem do omyłki. Z miejscem na smutek, strach, przerażenie. Zgrzytanie zębami i kiedy trzeba było – kroplę łzy. Odruchowo, bez wątpliwości, człowiek w człowieku, odmierzający kroki do końca tego seansu zwanego prozą istnienia. Jeśli to wszystko jest tylko snem, to na co te wszystkie moje rozterki, skoro przebudzenie rozwieje to wszystko? Pozostanie tylko niepamięć.

Klatka schodowa skądinąd się skończyła, nieświadomie, jak i nie na tyle świadomie, na ile bym chciał. Byłem teraz na szarej, deszczowej ulicy. Tej jakże stereotypowej, ze studniami kanalizacyjnymi nienadarzającymi zbierać deszczu, szkieletami drzew bez liści, w ponurej aurze nieszczęścia i wszem i wobec panującej pustce. Byłem na jakichś przedmieściach chorego wewnątrz miasta. Zarażonego przez swoich mieszkańców. Biedą, wstrętem i zgnilizną martwych dusz.

Nikogo żywego tu nie było. Teoretycznie, gdyż praktycznie miasto tętniło życiem.

Podjechał autobus na przystanek, podbiegłem, wdeptując w kałuże po same kolano. Drzwi otworzyły się ze skowytom przypominającym ten z windy. W środku siedział kierowca w skórzanej kurtce bez rękawów, trzymał mocno kierownicę, a jego ciało bujało się w przód i w tył. Nic w tym wszystkim nie byłoby tak dziwne jak to, iż nie miał głowy. Jego szyja kończyła się kikutem. Przypominało to w profesjonalny sposób przeprowadzoną amputację. Nie byłem pewny, czy chcę wejść do środka, ale bardziej od faceta bez głowy nie chciałem moknąć na tym deszczu. Czułem się, jakby mnie ktoś oblewał silnie żrącym kwasem przenikającym przez skórę, jakbym rozpuszczał się, mając nigdy nie wrócić do pierwotnej formy.

Powoli minąłem kierowcę, ruszyłem ku końcowi autobusu, drzwi za mną trzasnęły. Autobus ruszył, nikogo w nim nie było oprócz jednej postaci na samym końcu, zakapturzonej, ze spuszczoną głową. Wyglądała, jakby spała. Podeszedłem bliżej, pojazd kołysał się na muldach. Usiadłem po drugiej stronie, nie spuszczając jej z oczu. Nie wiedziałem jeszcze, czy będzie odgrywać tutaj jakąś rolę, czy była po prostu przypadkową osobą podróżującą tym autobusem.

Nie można mieć wszystkiego pod kontrolą, jeśli nawet jest to sen, w którym za pstryknięciem palców domki z pisaków zamieniają się w pałace nie do poznania.

Toczyliśmy się smętnym miastem, deszcz zamienił się w śnieg, który od razu topniał, stykając się z podłożem. Ludzie bez twarzy, pędzący przed siebie, a jakby i wstecz, na boki, wwirowym zagmatwaniu. Anonimowi. Nieistniejący, każdy ze swoim nekrologiem na plecach, przez zalane smołą ulice, udeptując psie gówna. Z febrą, trzęsąc się, nie chcąc żyć, każdy, a jakby nikt.

Nie wytrzymując dłużej tego pokerowego napięcia, wyszedłem z inicjatywą rozmowy z moim współtowarzyszem, co za pewne nie wydarzyłoby się w prawdziwym introwertycznym świecie.

– Wiesz może, czemu kierowca nie ma głowy? – zapytałem bez cienia dowcipu czy sarkazmu w głosie.

– Nie wiem, ZŁAMASIE! – warknął w moją stronę. – Sam mi powiedz. To twoja robota. To wszystko. Ten cały bajzel. Zgrywasz niewiniątko, zakłamaną szczurze. Bez godności, bez honoru. Co ty nam najlepszego zrobiłeś, Boże? Tak? Tak mam się do ciebie zwracać? Coraz głębiej, schodek po schodku... Pamiętasz, jak byłeś małym dzieciątkiem i spadłeś ze schodów i co teraz ciągle bez przerwy „schodek po schodku”. Wiesz, gdzie jesteś? To jeszcze nie koniec. Schodek po schodku, schodek po schodku, schodek po schodku... –

Jego oczy wywróciły się do góry, świeciły teraz samymi białkami, kiwał się w takt nieistniejącej muzyki. – Schodek po schodku, schodek po schodku. Zdechniesz prędzej czy później. Nie licz na odkupienie winy.

Autobus się zatrzymał na kolejnym przystanku. Oczy mojego towarzysza wróciły do normy, naciągnął mocniej kaptur i zerwał się energicznie do wyjścia. Miałem ochotę pobiec za nim, miałem ochotę się obudzić, miałem ochotę umrzeć, miałem ochotę na lody czekoladowe.

Ruszyliśmy. Byłem sam, kręciłem palcem rysunki po szybie, tworząc przewrotne konstelacje. Zastanawiałem się, jak bardzo jestem już daleko. Jak bardzo oddaliłem się od mojego łóżka i tych pięknych stworzeń, które karmiłem przez okienko suchym chlebem. Czy czekają na mnie, tak jak każdego poranka? Ich pan wyruszył w daleką podróż, dalej niż kiedykolwiek indziej. Wiedziałem, że jeszcze muszę kopać jeszcze głębiej, jakbym stał w jakiejś przeklętej kolejce na diabelski młyn. Widzę, jak się kręci, ale nie mogę jeszcze poczuć tej całej zabawy. Coś mnie omija. Cała prawda przelatuje mi koło nosa. Nie chcę wiedzieć, że tak naprawdę nie ma żadnej kolejki, a jedynie strach przed wejściem do wagonika paraliżuje mnie przed następnym posunięciem. Gdzie jesteście, wszyscy święci, jak teraz was potrzebuję?

Te epizodyczne wydarzenia, tak bardzo nieistotne a zarazem istotniejsze niż wszystko, co mi się przytrafiło do tej pory. W tym świecie pełnym pustki marzyłem o drobnym pocałunku szczerości względem samego siebie. Kim byłeś, biedny chłopcze? Byłem dla ciebie Bogiem?

Skorumpowany przez sędziów sprawiedliwych. Zapomniałem o wszystkim i o wszystkich, nie rozpoznając odbicia w lustrze, nie byliśmy już dawno ludźmi. Przestaliśmy żyć wraz z narodzinami. Wiedziałem, że straciłem część siebie, którą już nigdy nie odzyskam. Przegrałem los na loterii, nie każdy może być szczęśliwcem na niekończący się sen. Szorując własną gębą po tej szorstkiej ziemi, czułem, jak moje serce jeszcze pompuje wrzącą krew. Umysł walczył. Ciało walczyło. Teraz, jak już byłem tutaj, mogłem tylko się obudzić. Jak w podłym scenariuszu filmowym, ktoś bawił się za moimi plecami, tworząc specjalnie dla mnie niekończącą się etiudę udręki i rozczarowania, sobą. Bez końca, bez namysłu, to wszystko jak splunięcie flegmy, od której tylko się duszę na samą myśl. W tej grafomańskiej zawilości zaświeciło się światełko w tunelu. Wyczuwałem nadejście końca. Ostatni mój przystanek, który miał być zwieńczeniem. Ostatnia łza przelana. Przelana na papier przebudzi wszystkie demony tego świata, tylko po to abym mógł przebaczyć sobie. Odroczyć pokutę.

Autobus zajechał na pętli, wysiadłem, robiąc wszystko, aby tylko nie spoglądać na kikut kierowcy. Ruszyłem w stronę budynku, który przypominał ten wcześniejszy, gdzie mogłem skorzystać z windy i wrócić na klatkę schodową. Byłem już tak blisko zwieńczenia. Przelewało się. Światy na siebie zachodziły, a ja tutaj nie pasowałem, jak ten klin, wadziłem.

Odnalazłem windę, drzwi się zamknęły, ruszyłem, nie chciałem już tutaj być.

Ukląknęłam w rogu i rozplakałam się niczym małe dziecko. Szczerze, bez kłamstwa i obłudy. Tak jak zostałam stworzona, aby kochać i nienawidzić. Tak teraz płakałam. Cały ja. Bez cienia wątpliwości, bez cienia zwątpienia, bez cienia nadziei.

Otworzyłam oczy, a moich przyjaciół już nie było.



UBRANIA I DODATKI DLA FANÓW GROZY

f SPOOKYSTUFFSHOP



PIEŚŃ SKOWRONKA

Antoni Nowakowski

Felix Schumacher z zadowoleniem zatarł dłonie. Nowy, wyjątkowo duży szyld jego wytwórni prezentował się wspaniale.

Schumacher wstał wcześniej rano, zaraz po świcie. Tylko w niedzielę pozwalał sobie na nieco dłuższy sen. Linie energetyczne i magistrale gazowe ciągle były martwe, więc skrzętnie wykorzystywano światło dnia.

Po zmierzchu chroniono się w domach, ryglowano drzwi, sprawdzano mocowanie okiennic. Lampy naftowe były w cenie, podobnie jak kopcące łojówki, a wielu mieszkańców dzielnicy nieźle się dorobiło na ich produkcji. Felix słyszał, że pojawiły się nowe świece, wytwarzane z ciał odmieńców, dające znacznie więcej światła, ale były pioruńsko drogie, więc zrezygnował z ich zakupu.

Rozległe osiedle, położone na krańcach jednego z przedmieść San Francisco, ożywało, gdy rozświetliło się niebo.

Felix cofnął się o kilka kroków, żeby ponownie sprawdzić pierwsze wrażenie. Utwierdził się w przekonaniu, że go nie myliło.

Postać Robina Destroyera zajmowała sporo miejsca, świetnie namalowana przez Harriet. Schumacher w duchu przyznał, że córka naprawdę ma talent. Napis „Felix Arms Company” także przyciągał wzrok. Znany wytwórca broni ocenił, że liternictwo jest takie, jak trzeba, ani zbyt duże, ani za małe, a jego surowa prostota na pewno zwróci uwagę nowych nabywców.

Robin na obrazie został wyposażony w broń, której codziennie używał, wykonaną w zakładzie Felixa, wyraziście wyeksponowaną. W lewej ręce dzierżył skałkową dwururkę, w prawej rewolwer wzorowany na pierwszym modelu peacemakera colta. Nie było widać ciężkiego pałasza, tylko jego rękojeść. Harriet uczyniła tak świadomie – kordy, szable i tasaki produkował inny zakład.

Dolną część zdobił napis „Pamiętaj, rewolwer Schumachera zawsze trafia tam, gdzie mierzysz! Celuj w głowę, a pozbawisz życia tych odmieńców! Na zawsze! Nieodwołalnie! Użyźnią pola Samuela!”.

Felix uśmiechnął się radośnie. Podobiznę i reklamowy slogan widać było z daleka. Nie narzekał na brak zamówień, ciągle przybywali nowi klienci. Wielu dawało zadatki. Ale teraz ich liczba na pewno wydatnie wzrosnie. Przyniosą wszystko, czego potrzebował on, córka, pracownicy i ich rodziny – cukier, sól, ziarna kawy, herbatę, pakiety ciastek, będący rarytasem chleb kukurydziany, mięso, może znajdzie się też świeże masło i nadal rzadko spotykane owoce.

Życie powoli wracało do normalności, uzyskiwano przewagę nad odmieńcami, zarażonymi, jak często ich określano. Obszar władztwa ludzi systematycznie się rozrastał, a to umożliwiało organizowanie znacznie większej liczby wypraw penetrujących magazyny dawnych sklepów, hurtowni i supermarketów, ciągle jeszcze nie do końca opróżnionych. Nadal przynoszono obfity łup, chociaż wiele pojemników już wypełniała dziwna, kleista maź pełna robaków, a z konserw, mimo szczelnego zamknięcia, bił zatykający nozdrza fetor.

Schumacher, jego córka i pracownicy nie narzekali na głód i ubóstwo, przeciwnie, Felix rozważał wykorzystanie dawnego garażu na dodatkową spiżarnię. Niekiedy ze śmiechem powiadał, że wróciły czasy pierwotnej wymiany towarowej, a on na niej bardzo korzysta. Czasami dodawał, że papierowe dolary znakomicie sprawdzają się w roli przybitek do strzelb skałkowych i otrzymuje je w setkach sztuk, i to bez żadnych kłopotów.

Felix i jego ludzie, ponad dwa tuziny robotników, ustawicznie zajęci pracą, nie mieli czasu na pozyskiwanie pożywienia. Wraz z innymi cennymi przedmiotami przynosili je klienci, wymieniając na broń.

Wszystkie drzewa parkowe i owocowe wraz z krzewami bezlitośnie wycięto. Pnie i grubsze gałęzie wykorzystano do budowy okiennic, zapór, parkanów i wzmocnień drzwi, pozostałości dawnej flory służyły jako opał do prymitywnie skleconych piecyków kuchennych. Nadal na oswobodzonych terenach każde drzewo szło pod topór, a Schumacher zacierał dłonie – jego wypalarnia węgla drzewnego pożerała mnóstwo surowca niezbędnego do produkcji prochu. Dopiero niedawno gdzieniegdzie pojawiły się jabłonie i grusze zdobiące dawne trawniki, pilnie teraz strzeżone przed intruzami. Felix nie miał pojęcia, skąd wzięto nasiona. Przy przeszukiwaniu pozostałości dawnych sieci handlowych baczono, żeby nie zapuścić się za daleko. Tereny poza już kontrolowanym obszarem nazywano krótko – „no man's land”.

Nikt nie wiedział, skąd wzięło się to określenie.

O jednym nigdy nie zapomniano – z dziką rozkoszą wybijano nieumarłych, przynajmniej tutaj, w okolicy, gdzie Felix stworzył swoją manufakturę. Okazało się, że nie do końca byli tacy niezniszczalni.

Przełom zapoczątkował Robin, ale rewolwery Felixa i kule odlewane z metali kolorowych miały w tym wielki udział, może nawet kluczowy. Pozwalały z odległości kilkunastu kroków trafić w mózg odmieńca, co kładło kres jego istnieniu. Już się nie odradzał. Dla pewności ucinano truposzowi głowę.

Znany wytwórca broni ponownie zwrócił wzrok na pięknie prezentujący się szylid. Niebawem Destroyer przybędzie po odbiór honorarium. Czekają ich pyszne śniadanie i rozmowa o poważnych interesach, propozycję których Felix zamierzał przedstawić, radykalnie zmieniających przyszłość. Uważał, że bohater walki z odmieńcami ją przyjmie.

Powinien też zjawić się inny gość, bardzo lubiany przez Schumachera, każdego poranka niecierpliwie wyczekiwany.

Dzisiaj dziwnie się spóźniał...

Felix skierował spojrzenie ku niebu.

Z utęsknieniem i rosnącym zniecierpliwieniem czekał na codziennego przybysza i jego popis – na pieśń skowronka.

– Nuże, chłopcze, zaczynaj. Nie guzdraj się – mruknął pod nosem Schumacher. – Bez ciebie dzień jest niepełny... Nijaki, źle się zaczyna. Zaśpiewaj mi pieśń tryumfu!

Skowronki pojawiły się dwa lata temu. Felix wcześniej nigdy ich nie widział. Ze wstydem przyznawał, że nawet nie wiedział o ich istnieniu.

Harriet, kochająca zbierać książki i je studiować, szybko odkryła, czemu ranki umilają wspaniale brzmiące trele.

– Samczyk oznajmia swoim pobratymcom, że włada tym polem, a oni niech szukają sobie innego – stwierdziła stanowczo. – Może też śpiewać pieśń godową. Przyzywa przyszłą żonę.

Felix zauważył, że z uśmiechem zerknęła wtedy w stronę Willy'ego, czeladnika zajmującego się wytwarzaniem naboju. Kleił papierowe tutki i napełniał je prochem, a potem mocował kapiszon i osadzał kule. Miał bardzo odpowiedzialną pracę. Też uwielbiał zgłębiać stare szpargały, pozostałości po dawnych dniach spokojnego życia. Bez wahania

niszczył dzieła, które określał jako szmatławe i nic niewarte. Wszelkiego rodzaju encyklopedie, poradniki i instrukcje troskliwie odkładał na bok.

Schumacher sądził, że córka i Willy wkrótce wezmą ślub. Wyglądało na to, że się kochają, a połączyły ich wyprawy do bibliotek po papier. Cieszyła go myśl, że pewnie niebawem zostanie dziadkiem. Żałował, że żona nie doczekała odmiany losu mieszkańców osiedla. Zmarła na zawał, śmiertelnie przerażona hordami odmieńców zmieniających ludzi w żywe trupy.

Harriet nie rozumiała tylko, czemu skowronki osiedliły się właśnie tutaj.

Schumacher wyjaśnił, dlaczego tak się stało. Doskonale pojmował przyczyny osiedlenia się podniebnych przybyszów.

– Za tylnym parkanem rozciąga się jedno z pól Samuela – stwierdził z uśmiechem. – Zobacz, jak bujnie rośnie tam trawa. Ptaszki mają w bród pożywienia. I pewnie gnilne soki też im smakują...

Pola Samuela były miejscami, w których chowano trupy odmieńców, nareszcie zastygłe w bezruchu. Bano się ich nawet dotknąć, lękając się zarażenia. Pierwszym, który odważył się wrzucić zwłoki do rozległego dołu, był farmer Samuel Spade. Nie zależało mu na życiu, stracił żonę i dwójkę dzieci.

Zaryzykował i w grubych, długich do łokcia rękawicach pogrzebał nadal broczące ropą zwłoki, a potem wyrównał grunt i posiał na nim kukurydzę. Tłumaczył sąsiadom, że szkoda mu było zostawić bez pożytku akr ziemi.

Rośliny wspaniale obrodziły, a wyrosnięte kolby łamały łodygi.

Teraz pola Samuela stały się powszedniością. Ich twórca związał się z pewną wdową i począł wypiekać chleb, który natychmiast znajdował nabywców.

Na firmamencie nareszcie pojawił się wyczekiwany ptaszek. Łukowatymi zakosami wznosił się w przestworza w idealnie spiralnym locie. Początkowo milczał, ale przy trzecim kręgu perliste trele zaczęły pieścić uszy Felixa. Dźwięki układały się w harmonijną melodię, radosną, w koncert niebywalej śpiewaczej doskonałości.

Skowronek nieruchomo zawisł wysoko i ciągnął dalej swój popis.

Brzmiał cudownie.

– Wspaniałych masz sąsiadów. – Mocno brzmiący głos odwrócił uwagę Felixa. – Zazdroszczę ci... Tam, gdzie mieszkam, jeszcze nie ma tych ptasząt. Fenomenalnie śpiewa!

Za masywną, dobrze zaryglowaną bramą stał dryblas w kasku z nosalem i drucianą osłoną twarzy, ubrany w gruby kaftan ze skóry wzmocniony sztabkami żelaza, spodnie z samodziału i buty z wysokimi cholewkami. Za pasem miał rewolwer, a u boku ciężki kord.

Robin Destroyer, najbardziej znany eksterminator zarażonych, punktualnie stawił się po odbiór należności za udostępnienie swojego wizerunku.

Jak często się zdarzało, w swojej wypowiedzi użył prawie już zapomnianego, niemal archaicznego wyrazu.

– Myślę, że codziennie intonuje hymn radości – poważnym tonem odpowiedział Felix.

Rozejrzał się uważnie. Tak czyniono zawsze, sprawdzając, czy gdzieś za załomem murów, wrakami samochodów i tramwajów nie czai się śmiertelne niebezpieczeństwo – grupa odmieńców. Zaczął zwalniać zasuwy.

– Ma w bród jedzenia i nikt go nie niepokoi. Dla mnie – ciągnął z uśmiechem – ta pieśń jest potwierdzeniem naszego sukcesu.

Uścisnęli sobie serdecznie dłonie.

– Chodź – zakończył Schumacher, kordialnie klepiąc gościa po ramieniu. – Zjemy pyszne śniadanie, a potem pogadamy o przyszłości. O wielkich planach i wielkich interesach.

Po wejściu do salonu Robin stanął, zaskoczony tym, co zobaczył.

Centralny pokój willi Schumachera lśnił czystością, stół przyciągał uwagę pięknym nakryciem, śnieżnobiałym obrusem z misternymi haftami, krzesła z wysokimi oparciami obiecywały wygodę, ale do elegancji tego pomieszczenia Robin dawno się przyzwyczał.

Nowością był pyszniący się na ścianie zegar wiszący. Głośno tykał.

Prostokątną obudowę zdobiło wypukłe obramowanie przypominające fantazyjne wijące się łodygi bajkowych roślin. Zadziwiało symetrią poszczególnych elementów i precyzją wykonania. Szczyt wieńczyła rzeźba przedstawiająca spinającego konia jeźdźca w kapeluszu, z wyciągniętą przed siebie szablą. Sprawiała wrażenie, że za parę sekund kawalerzysta śmiało popędzi dalej.

Całość wykonano w drewnie pokrytym bijącą ciepłym blaskiem, brązową politurą.

Wahadło połyskiwało świeżo nałożoną pozłotą, a porcelanowy cyferblat bielą niedawnego odnowienia.

Stary czasomierz prezentował się niezwykle majestatycznie.

Robin otworzył usta, pewnie chcąc zadać jakieś pytanie, ale Felix go ubiegł.

– Sam nie wiem, dlaczego go nabyłem, a drogo mnie kosztował – stwierdził poważnym tonem. – Chociaż... Chociaż – z uśmiechem ciągnął po chwili milczenia – pomysł kupna tego muzealnego okazu był efektem pracy nad moim planem. Opowiem o nim po śniadaniu – dodał pośpiesznie. – Uzmysłowiłem sobie, jak bardzo ten relikwiarz przeszłości jest ważny. Sam się wkrótce przekonasz dlaczego.

Zerknął na tarczę z czarnymi wskazówkami.

– Ale teraz zacznijmy jeść, inaczej pieczone wystygnie – dodał. – Harriet by nas przeklęła, bo mocno się napracowała.

Zdjął pokrywkę z pokaznego półmiska.

Posiłki traktowano teraz z nabożeństwem, a do łask wróciły dawniej używane określenia potraw.

– Co dałeś w zamian za zegar? – z zainteresowaniem zapytał Robin.

Już trzymał widelec w dłoni.

– Dwa pistolety skałkowe i dziesięć ładunków. – Felix wyraźnie się skrzywił. – Dwulufowe, cenne...

Przez kilka długich minut sycili głód. Tylko tykanie zegara zakłócało ciszę.

– Ten muzealnik mieszka blisko rubieży, nadal zajmowanej przez odmieńców – podjął Schumacher. – Boi się o swoją rodzinę. Z tej broni zgładzi co najmniej trzech zarażonych, czwarty pocisk wpakuje sobie w głowę. Albo pozbawi życia żonę, dwoje dzieci i na końcu popełni samobójstwo.

Krzywo się uśmiechnął.

Ludzie nie cenili teraz swojego istnienia. W sytuacji zagrożenia często woleli szybko umrzeć, nim staną się członkami hordy broczących ropą napastników. Albo ich pokarmem i skonają, pożarci żywcem.

Robin pokiwał głową.

– Życie... – stwierdził. – Samo życie...

Uderzenie kuranta zabrzmiało czysto, metalicznie, bardzo podobnie do dźwięku gongu, wypełniając przestrzeń salonu. Za pierwszym nastąpiło kolejnych pięć.

Zegar oznajmił, że upłynęło sześć pierwszych godzin dnia.

– Widzisz, on mi przypomina, że musimy wykorzystać każdą chwilę, każdy kwadrans, każdą dobę do osiągnięcia naszego celu: wycięcia tych ludzkich bydła do ostatniego – poważnym tonem stwierdził Schumacher. – Teraz chyba rozumiesz, czemu go kupiłem? Nie możemy tracić czasu, a ten zabytek mnie o tym informuje... Niedługo dowiesz się, co opracowałem. Projekt zwycięstwa...

Szeroko się uśmiechnął.

Palce Felixa wybiły na blacie stołu jednostajny, ale szybki rytm, podobny do uderzeń werbla, parę wieków temu towarzyszących żołnierzom idącym do szturmu.

– Parę kropelek śliwówki do kawy? – Felix wyjął korek z pękatej butelki. – Znakomicie poprawia smak.

– Poproszę. – Robin kiwnął głową.

– Wiesz – ciągnął Schumacher rozbawionym tonem – niedawno dowiedziałem się, że sąsiad urządził na jakimś polu Samuela sad pełen śliw. Na drzewach rosną owoce ledwie mieszczące się w dłoni, o niebiańskim smaku. Zaczął produkować z nich doskonałą wódkę. Nawóz z ciał tych skurwieli przydaje się do wszystkiego! Zabawne... Pewnie z dawnych czasów jakimś cudem zostały mu pestki, więc je wykorzystał – dodał po chwili zastanowienia. – Przypomniał sobie, że to przecież nasiona... Na razie to jedyny taki ogród.

Robin wzruszył ramionami. Zdawał się nie słuchać – zerkał w stronę stolika pod oknem. Harriet i Willy też teraz rozkoszowali się rannym posiłkiem. Nagle dziewczyna zaczęła się perliście śmiać.

Czule potargała Willy'emu bujną czuprynę.

– Mają się ku sobie – konspiracyjnym tonem zauważył Felix. – Chyba wezmą ślub.

Na twarzy Robina odbiło się zaskoczenie.

– Myślałem, że ...

Nie dokończył zdania. Tak mocno zwarł zęby, może w przyływie nagłego gniewu, że zgrzytnęły. Niecierpliwym gestem przetarł powieki.

Robin miał chudą, młodo wyglądającą twarz, rzadkie włosy koloru słomy i kilka piegów na policzkach. Górną wargę okalał wąsik przypominający zwitek pozostałości po uschniętym pęku pokrzyw.

– Już nieważne... – stwierdził głucho brzmiącym głosem.

Zacisnął wargi. Wydawało się, że zmełł w ustach wulgarne przekleństwo, nie chcąc, żeby Felix je usłyszał.

Gospodarz niespodziewanie zmienił temat rozmowy.

– Naprawdę nazywasz się Destroyer? – spytał z ciekawością. – Nigdy nie słyszałem takiego nazwiska, chociaż, przyznam, pasuje do ciebie.

– Skądże. – Robin wzruszył potężnymi ramionami. – Jestem Robin Smith i tego jestem pewien.

Potrząsnął głową, jakby chciał odegnąć złe, męczące umysł wspomnienia.

Może poczucie sytości, a może uspokajające tykanie zegara spowodowały, że nagle zdecydował się na chwilę zwierzeń.

– Współpracujemy i osiągamy coraz większe sukcesy – stwierdził. – Dobrze byłoby, żebyś wiedział, z kim masz do czynienia, więc opowiem ci moją historię, chociaż naprawdę nie jest ciekawa. Nikt jej nie zna, a ja sam chciałbym o niej na zawsze zapomnieć...

Niepodziewanie ciężko westchnął.

– Matka podrzuciła mnie pod bramę sierocińca, gdy nie miałem jeszcze trzech lat. – Twarz przybysza skurczyła się w dziwnym grymasie. – Wredna suka... Chyba naczytała się za dużo komiksów o banitach z Sherwood – ciągnął wolno – i z nich wzięła imię. Pamiętam, że dużo tych opowieści walało się w klitce, w której się gnieździiliśmy, pełnej karaluchów. Na nadgarstku miałem pasek papieru z imieniem, nazwiskiem i datą urodzenia, przyklejony przezroczystą taśmą klejącą. Bardzo bolało, gdy zakonnicy ją odrywali. Destroyer to przydomek.

– Co było dalej? – zapytał Felix. Siorbnął łyk kawy i z uznaniem pokiwał głową.

– Wielkie gównno – spokojnie odpowiedział Robin. – Tak, skończyłem szkołę, nauczyłem się tam wielu rzeczy. Ale jedzenia dawali tyle co kot napłakał. Kazali nam ciężko harować. To wcale nie było jeszcze najgorsze, najgorsze było co innego. Domyśl się co.

Wyraźnie się wstrząsnął. Sięgnął po zapomnianą filiżankę z parującym naparem.

Milczeli przez chwilę.

– W końcu dałem nogę, o parę lat za późno. – Robin krzywo się uśmiechnął. Cały czas zerkał w stronę stolika, przy którym Willy i Harriet o czymś żywo dyskutowali przyciszonymi głosami. – Powiem jedno – gdybym teraz napotkał moich opiekunów w sutannach, związałbym i zataszczył pod najbliższe miejsce pobytu odmieńców. Wyjął im na wierzch kutasy, żeby ludojady od nich zaczęły ucztę. Dbali o swoje penisy, dbali, więc to powinno sprawić im przyjemność... Rozumiesz, o co chodzi?

– Chyba tak – ostrożnie odpowiedział Schumacher. – Nie miałeś szczęśliwego dzieciństwa.

Wyjął z szuflady stołu kilkanaście kartek papieru zapisanych ołówkiem. Nikt już nie pamiętał, kiedy zniknęły wieczne pióra i długopisy z wkładami zaschniętymi na kamień, ale ołówki nadal znajdowano.

– Potem już nie było tak źle – obojętnie stwierdził Robin. – Pracowałem jako robotnik rolny. Zbierałem fasolę, kukurydzę, winogrona. Niewiele płacono, garść dolarów i talerz stawy za dzień mordęgi, ale nie miałem wielkich potrzeb. No i decydowałem sam o sobie... W końcu wydarzył się szczęśliwy traf. Zatrudnił mnie jako nocnego stróża właściciel sklepu z bronią – ciągnął z nikłym uśmiechem.

Widać było, że to wspomnienie sprawia mu przyjemność.

– Nazywał się Jack Atkins. Trochę go oszukałem, jeżeli idzie o wiek. Płacił mało, ale miałem własny pokój. Zajął się mną, ukończyłem kurs księgowości i nauczyłem się dobrze strzelać, z każdej pozycji. Rozumiesz, klienci sprawdzali właściwości broni... Teraz to się bardzo przydaje. Dużo czytałem, prawdę powiedziawszy, pożerałem książki, jedną po drugiej. Moim pierwszym bohaterem stał się D'Artagnan... Potem przyszedł czas na „Moby Dicka” Melville'a. I innych, Stendahla, Hemingwaya, Tolstoja i Dostojewskiego... Wiesz, nawet polubiłem Raskolnikowa. Bardzo się rozwinąłem.

Uśmiechnął się tęsknie, jakby pamięć niespodziewanie przywiodła piękne wspomnienia i marzenia, nadal tłące się w głębi duszy.

Nagle Robin strzelił palcami, jakby coś sobie przypomniał.

– Atkins nosił wąsy, więc ja sobie też zapuściłem. Z nimi nikt nie wziąłby mnie za młodego gnojka. No i lepiej wyglądam...

Felix kaszlnął, jakby chciał stłumić śmiech. Dziwnie brzmiące nazwisko, przywołane przez przybysza, nic mu nie mówiło.

Teraz już jednak wiedział, skąd gość czerpie te pięknie brzmiące, ale prawie zapomniane określenia. Przyswoił je sobie w młodości.

– Ciekawe wspomnienia z czasów przed zagładą. Każdy jakieś ma, czasami dobre, czasami złe... – rzucił.

Zdawało się, że Schumacher myśli już o czymś zupełnie innym.

– Porozmawiajmy o przyszłości. O moim wielkim planie i wielkich interesach. Czeka nas wspaniała przyszłość, przekonasz się!

Odsunął kubek i wziął ze stosiku pierwszą kartę.

Musiały być ważne, bo zwykle papier wykorzystywano tylko do produkcji rewolwerowych ładunków.

– Co zamierzasz?

Robin znowu przeniósł spojrzenie na stolik pod oknem, z którego Willy i Harriet uprząтали talerzyki i sztucce.

– Staram się, poszerzamy władztwo ludzi – dodał. – Praca na lata... Cóż więcej jeszcze można zrobić?

Podniósł i zważył w ręku pękata sakwę wypełnioną darami Felixa, zapłatę za udostępnienie swojego wizerunku. Chrząknął z uznaniem.

– Nie sprawdzisz, co dostałeś? – ze zdziwieniem zapytał Schumacher. Ciągłe trzymał w dłoni gęsto zapisaną kartkę.

– Na pewno dałeś tyle, ile trzeba – spokojnie odpowiedział Robin. – Powiedz tylko, czy włożyłeś kruche ciastka z cukrem?

– Całą torbę, tak, jak prosiłeś. Wczoraj wypiekane. Lubisz?

– Szkraby w moim apartamentowcu zajadają się nimi. – Niespodziewanie Robin szeroko się uśmiechnął. – Żebyś widział, jak się cieszą, gdy je przynoszę! Trochę się nimi opiekuję...

Zamyślił się. Nagle westchnął.

– Dobrze znam to uczucie – kontynuował. – Też strasznie tęskniłem za słodkościami, gdy przebywałem w zakładzie tych pierdolonych gwałcicieli zwanym sierocińcem. Czekałem cały tydzień, żeby w niedzielę skosztować kęs stęchłego puddingu...

Przywołana przeszłość nadal musiała dręczyć Robina, bo nagle bluznął ordynarnym przekleństwem, a potem pogardliwie prychnął.

– Już nieważne... Niepotrzebnie o tym opowiadałem. Dobra, koniec z tymi głupimi wspomnieniami.

Mocno potrząsnął głową, jakby ponownie pragnął odpędzić męczące go złe myśli.

– Lepiej powiedz, o co chodzi? – zapytał zdecydowanie.

– O projekt przyśpieszenia dalszego rozwoju, skokowego postępu, opracowany przez Willy'ego – spokojnie odpowiedział Schumacher. – Łebski z niego chłopak... Kończył socjologię, gdy nagle pojawiły się te ludojady i świat przewrócił się do góry nogami. Już wcześniej miałem taki pomysł, ale on go sprecyzował i rozwinął.

Przeciągnął dłonią po wydatnej łysince.

Felix niegdyś, w czasach młodości, prowadził dobrze prosperujący warsztat samochodowy. Największy dochód przynosiło jednak dodatkowe zajęcie, tworzenie replik dawnej broni. Znajdowały wielu odbiorców. Wybudował nawet niewielką rusznikarnię. Z czasów przed inwazją zarażonych pozostało wiele gotowych półfabrykatów, luf, kurków, bębenków i sprężyn. Długo wydawały się zupełnie niepotrzebnymi gratami, ale po wyczerpaniu zapasów amunicji Felix szybko zrozumiał, jak bardzo są ważne.

Teraz stale powiększana fabryczka stała się podstawowym elementem jego manufaktury, chociaż nie jedynym.

– Tak... – mruknął Robin. – Niektórzy siedzą w ciepelku, a inni się narażają. Na pożarcie żywcem, jeżeli te bestie są wygłodzone.

Schumacher nie zareagował na kąśliwą uwagę.

– Jedni wykonują to, inni tamto – stwierdził krótko. – Posłuchaj: odzyskujemy teren, ale straszliwie wolno. Potrzeba znacznie większej liczby grup egzekucyjnych... A ich szefowie stworzą następne. Ty je przeszkolisz i będziesz nimi kierował. Doskonale znasz tę robotę... Nowe tereny, nowe źródła materiałów, miedzi, srebra, złota i brązu na lanie kul. Pojmujesz? Realna możliwość zwiększenia produkcji moich rewolwerów. Podstawa ekspansji...

Oczy mu błysnęły. Ze stosika wyjął kartkę i przez moment studiował ją uważnie, kiwając głową, może chcąc coś sobie przypominać.

– Teraz kontrolujemy parę kwartałów, niebawem całą dzielnicę, potem kolejną – ciągnął. Machał dłonią dla podkreślenia wagi swoich słów. – W końcu, dzięki nowym oddziałom trzebicieli zarażonych, wyzwolimy Frisco. Zabierzemy się za oswobodzenie stanu. Ha!

Odłożył arkusik na miejsce.

– Wtedy ogłoszę się burmistrzem.

Uśmiechnął się wyraźnym zadowoleniem.

– Potrzebny jest taki urząd. Potem pewnie gubernatorem.

Twarz dawnego mechanika przybrała marzycielski wyraz.

Sięgnął po kolejne zapiski, chcąc kontynuować przedstawianie swoich zamierzeń, ale uniemożliwiło to bicie zegara.

Siedem uderzeń przypomniało, że minęła kolejna godzina.

– Czas ucieka, ale my go niebawem nadrobimy. Wyprzedzimy – stwierdził Felix pewnym siebie tonem. – Moim wnukom zostawię wspaniałe dziedzictwo. Oni dokończą dzieła.

Nie zauważył, że Robin wyraźnie się skrzywił.

Przez kilkanaście sekund obaj wsłuchiwali się w tykanie starego zegara.

– Kim zostanie Harriet? – cicho zapytał Robin.

Przeglądał płowy wąsik. Nadal zarost pod nosem wyglądał jak pozostałość po wyschniętych chwastach.

– Moim sekretarzem – bez wahania odpowiedział Felix. – Ważną postacią. Wszystko mamy opracowane.

Zerknął na kartkę i wziął następną.

– Willy stanie na czele rady naukowej, pewnie też powołam go na mojego zastępcę. Umie organizować pracę, szpera w dokumentach, zanim pójdą do wytwórni nabożów. Twierdzi, że może poznamy przyczyny zmiany ludzi w odmieńców. Wyjaśnienie, dlaczego ropa i ta dziwna wydzielina nie krzepną, ma istotnie znaczenie. Gniją za życia, ale nie umierają... Ruszają się, atakują, żywią wyłącznie człowieczym mięsem. Przemieniają się w drapieżne zwierzęta.

Ludzie dobrze już wiedzieli, jak wygląda proces przeistaczania się zarażonych. Przednie zęby stawały się ostrymi kłami, palce szponami, zdolnymi bez wysiłku rozrywać ciała ofiar. Skóra odmieńców zaczynała płatami odpadać, a ilość ropy i dziwnej wydzieliny stale się powiększała.

Nigdy nie krzepły. Niekiedy śmiano się, że ci, u których ten proces osiągnął apogeum, przypominają żywe sadzawki.

Ci stanowili największe niebezpieczeństwo. Dawno już zauważono, że szybko zostają prowodyrami grup odmieńców, prowadzą ich do ataków, starając się zwiększyć liczebność hordy.

Tych osobników Robin i inni łowcy odstrzelili w pierwszej kolejności.

Niespodziewanie Felix zamyślił się.

– Willy sądzi, że odmieńcy są efektem nieudanych eksperymentów genetycznych, mających na celu osiągnięcie długowieczności i odmładzania ludzkich tkanek. Także mózgu, chociaż to wydaje się nieprawdopodobne... – podjął z zastanowieniem. – Coś jednak poszło

nie tak, stworzono zwyrodnialców. Wyzwolili się i w okamgnieniu niczym szarańcza wszędzie rozlali. To dopiero przyszłość, ale takie badania mogą zwiększyć produkcję żywności.

Głośno strzelił palcami.

– Na razie starcza, ale co będzie później? – zapytał z emfazą. I sam sobie odpowiedział. – Potrzebujemy wielu upraw kukurydzy, pszenicy, fasoli, kawy, może i tytoniu, nawożonych ludzkim gnojem z ciał odmieńców, niezwykle wydajnym... Wtedy przeżyjemy. Ten problem ma strategiczne znaczenie.

Słowa Felixa zabrzmiały dziwnie, tak, jakby Schumacher kogoś cytował. Robin wiedział, że Willy'ego. Już chciał wypowiedzieć zjadliwą uwagę, ale zmilczał.

Gospodarz z uśmiechem zerknął w ostatni arkusik, pokryty rycinami. Wyglądał inaczej od pozostałych, był znacznie grubszy i mocno zażółcony ze starości. Ktoś u góry foremnymi literami dopisał ołówkiem kilka linijek tekstu.

Robin wyteżył wzrok. Felix zauważył zainteresowanie gościa.

– „Z nowej broni Schumachera jak zwykle trafisz nieomylnie w głowę odmieńca, tylko ze znacznie większej odległości! Zwłoki wykorzystasz jako gnój na swoim polu Samuela i zyskasz więcej, niż wydasz” – wolno odczytał dopisek.

Zachichotał.

– Na podstawie starego wzorca opracowałem nową broń, karabin iglicowy – stwierdził z dumą. – Doskonała flinta! Willy wymyślił reklamę.

W głosie Schumachera zabrzmiał zachwyt.

– Wielki, pełen rozmachu plan, muszę go przemyśleć – cicho stwierdził Robin. Wstał. Wydawało się, że zbiera się do odejścia. – Wreszcie zatryumfujemy...

Założył hełm.

– Ten Willy wszędzie się pcha, niczym natrętna mucha... – stwierdził sucho.

Ochrona głowy w rzeczywistości była kaskiem motocyklowym z mocną osłoną podbródka. Schumacher dołączył do niego sztabę żelaza, przesłaniającą nos i przymocował nitami plecionkę z drutów z owalnymi otworami na wysokości oczu, umożliwiającymi swobodne patrzenie. Z tyłu kark zabezpieczał gruby płat skóry.

– Inteligentny i dobrze poukładany chłopak – poważnym tonem odpowiedział Felix. – Gdy już oczyścimy nasz kwartał do końca, planują pierwsze dziecko. Wiesz – ciągnął z uśmiechem – pewnie stworzymy ród, podobny do klanu Kennedych. Czemu nie? Chciałbym tego doczekać...

Worek z darami Felix związał długim sznurem tworzącym pętlę. Pomógł Robinowi przewiesić pakunek przez ramię, żeby ręce miał wolne.

Robin nic już nie powiedział, tylko zacisnął wargi. Dowiedział się najważniejszego, czegoś, co obracało w gruzy planowaną przez niego przyszłość.

Nikt nie dostrzegł, że znowu spojrzał na przemierzającą pokój Harriet, a jego twarz skurczyła się w grymasie gniewu.

Schumacher wyszedł razem z nim. Musiał zamknąć bramę.

Na stoliku pozostały dwie filiżanki z niedopitą kawą, butelka śliwowicy i piękne kryształowe naczynie pełne trzcinowego cukru, jeden z wielu przedmiotów będących dumą Felixa, świadczących o powracaniu do normalności.

Wracając do siebie, Robin kręcił głową i uważnie się rozglądał. To był nawyk doświadczonego łowcy, mimo tego, że w ten kwadrat ulic odmieńcy zapuszczali się już bardzo rzadko. Robin sądził, że woleli szturmować dalsze rewiry przedmieścia, łatwo znajdując tam ludzki łup. Strawę nasycającą ich ciągle łaknące mięsa żołądki.

Obojętnie mijał wypatroszone do cna wraki samochodów i tramwajów. Wszystko się przydawało do codziennego życia. Zniknęły też metalowe skrzynki na listy zagrabione przez czeladników Schumachera na potrzeby jego wytwórni. Każda uncja metalu była cenna.

Domy – niewielkie wille z zachwaszczonymi ogródkami, niecały tuzin kilkupiętrowych kamienic – wyglądały jednak porządnie, zabezpieczone zaporami z prętów i drutów, z oknami na parterach osłoniętymi warstwami desek. W jednej z czynszówek na wyższej kondygnacji pyszniły się nawet firanki.

Ta część suburbium San Francisco za dnia mocno się już ożywiła. Kobieta w chustce na głowie właśnie zabierała się za mycie czarnych od brudu szyb okiennych. Pomachała Robinowi ręką.

Odpowiedział ospałym gestem.

Czuł, że przepełnia go dawno nieodczuwane i prawie zapomniane poczucie bezsilności. I bezwolności, jak wtedy, gdy został pensjonariuszem sierocińca.

Kochał Harriet całą duszą, od chwili, gdy ją zobaczył. Dla niej podejmował coraz bardziej ryzykowne wyzwania, dzięki niej stał się osobą znaną i podziwianą. Czuł się spełniony, szczęśliwy jak nigdy w życiu. Żył w przeświadczeniu, że jego dokonania i rosnąca

sława wywołują admirację Harriet. Zauroczenie, coraz bliższe gorącemu uczuciu. Był tego pewien. Niezłomnie wierzył, że niebawem połączą się i staną jednością. Będą mieli dzieci.

Ten świat nagle się zawałił. W jednej chwili marzenia prysły niczym mydlana bańka. I nic nie mógł już zrobić.

Teraz Robin rozumiał, że żył w krainie umysłowej ułudy, głupich, szczeniackich marzeń, istotnych tylko dla niego.

– Będę nadal ryzykował, starał się, a oni będą płodzić śliczne maluchy... – mruknął pod nosem. – Stworzą klan Schumacherów... Gdy wreszcie przestanę być potrzebny, znowu zmienię się w popychle, zbieracza kukurydzy na polach Samuela... Gubernator Schumacher, senator Schumacher, a o mnie zapomną. Felix nawet nie nadmienił, jakie stanowisko obsadzę. Niedoczekanie...

Wiedział, że przemawia przez niego gorzka zawodu, ale na to nie zważał. Czuł gniew szybko zamieniający się w furiacką wściekłość.

– Niedoczekanie – powtórzył głucho. – Codziennie się narażałem, a ją zdobył zwykły gnojek, damski pieszczoł, pewnie srający w gacie ze strachu na widok zarażonego. Jedno wielkie skurwysństwo!

Nagle stanął. W umyśle narodziła się dziwna myśl.

Początkowo wydawała się szaleńcza, niemal obłąkana, straszna, ale teraz zaczynała mu się coraz bardziej podobać.

Uśmiechając się sam do siebie, rażno ruszył naprzód.

Nagle odnalazł nowy cel życia i możliwość okrutnej zemsty. Musiał je spokojnie rozpatrzyć.

Dopiero zaczynało świtać, gdy następnego dnia Robin Smith, zwany Destroyerem, wyruszył na poszukiwanie bandy odmieńców. Zwiadowcy ustalili, że bytują w zrujnowanej willi i stamtąd dokonują wypadów. Dwa dni temu zmasakrowali mieszkańców małego zaułka, przemieniając ofiary w swoich pobratymców.

Robin korzystał ze wsparcia kilkunastu osób. Pomagali mu młodzi mieszkańcy apartamentowca, w którym znalazł lokum, przeprowadzając rozpoznanie, osłaniając atak, a po zakończeniu akcji zabierając zwłoki. Teraz już je ćwiartowali, żeby szybciej użyźniały glebę. Poszatowane na kawałki trupy nabywali okoliczni mieszkańcy, dobrze się odpłacając.

Pomocników Robina nazywano zwiadowcami, często też rangersami.

Ale teraz Robin był sam. Jego towarzysze mieli opuścić apartamentowiec trzy kwadranse później, przyczać się w bezpiecznym miejscu i ruszyć, gdy umilkną strzały.

Zanim wyszedł, ułożył na kuchennym stole resztę kruchych ciastek z cukrem dla dzieciaków rangersów. Zostało ich jeszcze sporo.

Spędził bezsenną noc, bijąc się z myślami, i jeszcze nie podjął ostatecznej decyzji, chociaż pragnienie zemsty na Harriet stawało się coraz bardziej dominujące.

Tłumaczył sobie, że musi pogrzebać dotychczasowe marzenia, zapomnieć o nich, ale natychmiast w umyśle rodziły się natrętne wizje kochających się Harriet i Willy'ego, niebawem opiekujących się dziećmi. Wtedy czuł narastające poczucie wściekłości, odepchnięcia. Potraktowania jak niepotrzebny, zużyty przedmiot. I poczucie bezsilności, a od czasu pobytu w sierocińcu go nie znosił. Ale pomysł zemsty był równie obrzydliwy, straszny, rodził nieodwracalne skutki. Budził lęk.

Bandę zarażonych spostrzegł z odległości nieprzekraczającej stu jardów, jeszcze bezpiecznej. Siedmiu mężczyzn i młoda kobieta pożerali ciało nieszczęśnika, który nieopatrznie zapuścił się zbyt daleko od kontrolowanych przez ludzi rewirów, może w poszukiwaniu cennych metali.

Odmieńcy musieli być wyjątkowo głodni. Ich wygląd wskazywał, że u wszystkich proces przemiany dopiero się rozpoczął.

Nie stanowili zagrożenia. Z tej odległości wykończy dwóch strzałami z dubeltówki, resztę pošłą do piekła kule z sześciostrzałowca Schumachera, a egzekucję zakończy ciosami kordu, odrąbując głowy.

Oni też go zauważyli. Zaczęli się cofać. Dziewczyna z długimi włosami nadal łakomie obgryzała coś, co wyglądało na męski łokieć. Niespodziewanie poprawiła ciągle jeszcze dobrze wyglądającą fryzurę. Tylko ropa, sądząca się z kącików ust, zdradzała, kim jest.

– Stójcie! Pogadamy! – krzyknął Robin.

Wiedział, że nie musi się śpieszyć. Byli na jego łasce.

– Robin King... – dobiegł go chropawo brzmiący kobiecy głos. – To Robin King... Nie zabijesz nas?

Odmieńcy szybko tracili zdolność mówienia. Po zarażeniu jeszcze trwała, potem jednak nieodwracalnie zanikała. Wtedy zarażonym pozostawał już tylko charkot, chociaż wielu twierdziło, że to inny rodzaj porozumiewania się.

Nikt nie wiedział, jak długo trwa ten proces.

– Jeszcze nie, chciałem się czegoś dowiedzieć. Nazywacie mnie King? Ciekawe.

Sam nie wiedział, dlaczego poczuł radość.

– Tak, jesteś przecież władcą. Królem... Robin the King. Podziwiałam cię, gdy jeszcze byłam... człowiekiem.

Kobieta dziwnie kokieteryjnym gestem znowu przegładziła włosy. Gdyby nie kropelki wydzieliny, też już sączące się z nozdrzy, część męskiego ramienia w dłoni, wyglądałaby jak mieszkanka ludzkiej dzielnicy.

– Możecie nadal bez problemów używać rąk? – zapytał Robin. Już prawie się zdecydował. Zemsta za odtrącenie przez Harriet pograży ludzi ze szczętem, nieodwołalnie, wiedział o tym. Stanie się ostateczna. Pragnął jednak poznać ważne szczegóły.

– Tak – cicho odpowiedziała dziewczyna. Nagle cisnęła kiść ręki na ziemię, jakby chciała pozbyć się niepotrzebnego już ochłapu. – Widzisz? Z łatwością. Mam... miałam... na imię Janet.

– W rękawicach nadal bez przeszkód naładuję broń. Nie przeszkodzą mi ani szpony, ani ropa. – Robin zmrużył oczy. – U Schumachera zdobędę nowe ładunki... Potem przestaną być potrzebne.

Już prawie się zdecydował, ale ciągle się wahał.

Pamięć Robina nagle przywiodła postać Raskolnikowa. Przez parę sekund rozważał, czy czuł to samo, co on, zanim Rodion wziął do ręki siekiere.

Też wymierzy sprawiedliwą karę za to, że społeczeństwo go odtrąciło.

Porzucił tę myśl, nie miała teraz znaczenia.

– Będziesz mi wierna? – zadał ostatnie pytanie.

W napięciu czekał na odpowiedź.

– Tak – cicho odpowiedziała Janet. – Uwielbiałam cię. Nie wiem tylko, jak długo. Stale się zmieniamy, przeistaczamy i nikt z nas nie zna kresu tej drogi. Jedno wiem na pewno: dopóki nie rozprysnie się nam mózg i nie stracimy czaszek, żyjemy i nic nam nie szkodzi, tylko w coraz mniejszym stopniu jesteśmy ludźmi. Byłam ciekawa, co mnie czeka, i o wszystko pytałam.

Zwiesiła głowę.

– Albo innymi ludźmi... – nagle wyszeptała.

– Innymi ludźmi... – nieco głośniejszym głosem powtórzył Robin. – Po prostu innymi ludźmi... Nową rasą.

Mógł stać się jej twórcą. Zostać półbogiem, jak dobrze pamiętane postacie z helleńskich mitów. One też popełniały zbrodnie.

Poczuł ulgę. Powoli zdjął hełm i prasnął nim z całej siły na ziemię.

– Ukąś mnie! – krzyknął. – Ugryź w policzek, zanim się rozmyślę! Daj mi pocałunek przemienienia!

Uderzenia zębisk Janet nie sprawiły mu bólu. Czuł tylko, że z jego ciałem dzieje się coś dziwnego. Zmienia się.

Zbliżył dłonie do oczu. Spod paznokci już zaczynała ciec ropa.

Pomacał twarz. Palce pokryła dziwna wydzielina. Nie krzepła, jakby żyła własnym życiem.

– Witaj wśród nas, mój mężu – usłyszał głos Janet. – Królu, poprowadź nas do zwycięstwa.

Delikatnie ujęła go za rękę.

Słońce już mocno świeciło, gdy szara plamka wzbijała się w niebo. Łagodnymi łukami zmierzała coraz wyżej. Zabrzmiała pieśń skowronka, witająca piękny ranek.

Nowy odmieniec podniósł głowę.

– Cudownie śpiewasz – mruknął. Ze zdziwieniem stwierdził, że zmienił mu się głos. Brzmiał ochryple. – Dzisiaj jeszcze wyrzucasz z siebie hymn powitalny dla ludzi. Niebawem zanucisz im elegię żałobną. Swoją krwią użyźnią ziemię. Jeżeli będzie miał kto ich chować... Niewiele to da, bo obezremy wybrane ofiary aż do kości. A potem stale będziesz witał rankiem nas – dodał po chwili. – Nowych władców tego przeklętego, przemienionego w piekło świata. Zanucisz pean na cześć nowego gatunku istot rozumnych...

Wraz z resztą towarzyszy pewnym krokiem poszedł w stronę ich schronienia.

Na asfalcie pozostał zapomniany przez Robina hełm, jeden z wielu wyrobów Schumachera, jeden z przedmiotów jego dumy, świadectwo stałego postępu osiąganego przez ludzi, symbol zbliżającego się ostatecznego zwycięstwa.

28 maja 2019 r.



PRZEDWCZESNY ZACHÓD SŁOŃCA

Robert Zawadzki

Wspomnienia dzieciństwa wracają, tak jak ja wróciłem.

Dookoła widzę nowe budynki, poszerzone drogi, miejsca, których nie znam i nie mam ochoty poznawać, ale gdzieś pomiędzy tym wszystkim, schowane, ukryte, ono nadal jest takie jak kiedyś. Miasto mojego dzieciństwa. Przetrwało, chociaż zmieniło się w nim tak wiele, a jeszcze więcej zmieniło się we mnie.

Rodzinny dom wita mnie znajomo, podwórze tonące w cieniu oplecionych bluszczem akacji i ogród pełen uśpionych kwiatów wydają się mówić, że wszystko jest tak jak przed laty. Ja jednak nie potrafię w to uwierzyć, odczuwam nieprzyjemny dysonans, który drażni mnie i, mimo całej mojej tęsknoty i nostalgii, nie pozwala zatopić się w sielskiej iluzji. Różnica tkwi w szczegółach, w perspektywie, innym odcieniu barw.

Teraz jest zima, wtedy, przysięgam, zawsze było lato. Pada, a kiedyś nie padało nigdy. Wieczne lato bez zimy i słońce bez deszczu. Małe cuda.

Paulina była najniższa w klasie. Nosila kucyki i te same ubrania dzień po dniu. Miała szóstkę albo siódmkę rodzeństwa, wszyscy byli do siebie podobni, mieli piegi i włosy w kolorze rudego blondu. Mieszkali za miastem, nigdy tam nie byłam.

Nie pamiętam już zbyt wiele. Nie wiem, czy przyjaźniliśmy się dłużej, czy zżyliśmy się ze sobą w czasie ostatnich tygodni, na progu wakacji. Pamiętam za to, jak odprowadziła mnie kawałek po zakończeniu roku. A może to ja ją odprowadziłem? Nieistotne.

Kiedy się zegnaliśmy, wyjęła coś z kieszeni. Dwie szklane rybki. Były malutkie i płaskie, mieniły się w słońcu.

Powiedziała, że wyjeżdża i po wakacjach nie wróci do szkoły. Chciała, żebym miał coś, co będzie mi ją przypominało.

Po powrocie do domu wziąłem z półki w kuchni szklany pojemnik i napełniłem go wodą. Potem postawiłem go na biurku w swoim pokoju i wpuściłem do środka rybki. Pływały zupełnie jak żywe i może rzeczywiście takie były. Uwielbiałem na nie patrzeć.

Przez całe lato przynosiłem z plaży i podwórka różne drobiazgi, kolorowe szkiełka i kamyczki, a potem wrzucałem je do swojego akwarium. Próbowałem też karmić czymś rybki, ale nie tknęły niczego, a mimo to ciągle miały się dobrze.

Pewnego dnia, po powrocie do domu, znalazłem w akwarium tylko okruchy kolorowego szkła. Poczulem wtedy smutek i tęsknotę, chociaż nie wiedziałem, do czego lub kogo rzeczywiście się odnoszą.

To chyba wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z przemijania rzeczy, które od początku uważałem za wieczne.

Koszmary zaczęły męczyć mnie wcześniej, niż potrafię sięgnąć pamięcią. Wiem, że często budziłem się w nocy zlany potem i biegłem do pokoju rodziców. W końcu moja mama wpadła na pomysł, żeby zapisywać moje sny. Dała mi mały, żółty notes.

Pierwsze tylko dyktowałem, to ona przelewała ich treść na papier. Po jakimś czasie sam pisałem już na tyle dobrze, żeby móc zapisywać je samemu.

Z czasem kolejne strony notatnika zapełniały się coraz bardziej fantastycznymi wizjami. Oprócz pełnych brzydoty i śmierci mrocznych rojeń lądowały w nim też odległe światy, krainy z nigdy nienapisanych baśni i niezwykle wyprawy w nieznaną. Pewnego dnia zorientowałem się, że tych wspaniałych wizji jest coraz więcej, a koszmary pojawiają się coraz rzadziej i nie robią już na mnie takiego wrażenia.

Pobiegłem wtedy do mamy, żeby jej o tym powiedzieć, a kiedy wróciłem do pokoju, aby pokazać jej notes jako dowód tej odmiany, nie znalazłem go. Przeszukałem dokładnie każdy kąt pomieszczenia, później również korytarz, sypialnię rodziców i podwórze. Bez skutku.

Od tamtego czasu nigdy nic mi się nie śni. Nie mam już koszmarów, ale mimo to nie śpię dobrze. Często budzę się na długo przed świtem i nie mogę zasnąć, aż do momentu, kiedy słońce zaczyna przedzierać się do wnętrza mojego pokoju. Przez ten bezsenny bezczas myślę o tym, o czym mógłbym śnić, i zastanawiam się, czy skrawki tych nigdy niewyśnionych snów nie spotykają mnie czasem na jawie, migając mi przed oczami i pozostawiając bezkształtne powidoki. Albo czy nie działa się tak w tamtym dziecięcym okresie, czasie równowagi znaczenia między fikcją a rzeczywistością.

Kiedy byłem trochę starszy, w lato musiałem spać na strychu. Nie przeszkadzało mi to zupełnie, nasz strych nie był zagracony ani zaniedbany, a w dodatku rozciągał się nad powierzchnią całego domu, będąc tym samym najobszerniejszym z pokoi. Radość z tej przestrzeni psuły jedynie ściany, które na wysokości pasa zaczynały zbiegać pod kątem, równoległe do dachu.

Lubiłem tam obserwować zachody słońca. Jedno z małych okienek wychodziło wprost na morze i mogłem z niego oglądać, jak coraz to czerwieńszy okrąg zanurza się w granatowej tafli. Całe pomieszczenie wypełniała wtedy pomarańczowa luna sprawiająca, że wszystko wyglądało nierzeczywiście, iskrzyło i rozmywało się przed moimi oczami niczym ruchomy, ekspresjonistyczny obraz. Oczywiście to porównanie przychodzi mi do głowy dopiero teraz, w tamtych latach odbierałem te chwile całym sobą, nie potrzebując porównań i analiz.

Zawsze było wtedy gorąco i duszno, ale ten oglądany niemal na bezdechu spektakl stanowił dla mnie swoisty rytuał, mistyczny obrzęd. Dopiero kiedy słońce ginęło już całkowicie i tylko jego niknące odbłaski przypominały mi o tym, co właśnie zaszło, otwierałem okno i z ulgą wciągałem w płuca stygnące, wieczorne powietrze.

Pewnego dnia, kiedy stałem właśnie wpatrzony w horyzont, usłyszałem głośny huk w garderobie znajdującej się po przeciwnej stronie strychu.

Niechętnie oderwałem się od widoku po drugiej stronie szyby i poszedłem sprawdzić, co tak hałasuje. Zatrzymałem się przed drzwiami do komórki. Pierwszy raz poczułem się nieswojo, patrząc na niewielkie, szczelnie zamknięte pomieszczenie, które swoją ciasnotą kontrastowało z otwartą przestrzenią strychu.

Usłyszałem kolejny hałas, chrobot i szuranie czegoś po drewnianej podłodze. Niepewnie nacisnąłem klamkę.

Obudziłem się już w pokoju rodziców. Leżałem na kanapie na wprost otwartego okna, a do czoła miałem przyłożony zimny okład.

Dowiedziałem się, że zemdlałem. Rodzice usłyszeli huk mojego ciała uderzającego o podłogę i od razu pobiegli na strych. Ojciec zniósł mnie nieprzytomnego, a mama wezwała pogotowie. Kiedy po chwili się ocknąłem, zadzwoniła po raz drugi i przepraszając, odwołała zgłoszenie.

Od tamtego dnia wszystkie okna na strychu musiały być otwarte przez cały dzień. Rodzice kupili też nawilżacz powietrza, śmieszne urządzenie w kształcie pingwina, z którego nosa wylatywała para wodna. To wszystko po to, żeby na strychu nie było już tak duszno. Chwile zachodu słońca stały się jednak bardziej zwyczajne, przestrzeń dookoła mnie nie iskrzyła już i nie rozmywała się.

Najwyraźniej jednak otwarcie okien podziałało, bo już nigdy później nie straciłem przytomności. Nie usłyszałem też więcej hałasu w garderobie.

Jedynie gdy stałem przy jej drzwiach, za każdym razem nawiedzało mnie niewyraźne wspomnienie tamtego wieczoru, jego odległe echo muskało moje ramiona zimnym ogonem i kijankowatym ruchem wracało z powrotem w niedostępne głębiny mojej pamięci. Nigdy nie udało mu się do końca uformować i jestem z tego bardzo zadowolony. To obślizgłe, amorficzne wrażenie napawa mnie niepokojącą obcością i jestem pewien, że to nie upał i zaduch spowodowały wtedy moje omdlenie.

Pogotowie i policja pojawiły się w u nas innego dnia, chociaż nie jestem pewien, czy było to przed, czy już po epizodzie z garderobą.

Mój rodzinny dom był jednocześnie pensjonatem dla letników. Wynajmowaliśmy jeden duży pokój na werandzie, dwa na parterze i kilka na piętrze. Do największego z nich, „piątki”, wprowadził się pewnego popołudnia wysoki mężczyzna.

Pamiętam moment, kiedy po raz pierwszy pojawił się na naszym podwórku. Dobrze ubrany, ale bez samochodu, z maleńkim bagażem podręcznym. Sprawiał wrażenie biznesmena, chociaż nie wiem, czy wtedy znałem już to słowo. W każdym razie skojarzył mi się z bogatym człowiekiem z miasta, a tacy rzadko wynajmowali u nas pokoje.

Zatrzymał się przed schodami prowadzącymi na ganek i spojrzał na mnie. Siedziałem na leżaku w samych spodenkach i zawstydzilem się trochę, kiedy zmierzył mnie wzrokiem.

– Hej, dzieciaku! Jesteś synem właścicieli? – Miał twardy głos, jak niektórzy bohaterzy z czarno-białych filmów, które lubił oglądać ojciec.

Nie odpowiedziałem, nie skinąłem nawet głową. Minąłem go tylko bez słowa, pobiegłem do domu i zwołałem ojca.

Tego samego dnia, wieczorem, wysoki mężczyzna siedział przy drewnianym stole w ogrodzie i pił. Wiedziałem już wtedy z obserwacji, jak działa alkohol, potrafiłem też odróżnić jego podstawowe rodzaje i niektóre marki. Był to rodzaj nieadekwatnej dla mojego wieku wiedzy, którą chętnie samodzielnie zgłębiałem. Whisky, którą raczył się nasz gość, wyglądała na drogą, chociaż jej nazwa i etykieta nie były mi znane.

Kiedy wysoki mężczyzna zobaczył, że mu się przyglądam, kazał mi się zbliżyć.

– Siadaj, dzieciaku. Napijesz się? – Pokręciłem głową, kiedy podsunął mi szklanę wypełnioną do połowy bursztynowym płynem. Próbowalem już wcześniej piwa, łyka od kogoś z wujków na jednym z rodzinnych spotkań, ale to było zupełnie co innego. Zresztą, nie wiedziałem nawet, czy pytanie padło na poważnie, czy to raczej jakiś żart.

– Wiesz, mam syna. Na razie jest jeszcze mały, ale może kiedyś będzie podobny do ciebie.

Podniósł do ust szklanę, którą przed momentem mi oferował, wypił całość za jednym razem i uśmiechnął się. Chyba próbował być miły.

– Nazywa się Filip i ma dopiero roczek. Mały Filipek. A ty, mały, jak masz na imię?

Odpowiedziałem cicho. Czułem się onieśmielony towarzystwem tego mężczyzny, który tak różnił się od wszystkich, których znałem.

– To dobre imię. W ogóle to ładnie tu macie. Spokojnie. To dobrze. Dobrze, kiedy można dobrze żyć, wiesz, o czym mówię?

Potwierdziłem ruchem głowy. Nie wiedziałem.

– No to dobrze. A teraz zmykaj. Późno się robi.

Posłuchałem. Odchodząc, zobaczyłem ruch firanki w oknie rodziców.

Następne dni upływały mi zwyczajnie, na pomocy rodzicom, kąpielach w morzu i wylegiwaniu się na słońcu.

Wieczorami nadal widywałem wysokiego mężczyznę pijącego w ogrodzie, ale mimo że wielokrotnie celowo przechodziłem obok niego, już nigdy się do mnie nie odezwał, wydawał się w ogóle mnie nie zauważać. Być może nie tylko mnie.

Rodzice byli zaniepokojeni. Chociaż nie mówili nic wprost do mnie, to ze skrawków rozmów przerywanych moim wejściem do pokoju, podenerwowanych gestów i panującej w domu

nieprzyjemnej atmosfery oczekiwania utkała się w mojej głowie wizja wiszącego nad naszym domem nieokreślonego niebezpieczeństwa.

Ostatniego dnia swojego pobytu wysoki mężczyzna zapukał do pokoju rodziców. Jedliśmy właśnie obiad.

Kiedy matka otworzyła drzwi, uśmiechnął się do niej i elegancko przywitał. Na ile potrafiłem to ocenić, był całkowicie trzeźwy. Poprosił o nóż, długi, ostry. Zwykle, które były na wyposażeniu pokoju, okazały się dla niego zbyt tępe.

Dostał to, po co przyszedł, podziękował grzecznie i życzył nam smacznego, a potem zniknął za drzwiami i usłyszeliśmy już tylko jego kroki na schodach prowadzących na piętro.

Mimo dobrego nastroju naszego gościa reszta posiłku minęła nam w osobliwej ciszy, która wydawała się tłumić nawet odgłosy sztućców brzdękających o talerze.

Hałas na piętrze rozległ się po raz pierwszy jakieś dwadzieścia minut później. Ja oglądałem wtedy telewizję, a ojciec czytał gazetę, coś dotyczącego gospodarki i finansów, bezbarwne bloki tekstów, wykresy i tabele. Przy kolejnym razie odłożył ją i wbił wzrok w sufit. Matka wróciła z kuchni i przystanęła w progu. Kazała mi wyłączyć telewizor.

Trzeci huk był głośniejszy i towarzyszył mu krzyk. To wtedy ojciec wybiegł z pokoju, a zaraz za nim wyszła matka, odwracając się jeszcze, żeby kazać mi zostać w pokoju.

Nie posłuchałem.

Wspinając się po schodach słyszałem podniesione głosy. Czułem wzbierający we mnie niepokój. Myślałem o wysokim mężczyźnie, o tym, jak co wieczór siadał w ogrodzie z butelką, przypominałem sobie, jak z nim rozmawiałem: „Ładnie tu macie. Spokojnie”.

Wszedłem do „piątki”. Wysoki mężczyzna leżał na podłodze w łazience.

„Ładnie tu macie. Spokojnie”.

Ojciec klęczał koło niego, trzymał bezwładną głowę na kolanach, bandażował przedramię kolorowym kawałkiem jakiegoś materiału, chyba skrawkiem prześcieradła.

Ładnie. Spokojnie.

Pokryte kafelkami ściany pomieszczenia naznaczone były krwawymi zaciekami, które układały się w surrealistyczne kształty i chaotyczne wzory. Do górnej części kabiny prysznicowej przymocowały był skórzany pasek. Wysoki mężczyzna okazał się zbyt wysoki, musiał użyć noża. Ten leżał teraz w kącie, drewnianą rękojeść zdobiły bordowe ślady. Tym samym nożem matka kroila wcześniej mięso na obiad.

Wróciłem na dół, zanim ktoś z rodziców mnie zauważył i zostałem w pokoju aż do ich powrotu. Widziałem przez okno, jak przyjechał ambulans, a chwilę później radiowóz. Słyszałem

głosy policjantów i ratowników, ich kroki na schodach, ominął mnie jednak widok wynoszonego ciała.

Kiedy rodzice wrócili do pokoju, mama przytuliła do siebie i powiedziała coś, czego nie pamiętam. Potem długo płakała i całowała mnie.

Następne dni były tak zwyczajne, jak tylko było to możliwe. Spędzałem dużo czasu z rodzicami, wyszliśmy nawet na lody. Dopisywała też pogoda, niebo było błękitne i zupełnie bezchmurne, a wiatr wiał spokojnie, przynosząc ulgę od słonecznej spiekoty.

Ładnie. Spokojnie.

Kiedy kilka lat później zapytałem rodziców o wysokiego mężczyznę, który popełnił samobójstwo, spojrzeli na siebie zdziwieni i stwierdzili zgodnie, że nic takiego nie miało miejsca. Wiedzieli, że dobrze jest, kiedy można dobrze żyć i tego się trzymali.

Moje pierwsze próby odnalezienia się w świecie były bardzo dosłowne. Najważniejszą z nich miała stanowić szczegółowa mapa całej miejscowości. Zaczynając od technikaliów – składała się ze złożonej na cztery części kartki A3, którą nosiłem ze sobą na usztywniającej podkładce. Ten element był konieczny, ponieważ swoją kartograficzną pracę prowadziłem w terenie.

Oczywiście w mniejszym lub większym stopniu posiłkowałem się mapami, które już istniały, głównie tymi umieszczonymi na odwrocie broszurek informacyjnych z atrakcjami turystycznymi. Przede wszystkim jednak starałem się działać w oparciu o to, co widzę, przemierzałem więc kolejne ścieżki i starałem się jak najdokładniej oddać ich kształt na kartce. Co jakiś czas pojawiały się problemy, głównie związane ze skalą, kiedy fragment mający w rzeczywistości długość kilkudziesięciu metrów zajmował na mojej mapie tyle samo miejsca, co inny, wielokrotnie dłuższy, w ogólnym rozrachunku byłem jednak zadowolony z dokładności swojego projektu.

Do czasu, kiedy trafiłem na Rozdroże.

Tak nazwałem i podpisałem to miejsce na mapie. Na Rozdrożu bowiem z jednej wąskiej ścieżki wyrastało raptem sześć zupełnie nowych odnóg. Ich przemierzenie i przeniesienie na papier zajęło wiele czasu i kiedy przymierzałem się do skatalogowania ostatniej z dróg, zmierzchało już. Mimo późnej godziny postanowiłem dokończyć dzieła i ruszyłem przed siebie.

W przeciwieństwie do pozostałych ta ścieżka szybko skręcała w las. Niebawem zaczęła się wznosić coraz wyżej i wyżej, co dziwiło mnie i fascynowało. Nigdy nie słyszałem o istnieniu tak

stromego zbocza w naszej okolicy. Zmęczony drogą, która z czasem zaczęła przypominać wspinaczkę, ledwie zwracałem uwagę na otaczający mnie krajobraz czy roślinność.

Kiedy w końcu zatrzymałem się, aby odpocząć chwilę i nabrać sił do dalszego marszu, zobaczyłem, jak gęsto obrosnięte jest zbocze. Drzewa, strzeliste sosny, stały niemal jedno przy drugim, tworząc naturalny mur uniemożliwiający zejście z trasy.

Sięgnąłem do plecaka po mapę, aby opatrzyć wszystko stosownym rysunkiem i podpisem, szybko okazało się jednak, że to niemożliwe. Kreski, które miały obrazować przebytą przeze mnie drogę, dotarły do krawędzi kartki. Postanowiłem zająć się tym po powrocie, dosztukować mapę dodatkowym fragmentem papieru.

Chowając ją do plecaka, zwróciłem uwagę na coś leżącego tuż przy drzewach, kilka metrów ode mnie. Ruszyłem w tamtym kierunku, aby po chwili zatrzymać się nad truchłem młodej sarny. Z poranionego boku zwierzęcia wystawały jasne fragmenty, będące zapewne strzaskanymi żebrami, a jedna z kończyn była wygięta pod nienaturalnym kątem. Biedaczka musiała paść niedawno, zapach padliny nie był szczególnie wyraźny, nie dostrzegłem też wielu much.

Odszedłem od truchła w pośpiechu. Robiło się coraz ciemniej, a ja powoli zaczynałem odczuwać niepokój związany z długim przebywaniem w miejscu, które widziałem po raz pierwszy. Na szczęście przede mną, czy raczej nade mną widziałem już prześwit pomiędzy drzewami, zapowiadający zbliżający się szczyt. Po raz kolejny przyśpieszyłem, ciesząc się, że moja wędrówka prawdopodobnie niedługo dobiegnie końca, i niemal w tym samym czasie dotarł do mnie dźwięk, którego nie powinienem, nie mogłem słyszeć.

Szum morza.

A przecież szedłem w odwrotnym kierunku, powinny dzielić mnie od niego kilometry. W końcu dotarłem na szczyt i zachwytem zmierzyłem wzrokiem przestrzeń, która się przede mną otwarła.

Stałem na stromym klifie, który w niczym nie przypominał płaskiej, piaszczystej plaży, jaką znałem. Wiele metrów niżej spiętrzone fale rozbijały się z hukiem o jego skalną powierzchnię. Z drugiej strony rozciągał się las, tylko las, żadnego śladu zabudowań czy ulic, mimo że to właśnie stamtąd przyszedłem. Wpatrując się w zieloną połąć, dostrzegłem wychodzącą spomiędzy drzew młodą sarnę. Nie kulała, a jej tułów wyglądał na nienaruszony, a mimo to wiedziałem, że to ją widziałem na skraju ścieżki. Teraz przyszła, żeby mnie odprowadzić. Poglaskałem ją po grzbiecie. Zanim ruszyłem w drogę powrotną, wrzuciłem do morza mapę. To, co naprawdę było warte zapamiętania, nie mogło być na niej umieszczone.

Zejście z góry zajęło mi nieporównywalnie mniej czasu niż wejście. W połowie zauważyłem, że sarna idąca wcześniej obok mnie teraz została w tyle. Potem usłyszałem, jak pada,

a jej kości pękają z trzaskiem. Nawet wtedy nie odwróciłem się, wiedziałem, że zobaczyłbym jedynie truchło leżące tuż przy linii drzew.

Po dotarciu do Rozdroża jeszcze raz policzyłem rozwidlenia drogi. Było ich tylko pięć i wiedziałem, że żadne z nich nie prowadziło do miejsca, w którym byłem.

Jest wiele zdarzeń, które sam muszę uznać za niezaistniałe, choć w mojej pamięci są tak samo wyraźne i szczegółowe jak rzeczywistość.

Pamiętam, jak pewnej nocy poszedłem nad morze. Byłem sam na wyludnionej plaży, piasek mienił się blaskiem gwiazd, które zdawały się być bliżej niż kiedykolwiek.

Potem dostrzegłem ich światło połyskujące na zwierciadlanej tafli wody i zorientowałem się, że nie patrzę wcale na odbicie. W morzu iskrzyły miriady jasnych punkcików.

Nurkowałem raz po raz, wyławiałem je z wody i kładłem na piasku, tuż przy brzegu. W dotyku były zimne jak lód.

W końcu zatrzymałem się, żeby odpocząć, i zobaczyłem, jak świetliste punkciki zlewają się w obraz, tworzą wizerunek kobiety, dziewczyny, którą miałem spotkać dopiero w przyszłości. Ciężko jest mi jednak powiedzieć, czym jest to wspomnienie, być może snem, który utkwiał w mojej pamięci, błędnie zaszufadkowany jako fragment rzeczywistości. Nie odnosząc się nawet do jego treści, wiem, że byłem wtedy zdecydowanie zbyt mały, żeby samemu nocą iść nad morze, a od dziecięcej samowoli na pewno powstrzymałby mnie strach przed gniewem rodziców, którym w tamtym czasie byłem niemal bezwzględnie posłuszny. Zresztą, nigdy nie pływałem dobrze, a dno morza opada bardzo powoli i dopiero daleko od brzegu robi się na tyle głęboko, aby móc nurkować. Nie muszę chyba dodawać, że jako dziecko nie zapuszczałem się tak daleko w wodę.

A jednak pamiętam to wszystko, każdy szczegół, każdą emocję i myśl, których nawet nie próbowałem opisywać. Lubię więc myśleć, że wydarzyło się to naprawdę. To i wszystko inne, co wydarzyć się nie mogło.

Pewna sytuacja, związana z moim oddaleniem się bez nadzoru, bezsprzecznie miała miejsce, chociaż niekoniecznie dokładnie w takiej formie, w jakiej ja sam jej doświadczyłem. Niezależnie jednak od rzeczywistego przebiegu wydarzeń incydent tamten wpłynął na moje dzieciństwo w znacznie większym stopniu niż inne, wydawałoby się, bardziej znaczące.

Wchodziłem wtedy już w wiek nastoletni, moje życie ulegało zmianom i transformacjom; odkrywałem w sobie nowe umiejętności, odnajdywałem kolejne zainteresowania i pasje, coraz silniejsze więzy łączyły mnie też z przyjaciółmi, z którymi spędzałem większą część letnich dni. Nasze zabawy powoli nabierały autonomii, nie pozostawaliśmy już pod wyłączną opieką dorosłych, o choczko opuszczaliśmy więc podwórka i wypuszczaliśmy się coraz dalej. Oczywiście nadal każde wyjście ustalaliśmy i konsultowaliśmy z rodzicami, jednak taka wolność wystarczała nam w zupełności. Przynajmniej zazwyczaj tak było.

Tamtego dnia w powietrzu dało się wyczuć świeżość inną od tej, którą zazwyczaj przynosiła ze sobą morską bryza. Słońce w zenicie prażyło równie mocno, być może nawet mocniej niż zwykle, ale z jakiegoś nieokreślonego powodu nie było to ani dokuczliwe, ani męczące. Biegaliśmy więc, krzyczeliśmy dziko i cieszyliśmy się z całych sił; sił, które bezchmurna pogoda i lipcowy gorąc tylko podsycali. Słoneczny żar przenikał przez naszą skórę i wsącał się prosto do rozognionych, chlapiących serc.

Miejsce naszych zabaw, a mówiąc „naszych”, mam na myśli siebie i rówieśników, którzy zapewne dawno już zapomnieli o tamtym dniu, tamtym miejscu i emocjach, które nam towarzyszyły, był amalgamat pól i łąk, trawiasta równina pełna nierówności, maleńkich zagajników i tych większych, tworzących namiastkę lasu, zapraszających rześkim cieniem i miękkim obiciem z mchu.

Z czasem zostawiliśmy jednak za sobą wszystkie te miejsca, zbliżając się do granicy trzcin, falującej połaci rozciągającej nad brzegiem i odgradzającej nas od niego. Balansowaliśmy na krawędzi, którą uobecniał ziemny wał, spacerowaliśmy jego grzbietem, chłonąc wiatr i słońce, zielen i żółć.

W momencie, kiedy moi towarzysze przystanęli, aby odpocząć, ja wciąż chciałem gnać przed siebie. Przepelniająca mnie rzeškość nie pozwalała mi się zatrzymać, wybiegałem wciąż do przodu, zapuszczałem się coraz dalej i dalej, aż w końcu przyjaciele zniknęli mi z oczu.

Pojawił się natomiast ktoś inny, niewyraźna sylwetka iskrząca w słońcu, falująca i gnająca przed siebie niczym malowane światłem odbicie mnie samego. Spróbowałem się z nią zrównać, zbliżyć się do tego płasającego promyka igrającego wśród traw i kiedy stanęliśmy na wprost siebie, przez ułamek sekundy zobaczyłem przepiękne, jaśniejące oblicze młodej dziewczyny, które przypomniało mi senne miraż i gwieździstą twarz, którą już kiedyś ujrzałem lub wyśniłem. Tym razem jaśniało blaskiem tylko jednej, najpotężniejszej z nich, płomiennym lśnieniem słońca.

Ale zanim jeszcze mój umysł zdążył wywołać to skojarzenie, ona zniknęła w morzu szeleszczących trzcin, a ja goniłem za nią, za jej świetlistym śmiechem, czując jego żar całym sobą. To on pomagał mi odnajdywać drogę, meandrować w tym przepastnym labiryncie zdrewniałych

łodyg. A kiedy trzciniowisko skończyło się nagle, przede mną otworzył się widok na ukrytą enklawę lata.

Kiedy wieczorem wróciłem do domu, otrzymałem reprimendę, która w zamiarze ojca miała mi zapaść w pamięć na długo. Nie stało się tak jednak, ponieważ wszelkie słowa nagany, a potem ich bardziej materialne odpowiedniki, docierały do mnie przytłumione przez wspomnienia dnia spędzonego na maleńkiej plaży, zaginionej wśród trzciny i ukrytej przed resztą świata; dnia spędzonego z nią, słoneczną dziewczyną; najsloneczniejszego dnia lata.

Żaden z moich przyjaciół jej nie widział, co nie było wcale niczym nadzwyczajnym; nie mogłem ich winić. Złość rodziców również miała swoje uzasadnienie, wynikała z troski. Moje wyjaśnienia na nic się nie zdały i raczej nie podziałałyby nawet, gdyby ktokolwiek był w stanie uwierzyć w odciętą od świata plażę, o której nikt nie wiedział, i dziewczynę, o której nikt nie słyszał w naszym małym miasteczku.

Wkrótce więc obie, dziewczyna i plaża, stały się moją tajemnicą.

Kiedy tylko mogłem, wymykałem się z domu i zasłaniając się spotkaniem z dobrze znanymi moim rodzicom przyjaciółmi, biegłem na moją plażę, naszą plażę. Ona czekała na mnie zawsze, ze słońcem igrającym we włosach i ciepłem emanującym od delikatnego ciała.

Zbieraliśmy letnie kwiaty, wylegiwaliśmy się na rozgrzanym piasku i skakaliśmy do wody z jedyne drzewa na plaży, wielkiej, starej olchy, której korzenie wystawały z piasku, a konary sięgały daleko od brzegu. Opowiadałem jej historie, bajki o niej i o mnie, o przyszłości. A kiedy zdarzało mi się zostać do późna, przedłużyć swój pobyt na plaży do zmierzchu, trzymając się za ręce wpatrywaliśmy się w tonące słońce, a potem ganiliśmy za świetlikami.

Ten dziecięcy mistycyzm, roziskrzona litania słonych kropeł ściekających po jej ramionach, metafizyka słońca i piasku były jedynym, w co wierzyłem. Jedynym, co kochałem. Dzięki nim stawałem się lepszy.

A kiedy wszystko się skończyło, kiedy z czasem słońce przestało świecić i grzać tak mocno, a ona – czekać na mnie za każdym razem, poczułem, jakbym stracił to wszystko, co od zawsze wypełniało moje wnętrze; mój słoneczny substytut duszy.

Zacząłem szukać, próbowałem odnaleźć coś, kogoś. Wypełnienie. Miotalem się pozbawiony światła, ciepła. I za każdym razem, gdy już myślałem, że uda mi się, że odnajdę spokój w czymś innym, kątem oka dostrzegałem jej świetlistą sylwetkę, słyszałem promienny śmiech, czułem dotyk ciepłego ciała i zapach włosów. Potem znikala, a wszystko rozsypywało się w piasek, usychało, umierało.

Nowe smutki i nowe szczęścia były połowiczne, jak niebo przysłonięte chmurami.

Była dziewczyna, którą zabrałem na naszą plażę, tak samo pozbawiona światła i ciepła jak ja. Kiedy położyła się na brzegu, a moje dłonie spotkały się z jej ciałem w uścisku nie tak czystym

i świetlistym, jak słoneczne piaszczoty, których plaża była świadkiem dawnej, piasek zaczął zasypywać nasze ciała, wsypywać się do oczu, nosa i ust, aż dusząc się, uciekliśmy oboje w przeciwne strony. Do dzisiaj jesteśmy przyjaciółmi, dawno już porzuciliśmy dziecięce poszukiwania światła, ale wciąż, kiedy rozmawiamy, z naszych gardel wysypuje się piasek, co w jakiś sposób pomaga, chociaż jedynie pogłębia uczucie pustki i chłodu. Obiecujemy sobie wtedy, kaszląc, że niedługo spotkamy się ponownie, ale w rzeczywistości nie spotykamy się przez długi czas. Dzieli nas morze falujących trzciny i plaża, o której oboje obiecaliśmy sobie zapomnieć.

Ja sam polubiłem noc i deszcz, jesień i zimę. W słoneczne dni zasłaniam żaluzje i przesypiam popołudnia. Staram się nie wychodzić wtedy z zacienionego mieszkania. Słońce, nigdy tak jasne i ciepłe jak kiedyś, sprowadza na mnie nostalgię. Tęsknotę za ciepłem wypełniającym moje wnętrze, ukrytą plażą i słoneczną dziewczyną.

Dziewczyna, która jest teraz ze mną, wcale nie przypomina tamtej słonecznej postaci. Jest brunetką, nie przepada za plażą i morzem, co poniekąd nas łączy, ale dzieli w stopniu chyba jeszcze większym.

Kiedy decyduję się przyjść w tamto miejsce, długo błąkam się pośród przeredzonych trzciny. Nie liczę na to, że jeszcze kiedyś na nią trafię. Zawsze istniała bardziej we mnie niż na zewnątrz mnie.

Wspomnienia dzieciństwa opuszczają mnie, tak jak ja opuszczam swoje rodzinne miasto. Były jak gwałtownie spadające płatki śniegu – jeśli nawet udało mi się pochwycić jedno z nich, od razu topiło się w mojej dłoni, zostawiając po sobie jedynie niewyraźny, rozmyty ślad.

Kiedy wyjeżdżam, dookoła widzę nowe budynki, poszerzone drogi, miejsca, których nie znam i nie mam ochoty poznawać. Nawet jeśli gdzieś pomiędzy tym wszystkim, schowane, ukryte, ono nadal jest takie jak kiedyś, to nie uda mi się go odnaleźć. Mogło przetrwać mimo zmian na zewnątrz, ale nie sprostało zmianom, które zaszły we mnie.

Słońce nie jest już tak jasne i ciepłe.

rys. Roman Panasiuk



SIEDEM DNI UWOLNIENIA

Paweł R. Ofiarski

Dwóch ludzi prowadziło Aleksandra Trojanowskiego przez korytarz pomalowany oliwkową farbą olejną. Mężczyzna był na tyle słaby, że nie mógł sam się poruszać, ale jego pomocnicy z pewnością nie należeli do delikatnych.

Zresztą, nikt nie spodziewał się, że milicjanci tacy będą.

Kiedy wyciągali go z celi, nie powiedzieli, dokąd go przenoszą i dlaczego. Zwykle oznaczało to albo tortury, albo śmierć. Aleksander był już stary. Miał ponad sześćdziesiąt lat i od pamiętnego marca 1968 prawie dekadę spędził za kratkami. Liczył, że służby pozwolą mu chociaż umrzeć w jakiś lekki sposób.

Milicjanci stanęli przy metalowych drzwiach. Jeden z nich, młody mężczyzna o kwadratowej szczęce, uderzył pięścią kilka razy w blachę. Zza niej dało się usłyszeć tylko

krótkie: „wprowadzić!”. Drugi ze strażników nacisnął klamkę i wepchnął Aleksandra do środka.

Pokój, w którym się znaleźli, był mały i ciemny, a jedyne źródło światła stanowiływisząca na kablu żarówka i lampka stojąca na metalowym stole. Przy nim ustawione były dwa stalowe krzesła, z czego jedno okupował łysiejący, chudy mężczyznaw okularach i beżowym garniturze w kratę. Po jego prawej stronie ustawiony był stos teczek, a po lewej – magnetofon szpulowy.

– Siadajcie, towarzyszu – powiedział twardym, acz spokojnym głosem. Następnie zwrócił się do milicjantów: – Wyjść.

Gdy Aleksander siadał, strażnicy opuścili pomieszczenie. Gdy zamknęły się za nimi wrota, na kilka chwil zapanowało milczenie. Potem mężczyzna w garniturze odchrząknął i włączył magnetofon.

– W sobotę dwudziestego siódmego sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej przy ulicy Partyzantów czterdzieści w Zielonej Górze stawiał się na przesłuchanie profesor zwyczajny Uniwersytetu imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu Aleksander Trojanowski. Syn Arkadego i Moniki z domu Grobiel, skazany za agitację przeciwko władzy ludowej w marcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego.

Mężczyzna nie wiedział, co powiedzieć. Czy miał potwierdzić, czy milczeć?

Wybrał to drugie.

–Major Jan Zakrzewski będzie prowadził przesłuchanie agitatora– kontynuowałoficeri sięgnął po jedną z teczek ze stosu. Gdy ją rozwiązał, położył ją przed sobą. – Towarzyszu Trojanowski, władza Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej wydała wyrok w waszej sprawie. Dożywotnie więzienie. Jednakże pojawiły się okoliczności łagodzące, dzięki którym będziecie w stanie opuścić miejsce odsiadki. Aby do tego doszło, potrzebna będzie wasza współpraca.

Więc będą chcieli zrobić ze mnie swojego agenta, pomyślał profesor. Była to powszechna praktyka, gdyż władza ludowa wiedziała, że w środowisku intelektualistów jest największe zarzewie buntu. Musieli mieć swoich ludzi na uczelniach. A kto będzie lepszy niż ciało pedagogiczne uniwersytetów?

– Jak mogę pomóc? – spytał Aleksander zachrypniętym głosem.

– Znacie dobrze towarzysza Tadeusza Zabrydowskiego, prawda? –Zakrzewski odpowiedział również pytaniem, przekładając papiery z teczki.

– Tak – przytaknął profesor. – Znamy się od dziecka. Wspólnie, jeszcze przed wojną,

studiowaliśmy archeologię na ówczesnym Uniwersytecie Poznańskim. Pomagaliśmy Kostrzewskiemu w badaniu Biskupina, o ile dobrze pamiętam. Gdy wybuchł konflikt z Niemcami, nasze drogi rozeszły się, by potem skrzyżować się ponownie w Poznaniu. Wspólnie się doktoryzowaliśmy i niemal równocześnie zdobyliśmy profesurę. Nie miałem z nim kontaktu od marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku.

– Z tego, co wiem, to jeszcze przed wojną wspólnie studiowaliście drugi kierunek na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Teologia, zgadza się?

– Tadeusz studiował. Ja próbowałem, ale szybko zdałem sobie sprawę, że to nie dla mnie. Natomiast Zabrzydowski kontynuował kierunek i, o ile pamiętam, skończył go.

– Nawet pomimo swojej odmienności religijnej?

– Rodzice Tadeusza byli przechrztami. Jeszcze przed jego narodzeniem porzucili judaizm i wychowywali go w katolickiej wierze.

Profesor ugryzł się w język. Za dużo powiedział. W towarzystwie agenta Służb Bezpieczeństwa lepiej nie wspominać o religii, bo może to się źle skończyć dla przesłuchiwanego. Zakrzewski jednak zdawał się nie zwrócić na to uwagi.

Major kilka razy pokiwał głową z krzywym uśmiechem. Po chwili podał przeglądane papiery profesorowi.

– Sześć dni temu, w miejscowości Roztoki w województwie zielonogórskim, towarzysz Arkadiusz Zajski, pracownik miejscowego PGR-u, odnalazł ciało Zabrzydowskiego wraz z siedmioma innymi w swoim domu.

Odebrawszy od majora papiery, Aleksander upuścił je momentalnie z otwartymi ustami. Drżącymi rękami otarł pot z czoła.

– Tadeusz nie żyje? – spytał łamiącym się głosem, nie bacząc na konwenanse. – Ja...jak...

– Jak zginął? – spytał za profesora Jan, sięgając po paczkę papierosów, którą trzymał w bocznej kieszeni marynarki. Wyciągnąwszy jednego, włożył go do ust i zaczął palić, puszczając dym i zostawiając Aleksandra przez dłuższą chwilę w niepewności. Po chwili odpowiedział. – To w zasadzie jest dobre pytanie. Wiemy, co sprawiło, że zginął, ale nie znamy powodu.

– Dlaczego?

– Myślę, że odpowiedź znajdziecie w teczce. – Major, opierając się na krześle, wskazał papierosem akta.

Aleksander przerzucił pierwszą kartkę i momentalnie poczuł, że wnętrzności podchodzą mu do gardła. Miał przed sobą zdjęcie Tadeusza. Nawet mimo tego, że

byłoczarno-białe, wzbudziło w profesorze mdłości. Jego przyjaciel klęczał w środku narysowanej siedmioramiennej gwiazdy, z głową i rękoma zwisającymi do tyłu. Tym, co najbardziej rzuciło się w oczy, była rozszarpana klatka piersiowa. Resztki połamanych żeber powykręcane były w nienaturalny sposób, a na ich ostrych końcach zwisały kawałki wewnętrznych organów. Wokół niego leżały fragmenty mięsa, a pozostała część ciała pokryta była krwią. Wszystko wyglądało tak, jakby ktoś zamontował mu od wewnątrz mały ładunek wybuchowy, który potem zdetonował.

Aleksander, popatrzawszy na zdjęcie tylko przez chwilę, odwrócił je, by przestać widzieć zmasakrowane zwłoki. Major siedział niewzruszony, jakby przywykły do takich widoków.

– Widzę, że słabujecie, towarzyszu – powiedział spokojnie Jan i znów wypuścił dym z ust. – Opuśćcie wam pozostałe zdjęcia, w tym tych siedmiu studentów.

– Stu... studentów? – spytał głupio profesor.

– Tak, jego podopiecznych – major pochylił się do przodu. – Widzicie, towarzysz Zabryzdowski nie znalazł się w Roztokach przypadkiem. Prowadził tam praktyki wakacyjne dla studentów archeologii. Ten dom, w którym znaleziono ciała, służył im jako baza noclegowa. Zajski oddał go uniwersytetowi na czas praktyk studentów i sam zamieszkał u swoich rodziców. Gdy po siedmiu tygodniach wrócił, aby sprawdzić, czy jego nielegalny bimber jest zdatny do spożycia i spekulacji, znalazł ciała. Od razu zawiadomił milicję, zaś oni – nas.

– Nie rozumiem – zdziwił się profesor. – Dlaczego akurat służby? To sprawa typowo pod legislację Milicji Obywatelskiej.

Jan milczał przez chwilę, strzepując popiół z papierosa. Niedługo potem znów się zaciągnął i chuchnął dymem w stronę Aleksandra.

– Za dużo chcielibyście wiedzieć, towarzyszu – stwierdził, gasząc bibułkę o blat, a następnie odrzucił na bok peta. – Ale ciekawość jest nawet wskazana, gdyż was potrzebujemy. A każda informacja może być istotna. Widzicie, Służba Bezpieczeństwa jest w to zaangażowana, gdyż jedną z ofiar był Vladimir Stanisławowicz Zaniew, nieślubny syn ambasadora Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich w Polsce Stanisława Antonowicza Piłotowicza. Sami rozumiecie, że sprawa nabrała charakteru dyplomatycznego skandalu, a rozwiązania go nie możemy zostawić Milicji Obywatelskiej. To my odpowiadamy za odkrycie tej tajemnicy. A w tym momencie także i wy, towarzyszu.

– Jeśli mi wolno spytać, towarzyszu majorze, jak mógłbym się przysłużyć Polsce Ludowej? Od czasu zamknięcia nie miałem kontaktu z Zabryzdowskim, ni to w sposób

bezpośredni, ni w pośredni. Nawet nie byłbym w stanie wam pomóc znaleźć motywu jego działań. Nie wiem, co się działo w jego życiu przez ostatnie... dziewięć lat.

– Zdajemy sobie z tego sprawę – Zakrzewski przytaknął i sięgnął po coś ze stosu teczek. – Lecz wasza pomoc jest wymagana w innej materii. Mianowicie, w tym.

Agent służb podsunął w stronę profesora grubą notesobitą skórą. Aleksander zaczął go mimowolnie wertować.

– To dziennik badań towarzysza Zabrzydowskiego w Roztokach – mówił dalej Jan, obserwując, jak przeszukiwany przerzuca strony. – Zapisywał tam każdy szczegół prac na tym stanowisku archeologicznym od czasu ich rozpoczęcia w marcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku. Znalazło się też kilka jego osobistych zapisków. Do lipca wszystko odczytaliśmy, łącznie z nazwiskami wszystkich jego praktykantów. Lecz, na ostatnich stronach... Cóż, sami zobaczcie.

Aleksander mimowolnie przeszedł do końca dziennika i przyznał majorowi rację. Do 7 lipca wszystko było napisane w języku polskim. Jednak od pierwszego czwartku tego miesiąca każde zdanie zostało napisane w jakimś dziwnym języku, który pozornie nie przypominał żadnego znanego dialektu.

Ale profesor wiedział, co to za język.

– Myślałem, że będziecie bardziej zaskoczeni, gdy go zobaczycie – stwierdził agent, uderzając palcami o blat stołu. – Wiecie co to jest, prawda?

– Tak – przytaknął Aleksander. – Pytanie, skąd wy wiedzieliście, że ja wiem.

– Nie myślicie chyba, że gdy was aresztowano, nie przeszukano mieszkania – odparł Jan, śmiejąc się pod nosem. – Znalaziono między innymi listy pisane jakimś dziwnym językiem. Sądziliśmy, że to szyfr, i liczyliśmy na jakieś przełomowe odkrycie w sprawie wrogów ludu. Niestety, nasi kryptolodzy nie byli w stanie go rozpracować, dlatego sprawa została zamknięta. Gdy tylko dowiedzieliśmy się o śmierci Zabrzydowskiego, chcieliśmy was przesłuchać w zakresie jego dziwnych zainteresowań religijno-okultystycznych. W końcu ten dziwny symbol ze zdjęcia nie mógł się tam znaleźć przypadkiem. Wtedy też ponownie natrafiliśmy na listy. Zauważono pewne podobieństwo w tym dziwacznym piśmie, które było w dzienniku. Zdaliśmy sobie sprawę, że jesteście bardziej cenni, niż nam się z początku wydawało.

Zakrzewski wyciągnął kolejnego papierosa z paczki.

– Chcemy, abyście rozszyfrowali dla nas te strony z dziennika. Wierzymy, towarzyszu, że jesteście w stanie. W końcu to wasza przepustka do bycia wolnym.

Aleksander mrugnął kilka razy i poczuł, jak pot sływa mu z czoła. Wiedział, że

rozszyfrowanie tego notesu pozwoli mu na powrót do ludzi, a nawet ponowne objęcie katedry. Jednak obawiał się, że gdy rozszyfruje dziennik, może nie być dla nich tak użyteczny.

– Jak rozumiem, nie potrzebujecie samego kodu, a tylko tego, co tam zapisano? – dopytał profesor.

– Nie inaczej, towarzyszu – przyznał Jan, uderzając papierosem o stół. – Choć dla władzy ludowej z pewnością pozyskanie nowego szyfru byłoby cenne, myślę, że jego nauka zajęłaby zbyt dużo czasu. Poza tym mamy własne, sprawdzone.

Zaskoczyło to Aleksandra. Pamiętał, że komuniści potrzebowali każdej metody, aby pokonać wędnący kapitalizm. Pozyskanie go z pewnością wspomogłoby siły Układu Warszawskiego. Był pewny, że major nie mówił mu wszystkiego.

Ale w tym momencie nie było to aż tak ważne. Właściwe odszyfrowanie dziennika było jego przepustką na wolność.

– Może to potrwać – powiedział Trojanowski. – Nie używaliśmy go od czasu wojny. Pisaliśmy w nim nasze listy, aby naziści nie przejmowali naszej korespondencji i nie dowiedzieli się, gdzie przebywał Tadeusz.

– W takim razie, nie traćcie czasu – stwierdził sucho Jan, zapalając papierosa. – Ołówki i czyste karki znajdziecie w teczce. Władza ludowa liczy na was.

Aleksander, nie patrząc na zdjęcie, wyciągnął papier i materiały piśmiennicze. Otworzył dziennik na losowej zapisanej stronie. Pierwsze, co musiał sobie przypomnieć, to deszyfracja. Pamiętał, że do stworzenia szyfru używali słów fonetycznego zapisu judeo-aramejskiego oraz łaciny. Były to słowa łączone, mające oznaczać jakieś wyrażenie. Następnie co trzecią literę przestawiali na przód tak, aby powstał inny zapis, który należało czytać od tyłu.

Dla ćwiczeń przetłumaczył kilka losowych słów. Profesor uśmiechnął się do siebie.

Reakcja uczonego nie uszła spojrzeniu majora.

– Rozumiem, że sobie przypomnieliście – zauważył i pociągnął papierosem. Wypuścił dym i nie dał dojść do słowa Trojanowskiemu. – Przeczytacie, gdy uda wam się wszystko przetłumaczyć, towarzyszu. Zaczniście jednak od ostatniego zapisu po polsku. Może mieć jakieś znaczenie dla śledztwa.

Profesor kiwnął głową. Położył koło siebie dziennik i zaczął tłumaczyć.

Minęło kilka godzin, nim uporał się z tekstem. Zrobiłby to znacznie szybciej, lecz Tadeusz w swoich zapisach czasami używał słów, których Aleksander nie słyszał na co dzień. To one przysporzyły mu problemów. W tym czasie Jan wypalił przynajmniej osiem

papierosów i zapijał je kawą. Profesor nie dostał do picia nic prócz mętnej wody, która na dodatek śmierdziała. Ale nie narzekał.

Gdy miał już wszystko gotowe, zabrał się do czytania. Zgodnie z nakazem majora zaczął od ostatniego zapisu w języku polskim.

„6 lipca 1977

Prace przebiegają zgodnie z planem. Nawet Vladimir dzisiaj kopał. Myślałem, że nie dojdzie do siebie po wczorajszej libacji. Skąd oni w ogóle biorą tę wodę? W każdym razie, po zeszlotygodniowym odkryciu posadzki, dzisiaj ją w końcu rozbiliśmy. Szkoda jej. Taki romański zabytek. Ale jeśli kroniki mówią prawdę, pod nią miały się znajdować krypty. A w nich tytułarny władca tych ziem. Przydał się Andrzej. Choć korpulentny, jest niesamowicie silny. Młotem rozwalił podłogę w niecały kwadrans. Do tego wycelował idealnie, gdyż pod nimi natrafiliśmy na wejścia. Na początku zastanawialiśmy się, czemu ktoś chciał je zamurować. Prawda doszła do nas, gdy całkowicie odsłoniliśmy kamienne schody, które prowadziły w dół. W starym, dusznym pomieszczeniu znaleźliśmy sarkofag z brunatnego kamienia i z półstożkowatą tumbą, ale bez żadnych zdobień. Nie czekaliśmy długo, by rozsunąć ją, i naszym oczom ukazał się szkielet. Grób był bogaty, ale jego zwartość była dość dziwna. Zamiast typowych artefaktów z XI wieku, znaleźliśmy multum przedmiotów mniej oczywistych, ale, po bardzo powierzchownej analizie, można byłoby zakwalifikować chronologicznie do wczesnego średniowiecza, jednak mniej więcej na VIII czy IX wiek. Katalog znalezisk zrobię osobno, ale szczególną uwagę wzbudziła we mnie antropomorficzna figurka pokryta spiralami i swastykami. Zrobiona była z czarnego, chłodnego w dotyku kamienia, które pod światło błyszczało. Z początku myślałem, że to ciemny krzemień czekoladowy bądź obsydian, ale powierzchnia była zbyt chropowata jak na tak krótki czas spoczynku w grobie. O ile pozostałe artefakty nakazałem zabezpieczyć Oktawii, Celinie i Irkowi, to ten zabrałem ze sobą. Miałem wrażenie, że widziałem coś podobnego w jakiś swoich starych zapiskach. Może uda mi to zidentyfikować.

Poza tym znów dzisiaj przyłapałem Tomka i Anielę, jak wracali wspólnie z lasu. Zamiast pracować, gzili się po krzakach. Biedny chłopak. Nie wie, że jeszcze tydzień temu spotykała się z Irkiem”.

„7 lipca 1977

To... dziwne. Wszystko, co do tej pory robiłem, traci nagle sens, od chwili, gdy zacząłem badać figurkę. Cały mój dorobek naukowy jest tylko marnością. Na co człowiekowi poznawanie przeszłości, skoro i tak nie jest w stanie jej pojąć? Co było historią, powinno nią

pozostać. Ale dlaczego tak zacząłem myśleć? Czy to przez posążek, który wraz z pozostałymi artefaktami niszczył cały kontekst archeologiczny stanowiska? Wczorajszej nocy, gdy jeszcze trzymałem go w ręce, wszystko zdawało mi się oczywiste. Jakiś pogański idol, który denat wieki temu znalazł, pochowany wraz z nieboszczykiem jako dar grobowy. Ale rano nachodziły wątpliwości. A co, jeśli to grób sprzed przyjęcia chrześcijaństwa, który miał być zapieczętowany i strzeżony? A jeśli to, co zapisano w kronikach, było mistyfikacją na globalną skalę, aby ukryć prawdę? Wiem, że to zaprzeczenie wszelkim naukowym prawdom, ale co, jeśli tak było? Rozum mówi, by to porzucić i skupić się na wierze w swoje przekonania nabyte przez lata nauki. Ale szepty... czy szept... raczej mówi, by się poddać i uwolnić od kłamstw pisanych przez tchórze. Tak, głos mówi, że wszystko, co znamy, jest oszczerstwem i nie należy ufać nauce i przyjętym powszechnie zasadom, narzuconym nam przez rozwój religii. Trzeba się uwolnić od sztywnych ram świata, odrzucić zarówno to, co złe, jak i to, co dobre. Czy byłbym w stanie to zrobić jako zwykły człowiek, który zawsze wierzył w potęgę umysłu?

A co powiedzą inni? Choćby moi podopieczni, którzy, gdy piszę te słowa, oddają się typowo ludzkim słabostkom? Czy oni będą w stanie w to uwierzyć? Boję się o to. Nawet piszę w sposób taki, by nie zrozumieli, bo jak znajdą moje notatki, czy będą dalej mnie szanować? Nie, lepiej pisać szyfrem, którego nie używałem od wieków. Lepiej, aby moje słowa nie wpadły w niczyje ręce. Nie takie bluźnierstwa”.

„8 lipca 1977

Ten głos... Głos stał się moim nowym prądem myślowym. W końcu zrozumiałem... Moja wiara w naukę, moje wierzenia nie były nic warte. Człowiek musi dążyć nie do poznania prawd świata, a do ich akceptacji. Tak mi powiedział głos. Ale czym on jest? Twierdzi, że moim przyjacielem, który poprowadzi mnie do wyzwolenia z oków. Mówi, że został niesłusznie uwięziony za poszukiwania wiele wiosen temu, przez tych, co usilnie starają się zniewolić ludzką duszę. Obiecał mi pomoc, jeśli ja pomogę jemu. Wierzę mu. Odkrył przede mną prawdę. Choćby te stanowisko, które było łgarstwem. Uważano, że to miejsce święte. Ono było kiedyś takie, dopóki nie weszli ci, co pragną ociemnić ludzi i poprowadzić ku słuzeniu tylko ich dobru. Ale boję się... Pomimo tego, że powiedział, że w chwili mojego zwątpienia będzie mym oparciem. Zwłaszcza, że czynić mam rzeczy, za które skazuję siebie na wieczne potępienie. Lecz z drugiej strony... Jeśli to potępienie jest łgarstwem, które ma mnie omamić, bym padł na kolana przed orędownikami fałszu i niepokoju?

Nie... Wolę zaufać sobie. Nigdy się nie myliłem. Wierzę w to, że w końcu zacznę

dostrzegać prawdę i uwolnię się od praw, które mnie wiążą już od momentu narodzin. Wystarczy, bym tylko pomógł”.

„9 lipca 1977

Zgodnie z tym, co sobie obiecaliśmy, spełniłem jego prośbę. Wielka szkoda, że tak musiało się to potoczyć... Ale nie było innego wyjścia. Ta siódemka, która towarzyszyła mi od jakiegoś czasu, powinna wiedzieć czemu, ale... nie rozumieją. Są zbyt ograniczeni, za młodzi, by chcieć. Wierzą, że przed nimi całe życie. Ale na co im ono, skoro będą tylko niewolnikami wartości, które są im wpajane na każdym kroku? Ale ja ich uwolnię. Niech zasmakują wolności teraz...Zrobiłem, jak kazał. Dołałem czegoś przygotowanego z tutejszych roślin do ich bimbru. Zapadli w sen, a ja... ja mogłem zacząć działać.

Vladimir. Dziwne imię. Zapewne wschodnie. Wierzy w swoje racje, gdyż jest bękartem kogoś potężnego. Wywyższa się nad innymi, bo sądzi, że wszystko mu wolno. Z tego, co wiem, pochodzi z wielkiego kraju, który ma potężną władzę. Zrodzonego z krwi i pracy. Szkarłat, sierp i młot to jego kolor i symbole. Jakaż to ironia było patrzeć, jak ów człek o dumie wywyższającej się nad innymi, był uwięziony jako pierwszy. Ale niech się raduje. Bowiem mimo swych przywar jako pierwszy dostąpi uwolnienia. W najbardziej charakterystyczny dla siebie sposób. Najpierw wziąłem do ręki sierp i przyłożyłem mu do gardła. Powiodłem ostrzem wzdłuż gardzi tak, aby czerwień z jego ciała popłynęła w dół. Naciąłem jeszcze kilka miejsc, aby jego krew popłynęła szerzej. Nie było słyhać jego krzyków, bowiem nic nie czuł. Dlaczego miałby, skoro to taki dumny człowiek? Gdym zdał sobie sprawę, że uszło z niego życie, wziąłem do ręki młot, aby wbić mu do głowy prawdę, że mimo swego pochodzenia jest marnym puchem. Dosłownie wbiłem, czując, jak raz za razem chlapią na mnie jego organy, co się w głowie mieszcza. Tak oto skończył ten, co za bardzo wywyższał się nad innych: z narzędzi, od których powstał, i w barwach, które chciał przywdziać”.

„12 lipca 1977

Zaczynam rozumieć... Tak, wiem do czego to zmierza. Ten świat skazany jest na wieczną niewolę. Tylko uwolnienie coś da. Szkoda, że oni tego nie rozumieją. Ta szóstka. Krzyczy... cały czas. Dobrze, że ziół jest w nadmiarze. Dzięki temu mogę myśleć. I on też. Nie lubi krzyków. Chyba że jest mus Rozumiemy się doskonale. Za kilka dni znów dojdzie do kolejnego odkucia z kajdan. Muszę czekać...”.

„16 lipca 1977

Ach, Andrzej. To zaskakujące i wręcz ironiczne, że człowiek jest aż tak gruby, gdy większość ludzi musi kombinować, jak coś do garnków włożyć. Nieistotne, może to

przechera. Albo człek zamożny. Lecz z pewnością godny uwolnienia w taki sposób, w jaki żył: pełen dostatku i pewności, że nigdy nie będzie dręczył go głód. Podobnie jak i dawniej, wciąż największym luksusem jest mięso. Nie będę mu go żałował na tę ostatnią wieczerzę. Lecz nie będzie to posiłek, którego by się spodziewał. Wpierw dostał trochę udka... ukrojonego z jego własnej nogi. I kawałek to źle powiedziane. Dobra poć. Nie chciał jednak jeść. Ale trochę mu pomogłem, wpychając mu do ust te kawałki mięsiwa. Po udzie przyszła część na pierś, potem na jądra... Ach, różnych rzeczy próbował, zapewne nie spodziewając się, że jego własne ciało tak dobrze musi smakować. Chociaż kilka razy wymiotował, zaraz potem braki zostały uzupełnione. Ale nie możemy zapomnieć o tym, aby prawidłowo to strawić. A biorąc pod uwagę, ile je, trzeba mu było to ułatwić. A cóż lepszego jest aniżeli rozszerzenie jego jelita? Cóż, łatwo nie było się do niego dostać, ale po kilku mocniejszych cięciach znalazłem je i rozszerzyłem. Szkoda, że do tego czasu już nie żył. A tak chciałem mu ułatwić... Ale cóż, zginął jak żył: pełen”.

„19 lipca 1977

Dlaczego ja to opisuję? Nie wiem, może dla tych, co będą chcieli się uwolnić. Ale tylko wybrani, którzy zrozumieją to, co piszę. Nie powinna być to wiedza powszechnie dostępna...”.

„23 lipca 1977

Celinka, Celinka... Wiecznie zakompleksiona. I zła na cały świat za to, że nie dostrzega jej talentu i geniuszu. Może źle się wyrażała, może nie umiała, a może nie chciała? Jej psychika jest dość ciekawa, nie da się ukryć. Ale złość piękności szkodzi, co widać po jej zaniedbaniu. Ale i zdrowie... Tak, zdrowie też nie jest najlepsze. Ale i ona dostąpi zaszczytu uwolnienia. Jak to się mawia – gdy krew się burzy, to trzeba jej upuścić. A co najwięcej jej pompuje? Serce! Lecz po co się tak spieszyć? Pomalutku... Wpierw kilka żyłek tu, potem kilka tam. I nagle złość przemija, a wraz z nim wszystkie troski. Człowiek staje się spokojniejszy. Z każdą kolejną spływającą kroplą uzyskuje harmonię i opóźnia nawrót choroby. Ale tylko zupełny brak krwi to uleczy. Ale za dużo czasu minie, nim się puści całą! Dlatego wystarczyło przebić serce, by juchy nie pompowało. Czymś ostrym, dla szybkości! Winienem zostać poetą! No i rzecz najważniejsza: Celina już nigdy się nie będzie na nikogo gniewać. Operacja się udała!”.

„26 lipca 1977

Powoli zaczynam się obawiać, czy aby na pewno głos dotrzyma danego słowa. Te widoki są przerażające. Czy to aby na pewno droga do wyzwolenia? Czy na pewno chcę się w to mieszać? Mogę jeszcze uciec, póki jest czas...”.

27 lipca 1977

Niepotrzebnie się martwię. Wiem, że to słuszne. Wytłumaczył mi. Dlatego właśnie ma być ich siedmiu...”.

„30 lipca 1977

No i przyszedł czas na Anielkę. Dziwaczna istota, muszę przyznać. Jako jedyna, mam wrażenie, oczekuje czegoś od wyzwolenia. Widziała wszystko i z radością podda się moim jakże sprawnym rękom, pod warunkiem, że przeżyje coś, czego jeszcze do tej pory nie zaznała. Zaskakujący są ci ludzie. Na jej szczęście, wiem więcej aniżeli oni. Odarłszy ją z szat, pierwsze co, to poprzepalałem jej sutki. Dziewczę zanosilo się bólem, ale i zabrzmiał ton ekscytacji. Spełniało się jej życzenie. Liczyła zapewne, że dalsze pieszczoty poczynię zgodnie z naturą ludzką. Niedoczekanie! Cóż, przydał się w tym Andrzej. A w zasadzie jego jelito, które wepchałem do jej pochwy z pomocą kija od miotły. Jakże ona się radowała, czując wnętrzności kolegi w sobie. Zadawałem jej przyjemność raz za razem... dopóty przypadkowo nie przebiłem jej wewnętrznych organów. Spłynęła krew, ale dziewczyna wciąż żyła! Niebywałe! Zmieniłem więc otwór. I narzędzie. Tym razem wziąłem nóż, który zanurzyłem w krwi Vladimira i pchnąłem go w jej gardło. Kilka razy. Aniela wyzionęła ducha, ale ze satysfakcją na ustach. I w ustach. Ale nade wszystko – wyzwolona”.

„2 sierpnia 1977

Zapytałem, czym jest ten głos. Odpowiedział: *Silą, której wiara od wieków pragnie czynić zło, a dobro sprowadza*. To parafraza Goethego! Skąd on ją znalazł? Musiał być bytem niezwykle potężnym!”.

„6 sierpnia 1977

Niewierny Tomasz. Każdego tygodnia inna dziewczyna. Nie wiem, co samice w nim widzą. To wiecznie zblazowany człek, który najchętniej by tylko leżał, a wszystko podstawić mu pod nos. Dlatego jego wyzwolenie musiało być adekwatne do sposobu życia. Został zakneblowany i położony na ziemi. Dlaczego? A po co ma się wysilać z krzykiem, gdy raz za razem okaleczałem jego ciało? Jego rany były głosem jego agonii. Gdy zaczął się wierzgać, unieruchomiłem mu członki. Po co bidulka ma się męczyć ruchem? Ciosy wymierzałem mu w mniej witalne, acz wciąż wrażliwe miejsca. Tak trwało do czasu, gdy nawet związany zaczął się wierzgać. Pomogło obcięcie rąk i nóg. Niestety, przy tym on sam przestał się ruszać i reagować. Umarło mu się. Ale przynajmniej odszedł wolny...”.

„9 sierpnia 1977

Miałem zacząć się przygotowywać, bowiem już za dwa tygodnie poznam, co to znaczy nie być istotą ludzką. Miałem nie jeść, jedynie pić. Obiecał, że mi pomoże to

przetrwąć, bym miał siłę wytrzymać do końca”.

„13 sierpnia 1977

Szkoda mi Irka. Nieszczęśliwie zakochany w tej wszetecznicy Anieli. A ona raz za razem rzucała się w lubieżny szal z innym. To była jedyna osoba, która miała dostąpić innego wyzwolenia niż pozostali. Nie czyniłem mu żadnej krzywdy. Cóż, przynajmniej nie personalnie. Najpierw pokazałem mu Tomka i powiedziałem, co wyczyniał z Anielą. Ujrzałem wtedy iskry nienawiści w jego oczach. Wziął najbliższy obuchowy przedmiot i dawał cięgi truchłu, masakrując je z wielką pasją. Jak przyjemnie było popatrzeć, jak kawałki ciała rozbryzgują się po całym pomieszczeniu! Gdy już z Tomasza nie było czego zbierać, podszedł do ciała Anieli. Wyciągnął swoje przyrodzenie i zaczął gwałcić to, co z niej zostało. Odczuwał z tego jakąś namiętą satysfakcję. Nie zrozumieć tych zwyczajów. Gdy poczuł ekstazę, z jej resztkami uczynił to samo, co z poprzednimi, acz robił to z jeszcze większym zaangażowaniem niż wcześniej. Musiał zacząć jej nienawidzić za jej lubieżne usposobienie. Gdy skończył, padł na kolana, dysząc ciężko z szaleństwem w oczach. Chciał kolejnych ofiar. Niestety, czas nagli. Szybko przejechałem mu ostrzem po gardle, czym zakończyłem jego furię i proces uwalniania”.

„15 sierpnia 1977

Już prawie koniec. Wszystko przygotowane. Ledwie się ruszam, z głodu mam marazmy. Wydaje mi się, że widzę ów szepczący byt. Cały świetlisty, acz oczy jarzą mu się karmazynem. Zaprawdę, musi być potężny”.

„20 sierpnia 1977

Ostatnia. Oktawia. Złodziejska szelma, która traktuje wszystko jak okazję do zarobku. Wszędzie, nawet tutaj. To ona załatwiała dla pozostałych żaków co potrzeba, oczywiście za odpowiednio wyższą cenę. Poza tym podkradała co rusz co cenniejsze artefakty. Zostawiłem sobie ją na sam koniec, zarówno z oczywistych względów, jak i tego, że najdłużej myślałem, jak ją odpowiednio uwolnić. Rozmyślałem, rozmyślałem, i w końcu wymyśliłem. Co prawda, jest to mało finezyjne, ale jakże pasujące do niej. Wpierw rozprułem jej brzuch i wyciągnąłem na wierzch wszystkie wnętrzności. Ale, by nie wykrwawiła się za szybko, postanowiłem odpowiednio zatamować. Przydały się do tego jej drogie sukienki i wszystkie przedmioty, które chowała przed resztą. Cóż, w jej własnym ciele będą one najbezpieczniejsze i z nikim nie będzie musiała się dzielić. Darła się w niebogłosość, gdy ją zszywałem, i w końcu przegryzła swój własny język. Umarła z wykrwawienia. Winienem to zrobić z większą fantazją, ale stało się. Została uwolniona.

Ostatnia ofiara złożona. Czas przejść do właściwego uwolnienia. Mojego”.

Profesor drżącą ręką odłożył przetłumaczony tekst na biurku i spojrzął z przerażeniem na majora, który palił już z dwudziestego papierosa. Jego mina pozostawała kamienna przez cały czas odczytywania dziennika. Gdy Aleksander skończył, Jan zanurzył się przez chwilę we własnych myślach. Następnie zgasił papierosa.

– Więc był szalony – odpowiedział krótko agent służb bezpieczeństwa. – Inaczej tego nie mogę określić. Poddał się jakimś religijnym rytuałom i, wierząc w zbawienie, mordował swoich uczniów.

– Może... – zamyślił się uczony, raz jeszcze przyglądając się tekstowi. – Ale jeśli faktycznie nie zwariował, może być inne wyjaśnienie.

– Jakie? – zadrwił Zakrzewski. – Chcecie dać wiarę tym bredniom? Naprawdę, musielibyście mieć dobrą hipotezę, towarzyszu, bym uwierzył.

– Mogę ją przedstawić – powiedział cicho Trojanowski. – Acz wydaje mi się, że towarzysza majora przelożonym się nie spodoba.

Jan postukał kilka razy palcami o blat stołu, zastanawiając się. W pewnym momencie nacisnął coś na magnetofonie.

– Zatrzymałem nagrywanie – oznajmił oficer. – Jeśli faktycznie ja wam uwierzę, nagramy to raz jeszcze i dołączę do raportu. Jeśli nie, oznajmi pan, że Zabrzydowski był szaleńcem, który pod wpływem fanatyzmu religijnego zamordował prawych obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Profesor wiedział, o co chodzi agentowi. Nawet laik mógł dostrzec, że te mordy miały charakter religijny. A to woda na młyn dla partii, aby oczernić jeszcze bardziej kościół katolicki, który wzbiera na sile przez ostatnie lata. Przedstawienie takiej sensacji sprawi, że wielu może odwrócić się od wiary. Czyli kolejny krok do zniszczenia opium dla mas w Polsce.

– Zgoda – przystał Aleksander.

– Więc mówcie, coście wyczytali między wierszami, towarzyszu – odpowiedział Jan, wyciągając kolejnego papierosa.

Profesor nabrał powietrza w usta i zaczął referować:

– Zapewne początkowo uzna to towarzysz major za szaleństwo równe szaleństwu Zabrzydowskiego, ale proszę mnie wysłuchać do końca. Na podstawie informacji z dziennika uważam, że Tadeusz mógł zostać opętany. Tak, dobrze pan usłyszał. Mógł być to jakiś złośliwy duch albo demon, zaklęty w figurce i zapieczętowany w grobowcu. Świadczyć może o tym narracja. Do momentu bezpośredniej interakcji z posążkiem Zabrzydowski wykazywał

poczytalność, ale w późniejszych wpisach można zauważyć, że zupełnie się nie kontrolował. Widać to szczególnie w momentach, w których dokonywane są mordy. Na ten czas charakter tekstu się zmienia, staje się bardziej barokowy. Natomiast w przerywnikach między zabójstwami mamy bełkot szaleńca. To jeden dowód. Drugim niech będzie propozycja złożona Tadeuszowi. O tym, że wyjdzie poza ramy człowieczeństwa. W mitologiach demony często zawierały z ludźmi pakt, w których obiecywały wywyższenie nad innymi śmiertelnikami. Tu mamy jedną z takich obietnic. Co więcej, wracając jeszcze do narracji, proszę zwrócić uwagę na język, jakim Zabryzdowski posługuje się w trakcie mordów. W niektórych miejscach jest staroświecki. Jak choćby słowo „żak”, obecnie jest to archaizm. A w jednym z tych przerywników była informacja o tym, że ten byt istnieje od setek lat. To by tłumaczyło słownictwo.

Aleksander zamilkł i spojrzał na majora, który, oparty o siedzisko, słuchał wywodu.

– A jakbyście zinterpretowali motyw morderstwa? – zapytał Jan, wydmuchując dym. – Była mowa o ofiarach i, z tego, co towarzysz przeczytał, dość brutalnych morderstwach. I cały czas powtarzało się słowo „uwolnić” w różnych formach. Ja nie wyłapuję jednak związku.

– Wbrew pozorom jest on dość prosty – odpowiedział profesor. – I może potwierdzać zarówno waszą, jak i moją hipotezę. Bo ma znaczenie religijne. Przede wszystkim zwróćmy uwagę na dni mordów. Obywają się one co tydzień, chyba w sobotę, o ile dobrze wyliczyłem daty. Jest to nawiązanie do ostatniego dnia biblijnego. Obecnie uważa się, że jest nim niedziela, ale wedle żydów jest nim nasz szósty dzień tygodnia. Siódmy dzień i co siedem dni to notorycznie powtarzane okresy, w których dochodziło do składania ofiary. Co więcej, ich też jest siedem. Biblia bardzo przykłada się do symboliki cyfr. No i wreszcie, owe siedem zabójstw. One też nie są przypadkowe. Odpowiadają one siedmiu grzechom głównym. Pycha, nieumiarkowanie, gniew, żądza, gnuśność, zawiść i chciwość. Każda z ofiar reprezentuje te biblijne skazy. Ale są też cechą definiującą człowieka. Zakłada się, że nie jest on wyłącznie dobry czy zły. Grzeszy dlatego, że ma wolną wolę. Demon czy duch obiecał, że Tadeusz zostanie wywyższony nad byt ludzki. Mogę stwierdzić, że wyzbycie się siedmiu grzechów głównych byłoby w stanie obdrzeć z człowieczeństwa i wynieść do istoty idealnej, bliższej Bogu. Te siedem morderstw jest elementem symbolicznym i częścią jakiegoś rytuału.

– Tego całego wyzwolenia, tak? – dopytał major.

– Zgadza się – potwierdził Tadeusz. – Opisywani studenci odpowiadają każdemu z grzechów. Dlatego musieli zginąć. I jest jeszcze coś, na co niewielu będzie w stanie zwrócić uwagę. Ich imiona. Gdy zapiszemy je wedle kolejności śmierci, czyli Vladimir, Andrzej,

Celina, Aniela, Tomasz, Ireneusz i Oktawia, a następnie zmażemy wszystkie litery z wyjątkiem pierwszych, otrzymamy słowo „vacatio”.

– Czyli wakacje? – zauważył Jan.

– Blisko. Słowo wakacje wzięło się od łacińskiego *vacatio*, co oznacza po prostu „uwolnić”. Dlatego mordy były dokonywane w tej kolejności.

– A jak towarzyszy wy tłumaczy śmierć samego Zabryzdowskiego? Coś mu wysadziło klatkę piersiową?

– Tego nie wiem, niestety – westchnął profesor. – Mogę jedynie podejrzewać, że ów byt oszukał Tadeusza. Prawdopodobnie wykorzystał go, aby samemu się uwolnić. Po dopełnieniu rytuału po prostu wyszarpał sobie drogę. Dlatego wygląda, jakby coś zabiło go od wewnątrz.

Jan zamilkł, zaciągając się papierosem. Przymknął oczy, jakby intensywnie myślał nad tym, co powiedział mu Aleksander. Profesor wiedział, że jego opowieść była szalona i wręcz nienaturalna, ale wszystko, co przeczytał, takie było. Nie chciał wierzyć w istnienie jakichś dziwów, których nie pojmował w sposób naukowy, ale zdaje się, że nie należy tak na to patrzeć. Podejrzewał, że Zabryzdowski właśnie dlatego poddał się temu bytowi.

Major zgasił papierosa.

– Towarzyszu, przekonałście mnie do swojej hipotezy – zaczął oficer. – Choć sam nie wierzę w duchy i inne dziwy, trudno mi jest znaleźć inne wytłumaczenie.

– Cieszę się – odetchnął z ulgą Aleksander.

– Niestety, pozostała część Służby Bezpieczeństwa nie da wiary tej historii i odrzuci ją jako manifest, że jesteście niepoczytalni. Dlatego też przedstawię im swoją wersję. A co do was, towarzyszu Trojanowski, służby nie mogą pozwolić na to, żeby w Polsce Rzeczypospolitej Ludowej chodził na wolności wariat, który będzie w stanie opowiadać bajdy na temat duszków i demonów.

– Ale... mieliśmy... – zaczął profesor.

– Do widzenia – zdążył jeszcze powiedzieć major, zanim wstał i wyjął zza marynarki pistolet, z którego wystrzelił kilka razy w stronę Aleksandra.

Mężczyzna, otrzymawszy strzały prosto w klatkę piersiową, zginął od razu, a jego ciało oparło się bezwładnie krzesło. Oficer ponownie usiadł i położył broń na biurku, gdy do pokoju wbiegło dwóch uzbrojonych milicjantów.

– Towarzyszu majorze, nic wam nie jest? – spytał jeden z nich.

– Nie – odpowiedział sucho. – Ten szaleniec próbował się na mnie rzucić w trakcie przesłuchania. Gorzko pożałował.

Obydwaj stróże prawa schowali pistolety.

– Co zgłosić do centrali? – spytał jeden z nich, patrząc na zwłoki profesora.

– Poinformujcie, że Trojanowski odczytał dziennik Zabryzdowskiego, który okazał się bełkotem szaleńca opętanego na myśl o morderstwach religijnych. Z zimną krwią zabił siedem osób i siebie pod wpływem niepoczytalności. Można to podciągnąć pod jakąś sektę katolicką, która chce być bliżej Boga. Coś związanego z okresem jego studiów na KUL-u. A same dzienniki zostaną spalone wraz z translacją, gdyż mogą szerzyć niepotrzebną agitację przeciwko władzy ludowej. Potem przedstawię szczegółowy raport.

– A co z nim? – Milicjant kiwnął głową w stronę Aleksandra.

– Towarzysz Trojanowski pod wpływem emocji o zbrodni jego przyjaciela nie chciał dać wiary tym odkryciom i rzucił się na mnie w gniewie – odpowiedział Zakrzewski, sięgając po ostatniego papierosa w paczce. – W celu samoobrony postrzeliłem go kilka razy. Zmarł od ran. Można powiedzieć, że uwolniłem świat od kolejnego szaleńca. Możecie odejść.

Milicjanci zaszalutowali i skierowali się w stronę wyjścia. Jeden z nich, gdy zamykał drzwi, dostrzegł jeszcze sylwetkę majora, który odpalił papierosa z zadowoleniem na twarzy. Strażnik mrugnął kilka razy, gdyż miał przez chwilę przewidzenia.

Wydawało mu się, że uśmiech oficera wymalowany był z białych kłów, a oczy lśniły karmazynową barwą.



rys. Małgorzata Silkowska

TAŃCZĄCY PŁOMIEŃ

Filip Cholewczyński

Czarna Chmura spadał. Mijając spłoszone w powietrzu ptaki, czuł, jak serce wali mu w piersi. Machał rękoma, ale na nic zdawały się jego ruchy. Nie miał skrzydeł i nie potrafił latać. Spadał wzdłuż skał i gałęzi, które wystawały ze stromego zbocza góry. W pewnym momencie zahaczył o jedną z nich i poczuł piekący ból ramienia, jednak strach przed upadkiem szybko przegonił ogień bólu.

Zbliżywszy się do ziemi, wziął głęboki wdech i zamknął oczy.

Po chwili otworzył je ponownie i rozejrzał się wokół. Nad jego głową kłębiły się ciemne obłoki zwiastujące burzę. Uśmiechnął się na ich widok, wszak urodził się w burzowy dzień i dlatego ojciec nadał mu imię Czarna Chmury. Czuł dumę, gdy mógł tańczyć w deszczu i wychwalać dobrodziejstwa wody i chłodnego powietrza.

Usiadł i zobaczył, że wszystko było na swoim miejscu. Jego pióro, opaska na włosy i kamizelka z jelenia leżały starannie ułożone obok niego, tak jak przygotowywał je przed snem. On sam z kolei leżał na swoim pościeli, lekko przybrudzonym piaskiem i śmierdzącym starością, ale przynajmniej pozwalającym spać wygodniej.

Rozprostował się, ziewnął głęboko, a później spakował wszystkie swoje rzeczy do torby. Zarzucił ją na ramię i rozejrzał się wokół.

Stał u zbrocza wysokiej góry, z której schodził wczoraj przez cały dzień. Śnił o niej przed chwilą, choć koszmary senne nigdy nie zwiastowały niczego dobrego. Tak zawsze powiadał jego dziadek, Orle Pióro. Czarna Chmura był jednak młodym mężczyzną i musiał sprostać wyzwaniu. Poprawił więc pas torby na ramieniu, podniósł z ziemi swój łuk i kołczan i ruszył przed siebie w stronę lasu.

Miał za sobą piętnaście przeżytych zim, ale to była jego największa próba. Wiedział, że nie może zawieść, szczególnie że przy tym wyzwaniu nikt nie będzie mógł mu pomóc. Ani jego bracia, ani ojciec. Był zdany na siebie, własne umiejętności i jasny cel, który mu przyświecał. Musiał dotrzeć do wodza – Tańczącego Płomienia– i osobiście przekazać mu swoje pióro.

Taka była kolej rzeczy. Tego dnia stawał się mężczyzną.

Powoli zaczynał kropić deszcz, więc Czarna Chmura przyspieszył kroku. Lubił wodę i burzową pogodę, ale tym razem nie chciał za bardzo zmoknąć, nie mógł pozwolić sobie na przemarznięcie.

Dotarł do lasu, zanim deszcz rozpadał się na dobre. Pod osłoną drzew szedł przed siebie.

Po dłuższym czasie pomyślał, że dobrze będzie coś przekąsić. Poszukał w torbie kawałka mięsa jelenia, które przygotował w ogniu poprzedniego wieczoru. Nie mógł go jednak znaleźć. Niepocieszony, rozejrzał się wokół.

Drobny zając z mokrym od deszczu futrem przyglądał mu się kilka drzew dalej. Ich wzrok spotkał się na moment, który zdawał się trwać wiecznie, po czym Czarna Chmura zerwał się do biegu, wydając strzałę z kołczanu.

Zając był szybki i wykonywał nagłe skręty, przez które chłopak wpadał kilka razy na drzewa i krzewy, ale nie z taką zwierzyną radził sobie wcześniej. Zauważywszy, że jego ofiara opada powoli z sił, sięgnął po łuk, kucnął i dokładnie wycelował. Wziął głęboki wdech i, wypuszczając powietrze, uwolnił strzałę.

To był dobry strzał. Mocny i pewny. Podczas lotu grot przedarł się przez kilka liści krzewów, złamał jedną drobną gałązkę i trafił dokładnie w miejsce, w którym był zając. Tyle tylko, że w miejsce. W zwierzę już nie.

Czarna Chmura zaklął pod nosem, by po chwili przeprosić duchy swoich przodków za zły język. Był pewien, że dopadnie zwierzynę, bardziej niż pewien. Strzelał z łuku jak nikt inny w wiosce. Teraz jednak po zającu nie było już śladu, a on sam stracił chęć i apetyt na kolejną porażkę.

Podszedł do strzały, by z powrotem wsunąć ją do kołczanu. Sterczała wbita w kawałek ziemi, na której powinno leżeć powalone zwierzę. Wzdychając, Czarna Chmura oczyścił drewniany grot i wyjął drobiny ziemi z piór.

Jasne światło oślepiło go na moment. Rozejrzał się i zobaczył otaczające go słoneczne promienie.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jego gonitwa za zwierzyną doprowadziła go na skraj lasu. Słyszał teraz wyraźnie łoskot kół i rzenie koni. Przysiadł na skraju drzew, wciąż ukryty w ich cieniu, i rozejrzał się po okolicy.

– Wasi’chu – mruknął pod nosem na widok tętniącego życiem miasta białych ludzi. Był zbyt daleko, by rozpoznać twarze, ale wiedział, że żadne inne kobiety nie ubierają się w tak niewygodne i jaskrawe stroje, jak te tutaj. Mężczyźni też nosili te swoje absurdalne okrągłe kapelusze, a przy pasie – rewolwery, które szczękały przy każdym kroku.

Miasto nigdy nie witało takich jak on zbyt ciepło, ale Czarna Chmura nie miał wyjścia. Musiał przedostać się przez nie albo tracić dzień lub dwa drogi, idąc wokół. Nie mógł pozwolić sobie na spóźnienie.

Zebrał się w garść i odmówił pod nosem krótką modlitwę o ochronę. Usłyszał nad głową skrzek orła, co uznał za dobry znak. Skłonił się, dziękując skrzydlatemu przyjacielowi, i ruszył w stronę miasta.

Powozy i konie z jeźdźcami przemieszczały się w tę i z powrotem, wożąc towary, ludzi i martwe zwierzęta. Czarna Chmura starał się im nie przyglądać i nie zwracać na siebie zbytnej uwagi, chociaż jego karnacja, długie ciemne włosy i odstające od ucha pióro nie były czymś, co mógłby schować przed tymi ludźmi. Nie przejmował się tym zbyt, bo był dumnym członkiem plemienia Beothuków, ale bez rodziny i przyjaciół czuł się nagi i bezbronny.

Żaden z jeźdźców nie wydawał się zbyt zainteresowany jego osobą. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, nikt nie krzyknął w jego kierunku obraźliwych słów ani nie zaczepił. Wyglądało na to, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Im bardziej zbliżał się do drewnianych zabudowań, tym bardziej błotnista stawała się droga. Deszcz zrobił swoje, a konie i mieszkańcy miasta tylko roznieśli mokre podłoże wokół. Stopy Czarnej Chmury zaczęły lekko się zapadać, ale – zgodnie z naukami swojego ojca – przeszedł na wydeptaną ścieżkę prowadzącą wzdłuż budynków, gdzie poczuł pewniejszy grunt pod stopami.

Podszedł do dużego znaku, by dowiedzieć się, do jakiej białej osady właśnie trafił.

„Ghost Town”, głosił napis. Czarna Chmura wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. Podrapał się po głowie, starając się przypomnieć sobie, gdzie dokładnie znajdowało się to miasto. Nie wydawało się, by było w drodze do wioski Tańczącego Płomienia.

Zaklął, po czym szybko przeprosił duchy przodków za złe słowa, które przeszły mu przez głowę.

Deszcz przybrał teraz na sile i wszyscy mieszkańcy miasta zaczęli chować się w okolicznych domach i budynkach. Czarna Chmura wypatrzył bar z wielkim napisem „Saloon”, który znajdował się zaledwie kilkanaście metrów od niego, po czym, starając się omijać środek błotnistej drogi, pobiegł do budynku. Znalazłszy się pod dachem baru, spojrzął na dwóch kowbojów po lewej stronie od wejścia. Jeden z nich palił papierosa, przyglądając mu się uważnie jednym okiem, a drugi grzebał w swoich wystających kościach i wyjmował z nich robaki, które następnie miażdżył palcami. Czarna Chmura lekko skłonił się, na co odpowiedzieli tym samym, po czym wrócili do swoich zajęć. On sam przełknął ślinę i niepewnie ruszył przed siebie.

Chłopiec pchnął drzwi wejściowe baru i usłyszał skoczną muzykę białych ludzi. Grajek bez głowy poruszał zręcznie palcami po biało-czarnych klawiszach i tupał nogą, z której wystawały kości. Przy stołach siedzieli gracze, układając karty, domino albo rozglądając się wokół i popijając drinki. Wodzili martwymi spojrzeniami po pomieszczeniu, szukając czegoś wartego uwagi. Czarna Chmura nie był dla nich wystarczającym powodem do zawieszenia wzroku. Osobiście, odpowiadało mu to w pełni.

Podszedł do baru, ominąwszy po drodze kelnerkę z białymi źrenicami i żółcią wokół ust kapiącą leniwie na niegdyś biały fartuch. Kobieta śmierdziała stęchlizną, którą poczuł, gdy przeszła obok. Był to na tyle uciążliwy zapach, że musiał na moment wstrzymać oddech.

Gdy dotarł do lady, zobaczył czarnego barmana, który patrzył na niego równie ciemnymi oczami. Na jego fartuchu widniały trzy wielkie czerwone plamy. Wciąż sączyła się z nich krew.

– Co podać? Whisky? – zapytał barman, czyszcząc białą szmatką drobny kieliszek.

– Nie, dziękuję. Czy mogę się dowiedzieć, co to za miejsce? – zapytał Czarna Chmura.

– Jasne. To Ghost Town, młodzieńcze. Pierwszy raz u nas?

– Tak, pierwszy raz – odpowiedział pospiesznie chłopiec. – Gdzie dokładnie się znajdujemy? Jestem w podróży do indiańskiej wioski, ale nie słyszałem, by to miasto znajdowało się po drodze.

– Jesteśmy dokładnie tam, gdzie powinniśmy, chłopcze – odpowiedział z uśmiechem barman i puścił do niego oko. – Nie wiem, gdzie jest twoja wioska, ale zapytaj tego Indianina w rogu sali, powinien ci pomóc. – Wskazał głową w kierunku mężczyzny okrytego płaszczem, stojącego z dala od zgiełku.

Czarna Chmura podziękował barmanowi, zostawiając mu półdolarówkę na stole. Barman uśmiechnął się serdecznie na ten gest, skłonił lekko głowę i wrócił do czyszczenia szkła.

Chłopiec ruszył w kierunku postaci w płaszczu, której głowę okrywał kaptur. W tym samym momencie zegar na ścianie wybił godzinę dwunastą.

Ktoś chwycił Czarną Chmurę mocno za ramię i obrócił go w miejscu.

– Hej, czerwonoskóry chłopcze, chcesz się ze mną zabawić? Za dwa dolary zrobię dla ciebie wszystko, włożę nawet we włosy jedno z tych twoich piór. – prostytutka zaczepiająca chłopca wyjęła mu z włosów jego plemienne pióro i obróciła nim w dłoniach. – Co ty na to?

– Nie, dziękuję – powiedział Czarna Chmura przez zęby i pewnym ruchem wyrwał pióro z ręki kobiety. Dopiero po chwili zobaczył, że pod jej twarzą znajdują się plecy. Jej głowa była obrócona o 180 stopni względem reszty tułowia.

Starając się zachować spokój, skupił się na mężczyźnie w kącie pokoju, ale wokół zaczęło dziać się coś niepokojącego. Muzyka ucichła, a krzesła dokoła zaczęły się odsuwać. Ktoś zastąpił Czarnej Chmurze drogę i zasłonił stojącego w kącie nieznanego.

– Czy ty właśnie odmówiłeś naszej słodkiej Anabelle? – zapytał. Był to stary mężczyzna w podartej koszuli i spodniach. Nie miał na sobie butów, a z jego wielkiego brzucha wystawały wnętrzności. Potwornie przy tym śmierdział.

– Bardzo przepraszam, ale spiesz mi się – odpowiedział Czarna Chmura, nie mogąc oderwać wzroku od rozkładających się części przed sobą.

Mężczyzna odwrócił się, a na ziemię spadł kawałek jego skóry. Wydawał się jednak nie zwracać na to uwagi.

– Słyszeliście, moi drodzy? Jemu się spieszy! – Słowom odpowiedział rechot wszystkich ludzi wokół, zawodzący, skrzeczący i bulgoczący jak błoto na ulicy. Żaden z tych odgłosów nie był ludzki.

Kolejni kowboje, prostytutki i goście lokalu podchodzili do Czarnej Chmury i w końcu otoczyli go ze wszystkich stron. Niektórzy popychali go, zaśmiewając się swoimi przerażającymi głosami. Chłopiec starał się od nich uwolnić, ale miał wrażenie jakby byli wszędzie, paraliżowali go swoim wyglądem, smrodem i dźwiękami.

Rozległ się głośny strzał, a wszyscy, jak na znak, zamarli w miejscu. Ktoś pośród tłumu jęknął przeraźliwie.

– Zostawcie chłopca w spokoju. Przyszedł do mnie – powiedział nieznajomy w płaszczu i zdjął z głowy kaptur. W dłoni trzymał uniesiony w górę rewolwer.

Czarna Chmura od razu rozpoznał jednego z członków plemienia Siuksów. Miał dwa długie ciemne warkocze i wpięte we włosy dwa czarno-białe pióra. Były nieco połamane i wyglądały na bardzo stare, ale ich właściciel nosił je z dumą. Jego twarz wydawała się w połowie połamana, a oko wisiało z groźbą odpadnięcia w każdej chwili, ale widok pobratymca uspokoił Czarną Chmurę.

– Chodź ze mną, chłopcze. Anabelle, dwa dolary dla ciebie, kochana.– Tajemniczy nieznajomy posłał dwie monety w stronę kobiety, która przed chwilą zaczęła Czarną Chmurę. Złapała je błyskawicznie obróconą dłonią i puściła oko w ich stronę.

Jak na niewidzialny rozkaz, wszyscy powrócili do swoich czynności: usiedli przy stołach i rozmawiali między sobą, jak gdyby nigdy nic. Muzyk bez głowy powrócił do grania skocznych utworów, a barman dalej czyścił szklane kieliszki.

Nieznajomy wyprowadził Czarną Chmurę poza bar. Okazało się, że w międzyczasie deszcz przestał padać, choć czarne chmury na niebie wciąż zasłaniały błękitne niebo.

– Jak cię zwa, chłopcze? – zapytał nieznajomy i wyciągnął z kieszeni starą fajkę. Włożył do niej nieco tytoniu i zaczął sprawdzać kieszenie w poszukiwaniu zapalek.

Podszedł do niego jeden z kowbojów, których Czarna Chmura zauważył wcześniej przed wejściem do lokalu. Bez słowa podał nieznajomemu Siuksowi paczkę zapalek, którą ten przyjął ze skinieniem głowy. Kowboj odpowiedział tym samym i wrócił na swoje miejsce.

– Czarna Chmura –przedstawił się lekko drżącym głosem chłopiec.

– Jak te nad nami, co? Dobre imię –stwierdził nieznajomy i zaciągnął się dymem z fajki. Chłopiec zauważył z przerażeniem, jak nieco dymu zaczęło wydostawać się z oczodołu, z którego wisiało oko. – Chodź ze mną, Czarna Chmuro. Musimy pomówić.

Zaczęli iść błotnistą drogą. Czarna Chmura nie miał odwagi, by powiedzieć swojemu towarzyszowi, by zeszli nieco na bok. Teraz jego skórzane buty tonęły w mokrej nawierzchni, a on sam czuł chłód przedzierający się przez stopy.

– Mam na imię Wilcze Kły. Dawno nie widziałem nikogo z plemienia Beothuków. Dobrze wiedzieć, że wciąż jesteście na tym świecie. Wielu naszych pobratymców ginie z rąk Wasi'chu. Zaczęli niedawno budować wielkie maszyny wydobywające ropę z ziemi. Zburzyli trzy nasze wioski i wymordowali prawie wszystkich z nas. W imię czego? Złota i władzy. Mnie też prawie dopadli.– Wskazał na wiszące z oczodołu oko. Czarna Chmura przytaknął jedynie głową, nie mogąc zebrać w sobie odwagi na komentarz. – A co ciebie tutaj sprowadza, Czarna Chmuro?

– To moja próba męstwa. Muszę dotrzeć do wioski Ojibwe i pomówić z wodzem Tańczącym Płomieniem. Mam wrócić od niego z przedmiotem, który dowiedzie, że dotarłem tam sam. Problem w tym, że Ghost Town nie było po drodze do wioski i nie wiem, gdzie jestem. To miejsce nieco mnie przeraża, Wilcze Kły.

– Rozumiem, co czujesz. Ojibwe znajdziesz na północ stąd, pół dnia drogi na grzbiecie konia.

– Pół dnia drogi na koniu? To kilka dni podróży na nogach. Z tego, co widzę, nie ma tam lasów, tylko pustynny teren. Bez mięsa i wody zajmie to jeszcze dłużej – Czarna Chmura opuścił z rezygnacją głowę.

– Nie martw się, chłopcze. Możesz wziąć mojego konia. Zwrócisz go w drodze powrotnej.– Wilcze Kły uśmiechnął się i w tym samym momencie jego wiszące oko zerwało się i upadło wprost pod stopy chłopca.

Czarna Chmura zamarł, sparaliżowany strachem.

– Najmocniej przepraszam.– Stary Indianin podniósł z ziemi oko i włożył je niedbale z powrotem do oczodołu. Teraz widać było tylko białko, z którego po policzku spływało powoli błoto.

Ruszyli w stronę stajni znajdujących się na obrzeżach miasta. Po drodze minęło ich kilku jeźdźców i przechodniów. Każdy z nich z dziurami po kulach w klatkach piersiowych, ze strzałami wystającymi z głów lub z brakującymi częściami ciała. Czarna Chmura zmuszał się do odwracania wzroku w drugą stronę, gdy mijali ich po drodze.

Stajnie były dużym budynkiem, który czasy świetności miał już za sobą. Wścianach i na suficie widniały dziury, przez które do środka dostawało się światło. Obecnie kapala z nich również woda, która zalała niemal całą powierzchnię, na której stały konie.

Widok mokrej i zabłoconej stajni nie mógł jednak równać się z widokiem zwierząt. Konie stojące wzdłuż ścian wyglądały jeszcze bardziej makabrycznie niż ci mieszkańcy Ghost Town, których Czarna Chmura do tej pory spotkał. Wielkie płyty skóry wisiały na odstających kościach rumaków, podczas gdy ich białe martwe oczy wodziły wzrokiem za

każdym człowiekiem przechodzącym obok. Chłopiec stajenny był właśnie w trakcie obchodu z pokarmem dla koni, które zajadały się zepsutymi marchewkami i jabłkami pokrytymi pleśnią.

– Ten tutaj to mój dzielny koń, Nocna Strzała – powiedział z dumą Wilcze Kły, przedstawiając jedno ze zwierząt.

Wierzchowiec starego Indianina górował nad innymi końmi w stajni. Był potężnym, muskularnym koniem z wielką grzywą i bystrym, wyjątkowożywym, jak na otaczające ich okoliczności, spojrzeniem. Z początku wydawał się Czarnej Chmurze zwykłym, zdrowym koniem o czarnym umaszczeniu. Jednak gdy tylko zbliżyli się do niego, szybko okazało się, że było inaczej.

Połowa konia, którą zobaczyli, wchodząc do stajni, rzeczywiście była zdrowa i nienaruszona przez czas. Jego druga część jednak nie miała na sobie żadnej skóry, jedynie wystające białe kości i pulsujące, stale ruszające się wewnątrz organy. Czarna Chmura nie wytrzymał i zwrócił się na ten widok.

– Nie ma się czego obawiać, mój chłopcze – powiedział zatroskanym głosem Wilcze Kły. – To duża bestia, ale niezwykle łagodna i szlachetna.

Stary Indianin podszedł do konia i w dialekcie Siuksów przywitał się ze zwierzęciem, klepiąc je po pysku. Wierzchowiec odpowiedział skinieniem głowy i zadowolonym rzeniem.

– Chodź – odezwał się znów do młodego Indianina, który trzymał się z dala od zwierzęcia. – Nocna Strzała musi cię poznać, zanim na niego wsiądziesz.

Czarna Chmura poczuł, że to szaleństwo. Musiał wydostać się jak najszybciej z tego miejsca, dotrzeć do Tańczącego Płomienia i opowiedzieć mu o tym wszystkim. Może to wszystko tylko zwidy, będące następstwem rytualnego dymu, który wdychał przed podróżą? Tak, z pewnością. Musiał przełamać swój strach i stawić czoła wszystkim niełaskom losu.

Podszedł bliżej konia, który bacznie obserwował go zdrowym okiem. Chłopiec miał pewność, że odczodół po jego lewej stronie również patrzy na niego, oceniając każdy jego ruch.

Czarna Chmura często jeździł na wierzchowcach i nie bał się ich. Wiedział, że połowa sukcesu polegała na pewności siebie. Jeśli jeździec nie wiedział, co robi, albo wątpił w swoje umiejętności, koń rzadko go słuchał. To samo dotyczyło się pierwszego wrażenia, które stwarzał przed nowo napotkanym zwierzęciem. Musiał więc powściągnąć wszystkie swoje niepewności, jeżeli miał przekonać do siebie Nocną Strzałę.

– Buzhu – przywitał konia, schylając głowę w geście szacunku.

Koń obserwował go przez krótką chwilę, po czym zarżał cicho, również pochylił głowę i tupnął dwa razy przednim kopytem.

Czarna Chmura sięgnął ręką i delikatnie przejechał po zdrowej stronie pyska zwierzęcia. Koń przymknął zdrowe oko i polizał go po dłoni.

– Już się dogadujecie, wspaniale! Powiem stajennemu, by przygotował siodło, i będziecie mogli ruszyć w drogę.–Wypowiedziawszy te słowa, zostawił Czarną Chmurę wraz z koniem.

Czarna Chmura oglądał dokładnie odstające kości po lewej stronie zwierzęcia, zastanawiając się, jak wpłyną na komfort jego jazdy. W razie potrzeby będzie musiał jechać, trzymając nogi jak białe kobiety w długich, niewygodnych sukienkach. Uwłaczające, ale oszczędzi mu to bólu i ewentualnych ran, których mógłby się nabawić.

– Nie zawsze taki byłem –westchnąłkoń, odpowiadając na niezadane przez chłopca pytanie.

– Ty mówisz? Jak? – zapytał Czarna Chmura, zdziwiony i zszokowany.

– Normalnie. A jak ty oddychasz, chłopcze? Zadajesz nieodpowiednie pytania. Teraz jednak nie czas na to. Porozmawiamy w drodze.

Czarna Chmura odsunął się, gdy stajenny – kilkunastoletni młodzieniec z dziurą w głowie, wyglądający na zbliżonego do niego wiekiem – wyprowadził konia z boksu i osiodłał. Młody Indianin widział, jak zręcznie zaczepia popręg wzdłuż odstających żeber zwierzęcia i sprawdza mocowania. Po zaledwie kilku chwilach było już po wszystkim, a Czarna Chmura mógł ruszać w drogę.

Wskoczył na konia i z zadowoleniem zauważył, że będzie mógł jechać na nim bez większych problemów. Odstające żebra zwierzęcia pod jego nogą były na tyle silne i blisko ułożone, że przypominały zdrową część konia, tyle że bez ciepłej w dotyku skóry.

– Powodzenia, Czarna Chmuro. Pozdrów ode mnie Tańczący Płomień i do zobaczenia wkrótce – powiedział stary Indianin, uśmiechając się ciepło. – Nocna Strzała, jedź szybko i pewnie, ten chłopiec potrzebuje twej pomocy.

– Tak zrobię, Wilcze Kły – odpowiedział koń, zanim Czarna Chmura zdołał otworzyć usta.

Chłopiec pożegnał starca i ruszył przed siebie, zostawiając za sobą miasto duchów, potworów i zapomnianych kowbojów.

Przez jakiś czas jechali w ciszy przez pustynię, mijając nieliczne krzaki, kaktusy i skały. Rozpostarty przed nimi widok wskazywał bezkres czerwonego piasku, nieco przyćmionego przez burzowe chmury nad ich głowami.

- Jak to możliwe, że mówisz, Nocna Strzała? – zapytał w końcu chłopiec.
- A jak to możliwe, że słońce wisi nad naszymi głowami, a nie spada na ziemię? – odpowiedział koń. – Zadajesz niewłaściwe pytania, chłopcze. Spróbuj raz jeszcze.
- No dobrze. W takim razie powiedz mi, w jakim miejscu obecnie się znajdujemy?
- Jedziemy przez czerwoną pustynię. Domyślam się również, że zmierzamy w stronę Ojibwe?
- Skąd wiedziałeś? – zapytał zszokowany chłopiec.
- Ponieważ to jedyne miejsce, do którego możemy zmierzać przez pustynię – odpowiedział tajemniczo koń, czym zakończył rozmowę.

Czarna Chmura nie wiedział, dlaczego, ale czuł, że dalsze zadawanie pytań nie będzie miało większego sensu. Koń nie przejawiał szczególnej chęci do rozmowy i odpowiadał na jego wątpliwości sposób powodujący jedynie zawroty głowy i frustrację. Chłopiec wolał od tego jazdę w milczeniu.

Minęli pustynne rejony i zamienili okolicę na nieco bardziej przyjazny teren z kanionami wznoszącymi się dziesiątki metrów w górę. Wraz z nimi pojawiły się bogatsza fauna i flora w postaci setek drobnych krzaków i jaszczurek, i węży wijących się między nimi. Czarna Chmura widział, jak poruszały się szybko między jedną kryjówką a drugą, jednak nie czuł apetytu. Jakikolwiek mógł mieć wcześniej, Ghost Town wyjątkowo szybko pozbawiło go ochoty na jedzenie. Z uprzejmości zapytał jednak konia, czy nie zechciałby zjeść zgniętego jabłka, które dostał od chłopca stajennego, lub napić się wody z jednego z kaktusów obok nich. Koń podziękował i rzekł, że również nie ma apetytu.

Kolejne godziny mijały wyjątkowo szybko. Na nieboskłonie wciąż widniały burzowe chmury, ale na szczęście dla chłopca i jego wierzchowca nie zaczęło jeszcze padać. Dzięki temu mogli poruszać się dalej bez konieczności szukania schronienia.

Wkrótce kaniony ustąpiły miejsca pojedynczym wielkim wzniesieniom, aż w końcu na horyzoncie nie było niczego prócz jednej skały. Z jej szczytu tlił się drobny dym. Czarna Chmura widział tam również ciemny kształt, który z czasem przybrał postać tipi.

- Tam w górze. Widzę pojedynczy namiot – powiedział chłopiec.
- Tak, to Ojibwe. Cel naszej podróży.
- Jak to możliwe? – zapytał chłopiec. – Przecież Ojibwe to wioska Tańczącego Płomienia. A stąd widzę jedynie pojedyncze tipi.
- To prawda. Jednak Ojibwe to przede wszystkim miejsce, a nie wioska.
- Na czym polega różnica? – dociekał Czarna Chmura.

– Jedno jest niezmiennie i stałe, drugie można przenieść, wraz z jego mieszkańcami – odpowiedział koń.

Chłopiec chciał dopytać, co kryło się za tymi słowami, ale postanowił, że da sobie spokój. Tajemniczość jego kompana tworzyła więcej niejasności niż odpowiedzi. Postanowił, że zada wszystkie nurtujące go pytania Tańczącemu Płomieniowi, gdy w końcu do niego dotrze.

Przed nastaniem nocy udało im się dotrzeć do skały. Okazała się jednak bardziej niewielką górą niż zwykłym głazem. Było w niej wiele wypustek i występów skalnych, które dawały nadzieję na szybką i bezpieczną wspinaczkę.

Nim Czarna Chmura rozpoczął podróż w górę, zostawił na ziemi jedzenie dla konia i odciął górną część stojącego nieopodal kaktusa. Następnie wylał z niego sok do jednego ze skalnych wyźłobień, mówiąc wierzchowcowi, że może pić z tego miejsca, gdy tylko poczuje pragnienie.

– Masz dobre serce, Czarna Chmuro. Dziękuję ci za twą dobroć. Jesteś jednak młody i niecierpliwy, przez co odpowiedzi, których szukasz, zabolą twą dumę bardziej niż wiedza, którą mogłeś osiąść na początku tej podróży – powiedział koń.

– Co masz na myśli? – zapytał chłopiec.

Koń potrząsnął grzywą i wskazał potężną górę przed nimi.

– Czas na moje odpowiedzi dobiegł końca. To, czego szukasz, znajdziesz na szczycie tej góry.– Tymi słowami koń zakończył rozmowę i podszedł do wody, by wypić niej łąpczywie zdrową częścią pyska. Z jego drugiej strony woda wylewała się na ziemię przez szerokie szpary między kośćmi i zębami wierzchowca.

Czarna Chmura posłał zdziwione spojrzenie towarzyszowi podróży. Następnie odłożył swój łuk i kołczan wraz z torbą i zostawił przy pasie jedynie pustą sakiewkę, przygotowaną na podarunek od Tańczącego Płomienia. Był podekscytowany, że już niedługo stanie się mężczyzną i powróci do wioski jako pełnoprawny członek plemienia, a nie dziecko, za które był uważany do tej pory.

Spojrzał w górę i chwycił dłońmi najbliższe wystające krawędzie. Następnie rozpoczął wspinaczkę.

Przez pierwszych kilka chwil wszystko szło gładko i bez większych problemów. Jego ręce i nogi trafiały na wyrwy i występy skalne, po których wspinał się szybko i pewnie. Był świadomy swoich umiejętności. Zbyt wiele razy wraz z braćmi chodził po skałach w okolicach ich wioski, by wątpić w samego siebie. Poza tym miał przed sobą cel. Stać się mężczyzną. Powrócić do domu i uściskać braci, siostrę i ojca. Napełnić dumą ich serca.

Wiatr z deszczem zerwały się niespodziewanie. Czarna Chmura stracił pewny chwyt, a jego ciało zawisło niebezpiecznie na jednej ręce. Poczul ból w ramieniu, po czym przeszedł go dreszcz. Znalazł nogami wyrwy w skale i przycisnął całe ciało do śliskiej powierzchni.

Gromy błyskały wokół góry, a chłopiec stający się mężczyzną poczul strach.

Spojrzał w górę. Miał jeszcze do pokonania ponad połowę drogi. Deszcz padał intensywnie, atakując jego ciało raz po raz, a wiatr mroził do szpiku kości. Czarna Chmura był jednak zdeterminowany i nie mógł się poddać. Nie teraz.

Ostrożnie poszukał chwytu wolną ręką, złapał za odstający kawałek skały i podciągnął się. Jedna noga ześlizgnęła się, a druga instynktownie podążyła za nią. Przyciągnął się znów do mokrej nawierzchni, oddychając ciężko.

W końcu zawył głośno jak wilk poszukujący swojej watahy. Gdzieś z oddali odpowiedziały mu głosy. Szepczące, wyjące, wołające go.

– Dlaczego on?

– Dokąd poszedłeś?

– Wrócisz do nas?

– Mój kochany synu...

Mokry, zziębnięty i przerażony Czarna Chmura warczał jak niedźwiedź. Brunatne zwierzę nie boi się niczego, a on nie będzie okazywał strachu w dniu próby. Czekali na niego najbliżsi. Nie zawiedzie plemienia.

Stopniowo, ostrożnie i powoli zaczął przesuwać się w górę. Wiatr zerwał mu z głowy pióro i opaskę, włosy miał mokre i ciężkie. Podciągał się jednak dalej. Szukał miejsc z odrobiną ziemi i zieleni, na których mógł stawiać pewnie kroki, i występów skalnych, które, choć mokre, mogły utrzymać jego ciało.

Po wspinaczkę, która miała z początku zająć dużo mniej czasu, udało mu się wreszcie dotrzeć na szczyt.

Deszcz przestał padać, wiatr uspokoił się. Nad głową przeleciały dwa orły, skrzecząc i gratulując mu, że wytrwał i podołał zadaniu. Odległe wspomnienie o upadku – śnie, który wybudził go tego dnia – wciąż pozostawało, ale przykryte zostało dumą, radością i spełnieniem.

Chmury rozstąpiły się, a ciepłe słońce zaczęło ogrzewać jego zziębnięte ciało. Kilka kroków od niego płonęło małe ognisko, a za nim siedział starzec z opaską na oczach. Za jego plecami rozłożone było tipi, na którym widniały dziesiątki tajemniczych cieni.

Starzec wyglądał znajomo, choć Czarna Chmura był pewien, że nigdy wcześniej nie spotkał Tańczącego Płomienia. Zdziwiło go jedynie, że starszy mężczyzna nie miał na sobie kropli wody, choć góra, na której się znajdowali, była cała mokra.

– Usiądź przy ogniu, Czarna Chmuro. Należy ci się odpoczynek – powiedział mężczyzna i wskazał miejsce naprzeciwko siebie. Chłopiec podszedł bliżej i usiadł, zgodnie z poleceniem.

– Buzhu, wielki czcigodny wodzu – Czarna Chmura pochylił się nisko.

– Żaden ze mnie wódz, dzielny wojownik – odpowiedział z rozbawieniem w głosie starzec, a płomień w ognisku zatańczył niespodziewanie. – Jestem jedynie starcem zagubionym w świecie duchów i rzeczy zapomnianych.

Chłopiec zdziwił się, usłyszawszy te słowa, ale z szacunku do wodzamiliłczał.

– A więc dotarłeś tutaj, do celu swojej podróży. Stałeś się mężczyzną i od tej pory nikt inny nie nazwie cię już chłopcem – ciągnął starzec. – Jesteś silny i rośły. Byłby z ciebie nadzwyczajny wojownik, jednak twoim przeznaczeniem nie będzie walka. Masz pewne oko, jednak nigdy już nie strzelisz z łuku. Masz pewność ducha, lecz nie poprowadzisz innych i nie przejmiesz wioski po swoim ojcu. Nie staniesz się wodzem, choć twoje serce tego pragnie.

Czarna Chmura spojrzał na starca i wstał, pełen złości i rozgoryczenia. Po wszystkim, co przeszedł, po całej tej potwornej podróży i wspinaczce, która niemal kosztowała go życie, dowiaduje się, że nie zostanie wojownikiem?

– Czcigodny Tańczący Płomieniu, co masz na myśli? Moja droga, moja podróż... – zaczął młody mężczyzna.

– ... dobiegła końca – oznajmił starzec. – Chłopcze, czy nie widzisz, gdzie się znajdujemy? Rozejrzyj się wokół. Popatrz.–Mówiąc to, Tańczący Płomień wstał i przeszedł przez ognisko, którego płomień rozstał się na dwoje, pozwalając mu przejść.–Popatrz oczami, które widzą więcej niż tylko to, co jest przed tobą.

Starzec zerwał nagle z głowy opaskę i spojrzał prosto w oczy Czarnej Chmury. Młody mężczyzna widział w pustych białych oczach burzę, deszcz i ogień. Odwrócił wzrok, poczuwszy strach, i wtedy zrozumiał.

Pod nimi, po sam horyzont, snuły się duchy. Ranne wilki, które nie czuły już bólu, niedźwiedzie ze strzałami w bokach zajmujące się swoim potomstwem pośród martwych drzew. Ludzi białych, czarnych i czerwonych, którzy rozmawiali ze sobą, śmiali się, płakali i żyli w nieżyciu. A pośrodku tego wszystkiego on sam.

– Udało ci się, Czarna Chmuro. Byłeś dzielnym młodym wojownikiem, który nawet po śmierci dowiódł swej wartości i godności. Większość żyjących tutaj dusz wciąż snuje się, poszukując, nie wierząc i ignorując jasne znaki.

W oddali uderzył piorun. Czarna Chmura milczał, patrząc na starca. W jego sercu nie było już strachu, ale przepełniał go smutek.

– Myślisz o rodzinie, to zrozumiałe – odpowiedział Tańczący Płomień. – Masz dobre serce i wciąż możesz wybrać, czy chcesz powrócić do świata żywych. To jest twoja nagroda. Pamiętaj jednak, że wszystko, co było ci bliskie, będzie inne, a ty sam nie wrócisz taki, jaki opuściłeś wioskę.

– Chcę wrócić – powiedział bez namysłu chłopiec. Starzec popatrzył na niego pustymi oczami, po czym potwierdził jego słowa skinieniem głowy.

– Weź tę opaskę. Jest totemem, który zabierzesz z powrotem. Nałóż go na oczy. Ból będzie wielki, ale zniesiesz go jak prawdziwy wojownik. Twoje serce będzie teraz twoim największym orężem, korzystaj z niego i patrz dalej niż ktokolwiek inny.

Czarna Chmura nałożył na oczy opaskę, a świat zakrył się mrokiem.

– Spotkamy się znów, Czarna Chmuro – powiedział starzec i po chwili wszystko ucichło.

Znaleźli go nieopodal lasu, leżącego pod górującą nad okolicą skałą. Jego ciało było powyginane, a z głowy leciała krew. Obok leżała czarna opaska. Z początku myśleli, że umarł, jednak gdy tylko zjawili się obok, wypłynął z ust nadmiar krwi i lekko się uśmiechnął.

Czarna Chmura nie widział niczego i czuł wielki ból całego ciała, jednak nie skarżył się na swój los. Zyskał coś, za co będzie wdzięczny Tajemniczemu Płomieniowi do końca swych dni. Powrócił do wioski, gdzie przez następne lata opiekowały się nim kobiety, a mężczyźni przynosili do miejsc, o które prosił.

Nigdy nie wstał o własnych siłach, ale ręce miał swobodne. Nie widział świata żywych, jednak widział dusze zmarłych. Rozmawiał z nimi przez te wszystkie lata, ucząc się i dowiadując rzeczy, o których nikt z żyjących nie mógł wiedzieć.

Szybko stał się plemiennym szamanem, stanowiącym pomost między światem żywych a umarłych. Ręce, choć po latach słabsze i pomarszczone, wciąż były silne. Język cięty i żywy. Jego zmysły wyostrzyły się i dały mu możliwość przepowiadania pogody kilka dni w przód i uprzedzania plemienia przed nadchodzącymi burzami. Niektórzy powiadali, że jego

słuch był tak dobry, że słyszał nadchodzących jeźdźców pół dnia przed ich przybyciem do wioski.

Był mądry i poczciwy aż do końca swych dni.

Gdy umierał, nie było już na świecie nikogo, kto pamiętałby jego stare imię. Zginęło u podnóża góry, która miała być jego zgubą. Wszyscy z plemienia znali go jako Tańczący Płomień.

Mawiano, że gdy przepowiadał przyszłość albo rozmawiał ze zmarłymi, płomień w jego namiocie tańczył, a cienie za plecami ukazywały dusze istot zapomnianych i zagubionych.

Gdy pewnej nocy duch młodego wojownika przyszedł po niego, przywitał go jak starego przyjaciela i razem z nim wyszedł w ciemną, głuchą noc.

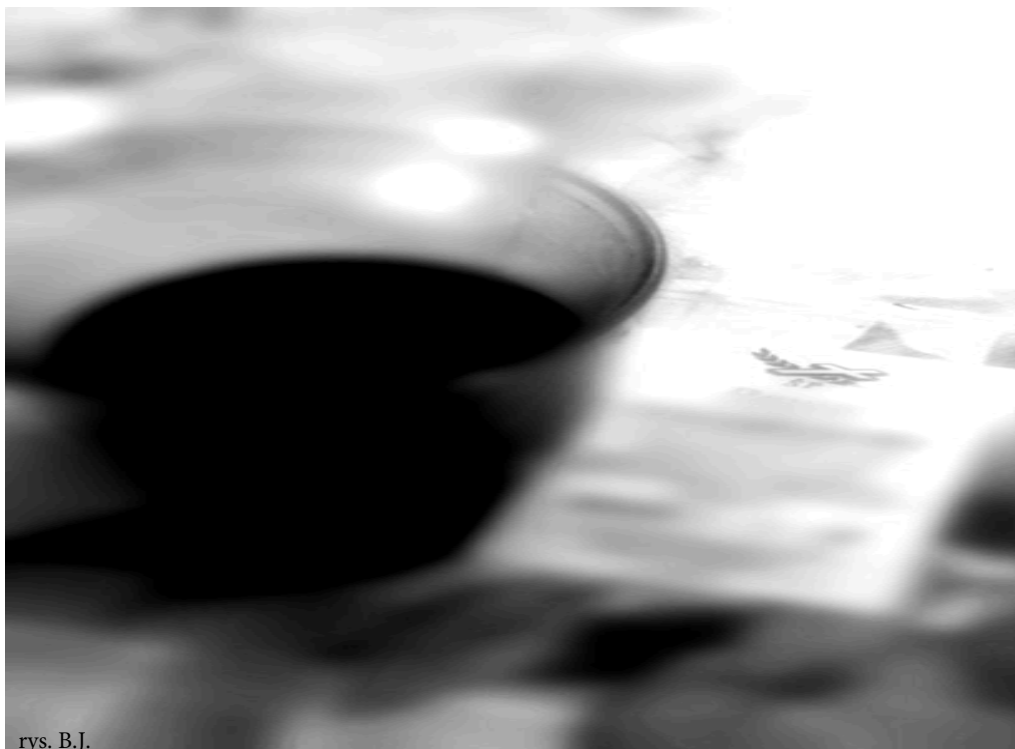


SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**



rys. B.J.

WIZYTA

Bartłomiej Mucha

Przekręciła kluczyk i weszła do mieszkania. Zamknęła się od środka i odłożyła płaszcz na wieszak. Usiadła na pufie w przedpokoju, by zdjąć buty.

Poszła do kuchni i wstawiła czajnik na kuchenkę. Postawiła na stoliku szklankę i wysypała do niej cztery łyżeczki cukru i trzy – mocnej, parzonej kawy. Uwielbiała ją głównie dzięki zapachowi, który od razu rozchodził się po całym mieszkaniu. Po chwili woda zawrzała. Staruszka wyłączyła gaz i nalała do szklanki wrzątku. Pomieszała zawartość kilka razy i poszła do pokoju, by obejrzeć jakiś serial.

Pamiętała, że przed wyjściem z domu, wyłączyła telewizor.. Jeszcze bardziej zdziwiło ją, że leciał któryś z młodzieżowych programów, a takie omijała szerokim łukiem. Duży obrotowy fotel, przywieziony dla niej przez syna, zaczął się obracać.

- Dzień dobry – powiedział siedzący na nim mężczyzna.
- Kim pan jest? – zapytała staruszka, cofając się kilka kroków.
- Jestem tu po to, by ci pomóc – rzekł.

– Nie jestem z panem na ty, poza tym pana nie znam.

– Proszę mi wierzyć, że znasz. Kwestią czasu jest, kiedy zdasz sobie z tego sprawę – oznajmił, po czym uśmiechnął się szeroko.

– Jak pan tu wszedł? Proszę opuścić moje mieszkanie – powiedziała stanowczo.

– Nie wszedłem. Zawsze tu byłem, a poza tym to już nie jest twoje mieszkanie.

– Dzwonię na policję – oznajmiła i poszła do przedpokoju.

Wykręciła numer, lecz nikt się nie zgłaszał.

– To na nic – dobiegł ja głos z głębi pokoju. – Usiądź i porozmawiajmy.

Staruszka odstawiła telefon i wróciła do kuchni.

– Azor, no chodź – mówiła zmienionym tonem głosu. – Gdzie jesteś?

– Szukasz psa? – krzyknął z pokoju mężczyzna. – Jego też nie ma.

Zdesperowana staruszka sięgnęła do torebki po klucz. Wsadziła go do drzwi i spróbowała otworzyć, lecz również bezskutecznie.

– Że niby pomyliłaś kluczyk? Przestań, zastanów się trochę.

Kobieta poszła jeszcze raz do kuchni. Otworzyła stare pudełko po czekoladkach, w którym zawsze trzymała leki. Musiała wziąć coś na uspokojenie, gdyż nigdy nie miała podobnych zwidów. Odsunawszy wieko, ujrzała tylko pusty, lekko pognieciony spód.

– Daj już spokój.

Staruszka zaczęła krzyczeć.

– Poważnie? Nikt cię nie słyszy – tłumaczył nieznajomy.

Kobieta jeszcze przez jakiś czas próbowała dać o sobie znać całej klatce schodowej, lecz to także się nie sprawdziło. W końcu zrezygnowana udała się do pokoju.

– Wreszcie idziesz. Jakbym chciał coś ci zrobić, już dawno wziąłbym się do roboty – rzekł.

– Chyba zwariowałam.

– Może tak, a może nie. Chcesz krakersa? – zapytał, biorąc do ręki kilka z nich.

– Nie lubię. Zresztą skąd je masz?

– Leżały – odparł.

Staruszka usiadła w fotelu, starając się ignorować omamy.

– Rozumiesz już, co się dzieje? – zapytał.

– Nie.

– Rozejrzyj się po pokoju.

Kobieta spojrzała na swoją meblościankę, zapelnioną małymi przedmiotami, które musiała codziennie czyścić. Stare obrazy wisiały na swoich miejscach. Pod jej nogami leżał dywan, który wyniosła jeszcze z domu rodzinnego.

– No i?

– Pies, tabletki, nowe radio, lodówka.

Staruszka wróciła do kuchni i faktycznie stała tam nowusieńka lodówka. Stara była w jej domu od kilkunastu lat i zdążyła już zżółknąć, więc nie mogła ich pomylić. Usiadła na krześle, którego także wcześniej nie było w jej mieszkaniu.

Rozważała dwie możliwości. Wygrała los na loterii i nakupowała rzeczy do mieszkania albo oszalała.

Poszła z powrotem do pokoju, minęła w przejściu dwa razy większe niż poprzednie lustro i metalowy wieszak, który zastąpił jej stary, drewniany.

– Może mnie pan wypuścić albo zadzwonić na pogotowie? Straciłam zmysły.

– Nie ma takiej potrzeby, gdyż zaczynasz już rozumieć. Te zmiany, które pojawiają się na twoich oczach, są prawdziwe. Nie oszalałaś. Po prostu życie toczy się dalej.

– Toczy się dalej po czym?

Mężczyzna spojrzał na nią wymownie, następnie zerknął na telewizor, który zdążył powiększyć się o kilka cali.

Nagle dotarły do nich głosy dobiegające z kuchni.

Kobieta spojrzała pytająco na nieznanego, lecz ten tylko pokiwał głową. Staruszka wstała i ruszyła w ich stronę. Zaczęła zauważać kolejne zmiany. Na wieszaku pojawiły się ubrania, zmienił się kolor ścian. Wymieniono także drzwi wejściowe i te od łazienki. Niektóre rzeczy pozostały takie same, na przykład jej rodzinny obraz i panele, o które szczególnie dbała.

– Trzeba wyrzucić te graty z piwnicy. Wstawimy tam rower dla Kamili – usłyszała kobiecy głos.

Zawahała się przez moment, po czym zajrzała do kuchni. Siedzieli tam mężczyzna i kobieta. Rozmawiali przy filiżance kawy, której świeży zapach uderzył ją w nozdrza.

– Co państwo tu robią? – zapytała.

– I tak go nie lubi – odparł mężczyzna. – Liczę, że w przyszłości jej siostra nie zapomni o pasji tatusia.

– Halo! – zawołała staruszka, ale nadal nikt nie zwrócił na nią uwagi.

– Oni cię nie widzą – powiedział nieznanemu, który nagle pojawił się obok niej. – Chodź do pokoju. Porozmawiajmy na spokojnie.

Usiedli na skórzanej kanapie, skrzypiącej przy każdym ruchu, za to pasującej do aranżacji wnętrza.

– Kim oni są? Co się stało z moimi rzeczami? Kim pan jest? Czemu mnie nie słyszą? Co się dzieje?

– Myślę, że już podejrzewasz. Oczywiście, jest możliwość, że faktycznie oszalałaś, ale uwierz mi, to nie postępuje w taki sposób. Jest jeszcze jedno, bardziej oczywiste wyjaśnienie.

– Czy ja... nie żyję?

Nieznajomy spojrział na nią ze współczuciem.

– Właśnie dlatego tu jestem. Pokazuję ci, co zmienia się wokół ciebie i z jakiego powodu się to dzieje. Gdyby mnie tu nie było, mogłabyś przypisywać to wszystko szaleństwu lub nawet zostać tu na zawsze.

Staruszka wyraźnie posmutniała. Z kuchni nadal dochodziły do niej głosy, głosy żywych.

– Co teraz ze mną będzie? – zapytała.

Do przedpokoju weszła młoda dziewczyna. Otworzyła szeroko drzwi, by zmieścić się w nie dziecięcy wózek.

– Może mi pomożecie? – zawołała. – To w końcu wasze dziecko.

Rodzice wyszli z kuchni i już po chwili zajęli się niemowlakiem.

– Ale też twoja siostrzyczka – skwitowała matka. – Powinnaś dawać jej dobry przykład.

Dziewczyna prychnęła pogardliwie i poszła do łazienki, zostawiając rodziców z małą.

– Teraz możesz wybrać – odparł wreszcie nieznajomy. – To dopiero początek twojej drogi – dodał, patrząc na trzymane przez matkę dziecko.



Z GŁĘBI MORZA

Agnieszka Fulińska

Mała Céline uważnie zbierała małże na odsłoniętych przez odpływ skałach. Wybierała te najładniejsze, które mama łatwo sprzeda na wielkim targu w Bajonnie. Céline lubiła tam jeździć i oglądać wysokie budynki, ozdobne powozy i eleganckich ludzi na nadmorskich promenadach.

Wrzucała do kosza kilka wyjątkowo dorodnych omułek, kiedy z pobliskiej skały do jej uszu dotarł krzyk, a potem charkot. Muszle poleciały do płytkiej wody, ale Céline nie patrzyła na nie. Kosz wysunął się jej z ręki i przewrócił. Część zbiorów rozsypała się po skale, przez co cały wysiłek poszedł na marne. Ale nawet to nie miało teraz znaczenia.

Kilkanaście metrów dalej na jednym z najbardziej wysuniętych w morze cypelków stał wujek Martin, trzymając się rękami za gardło. Wyglądał, jakby się dusił. Pracująca najbliżej zbieraczka rzuciła swój kosz i podbiegła do niego.

Céline poczuła na bosych stopach łaskotanie, jak wtedy, kiedy zaczynał się przyptyw, choć przecież zostało jeszcze kilka godzin. Spojrzała w dół – wokół jej stóp wiły się czarne kształty wydobywające się z muszli wysypanych z kosza. *Jak pijawki*, pomyślała, zanim też zaczęła krzyczeć.

– No, wreszcie przyjechałeś – powitał przyjaciela Félix. – Dziś wieczorem mamy operę, a zakładam, że wcześniej wybierzesz się ze mną do kasyna. Zobaczysz, że tu jest lepiej niż w tych twoich ukochanych górach.

Adam Cardelli rozejrzał się po stacji. Pierwszy raz wybrał się w lipcu nad morze, do czego przyjaciele namawiali go od kilku lat. Zazwyczaj spędzał upalne miesiące u krewnych w Szwajcarii, toteż już widział, że na płaskich Landach będzie mu brakowało górskich szczytów.

W drodze ku powozowi czekającemu na niego i Félixą kupił od zawadiackiego gazeciarza lokalne piśmko. Przyjaciel pokręcił głową.

– Jesteś na wakacjach. Wakacjach, rozumiesz? – Nachylił się i szepnął konfidencko, choć w pobliżu nie było nikogo: – Panna Eugenia też przyjechała.

Adam poczuł leciutki dreszcz. Wzruszył ramionami.

– Przekonałeś mnie już dawno, że to zimna ryba.

Félix o tym nie wiedział, ale Adama przyciągało do pięknej i niedostępnej hrabianki coś zupełnie innego niż zakochanie – wspólnota rodzinnych doświadczeń. Przodkowie obojga niezależnie od siebie zetknęli się ze sprawami, których nie dało się wyjaśnić rozumowo. Skoro Adam odziedziczył po nich dar wyczuwania takich spraw, może ona także?

W powozie słuchał jednym uchem trajkotania Félixą o tym, kto z ważnych person odwiedził w tym roku Biarritz, a kto dopiero się tu wybiera, a także o gwiazdach tutejszego teatru, który w pogodne, ciepłe wieczory dawały przedstawienia na plaży.

Gazetka miała raptem sześć stron i zawierała mnóstwo ogłoszeń krawców, szewców, kapeluszników i producentów akcesoriów kąpielowych oraz informacje o spektaklach i koncertach, ale także dział informacji lokalnych. A w nim krótką notatkę o pogrzebie ofiary wypadku, który wydarzył się kilka dni wcześniej podczas odpływu. Dwójka zbieraczy małży została poparzona przez nieznaną roślinę lub morskie zwierzęta. Mężczyzna zmarł i został pochowany na cmentarzyku w rodzinnej wiosce, a dziesięcioletnia dziewczynka znalazła się pod opieką lekarską. W ostatnich zdaniach dziennikarz dzielił się przerażającymi podejrzeniami o ataku jadowitych meduz lub nowym, nieznanym gatunku wodorostów. Zapewniał jednocześnie, że kuracjom w Biarritz nic nie grozi, ponieważ wypadek wydarzył się w sporej odległości od uzdrowiska.

Adam pstryknął palcem w artykuł, czym przerwał potok słów przyjaciela.

– Widziałeś?

Félix przebiegł wzrokiem po notatce, po czym przewrócił oczami.

– Jak cię znam, będziesz chciał dowiedzieć się czegoś więcej. Zapewniam cię, że w morzu nie ma żadnych parzących stworzeń ani zielska.

W kasynie zagraли, jak zwykle, o drobniaki, a za wygraną Félix – Adam przegrał całe dziesięć franków – wypili kawę w najmodniejszym lokalu, gdzie co rusz musieli się witać z kimś utytułowanym lub sławnym.

Ale kawa nie smakowała – myśli Adama krążyły wokół tego, co oparzyło zbieraczy małży.

– Dlaczego tylko ta dwójka? – zapytał nagle.

Félix spojrział na niego ze zdumieniem.

– Rozumiesz – zaczął wyjaśniać Adam. – Kilkanaście, może nawet kilkadziesiąt osób w jednym miejscu. Jak co dzień, tak? I nagle tylko dwójkę atakuje coś, co się zagnieździło w morzu? Dwójkę, z której umiera dorosły, silny mężczyzna, a dziecko przeżywa?

– Nie odpuszczisz, co? – W głosie przyjaciela nie było nagany, jedynie lekka desperacja.

– Mówiłeś, że to tylko raz, że nie dasz się wciągnąć w policyjną robotę. Weźże stanowisko w jakimś dobrym ministerstwie, ciesz się życiem...

Adam pokręcił głową. Tak, przyjaciel miał rację. Kiedy kilka tygodni temu sędziwy inspektor Vidocq wciągnął go w pomoc przy rozwiązaniu zagadki, która zahaczała o dziwaczne zdolności, Adam na poważnie zakładał, że będzie to jednorazowa współpraca.

Ale tuż przed sezonem letnim Jego Cesarska Mość utworzył nową komórkę w policji i postawił na jej czele właśnie Vidocq'a. Cesarskie biuro do spraw specjalnych.

Kiedy Adam opuszczał pałacyk w Villiers, by udać się na pociąg jadący do Bajonny, dostrzegł na stoliku w holu kopertę z nadrukowaną nazwą i adresem biura. Zignorował ją, bo podejrzewał, co zawierała: propozycję współpracy. Zignorował ją, bo chciał spędzić kilka tygodni w spokoju, wśród przyjaciół, w chłodnej atlantyckiej bryzie, która odganiała czarne myśli.

I pierwszym, co zobaczył, była informacja o dziwnym wypadku.

– ...albo coś, co wypłynęło z zęzy jakiegoś okrętu – mówił tymczasem Félix, a Adam zorientował się, że nie słyszał początku wypowiedzi. – Kto wie, co Anglicy albo Hiszpanie mogli przywlec z kolonii?

– A jeśli to zaraza? – zapytał Adam.

Obu nie było jeszcze na świecie w roku dwudziestym pierwszym, kiedy straszliwa, niezrozumiała choroba nawiedziła Barcelonę i zabiła większość mieszkańców. Obaj jednak znali to wydarzenie z opowieści. Zaraz potem siły burbońskiej Francji stłumiły liberalne powstanie w Hiszpanii i pogrzyły ją na powrót w chaosie. Hiszpanię, z której pochodziła babka Adama. I rodzina Eugenii.

– Błagam – odparł Félix. – Nie zaczynaj o tym opowiadać na spotkaniach towarzyskich.

– Nie wiem, czy będę miał wiele okazji – mruknął Adam.

Félix miał minę, jakby zamierzał ponownie przewrócić oczami, ale powstrzymał się. Zamiast tego spojrzął przyjacielowi prosto w oczy.

– Wierzę, że robisz to, co uważasz za właściwe. Jak wszyscy w twojej rodzinie – powiedział z powagą, po czym mrugnął okiem. – Ale postaraj się skończyć z tym jak najszybciej. A na razie idziemy do teatru. Cokolwiek zaprzęta ci głowę, zaczeka do rana.

Rano Adam zażądał gazet z ostatniego tygodnia, ale nie znalazł wiele więcej. *Journal des Landes* przed czterech dni wspominał raptem jednym zdaniem o wypadku, który najwyraźniej nie odbił się szerszym echem. Po prawdzie Adam miał nadzieję, że tak pozostanie, sensacje dziennikarza od meduz i wodorostów przejdą niezauważone, a Zatoka Gaskońska nie zostanie spustoszona przez zarazę.

W recepcji hotelowej kazał wynająć konia, a kiedy zwierzę przyprowadzono, dosiadł je i szybko skręcił w bok od głównej promenady – nie chciał, by zatrzymał go któryś ze

znajomych. Sprawdził wcześniej na mapie, że Soustons, gdzie pochowano Martina Cassou, leży w odległości około dwóch godzin galopem, ale pozwolił sobie na wyciągnięty kłus pograniczem plaży i lasów sosnowych posadzonych tu przed pół wiekiem. Obserwował wybrzeże – odpływowe, jak w dniu wypadku. Na jednej z wydm, już niedaleko celu, zatrzymał konia, przywiązał go do suchego pniaka i podszedł ku skałom, które w czasie przyływów tworzyły dno morskie.

Pośród ciemnych kamieni dostrzegł niewielkie jeziora, w których odbijały się błękitne niebo i przewalające się po nim chmury. Wśród skał przechadzało się kilkoro ludzi – zbieraczy małży. Jedna z kobiet najwyraźniej dostrzegła eleganckiego przybysza, ponieważ dała znak towarzyszącemu jej chłopcu, wskazując na Adama.

– Matka pytają, czy pan zgubił może drogę – powiedział niepewnie chłopak chwilę później, miętosząc w rękach połatany beret.

– Nie – odparł Adam. – Przyjechałem tu, żeby przyjrzeć się krajobrazowi. I temu, co żyje w morzu – dodał i zawiesił głos. Miał nadzieję, że historia z Soustons jest znana w pobliskich wioskach.

Chłopak jednak patrzył na niego wzrokiem lekko zdziwionym, ale nieznamionującym szczególnego zaciekawienia. Jedno było widoczne: nie spieszyło mu się do powrotu na skały.

– Pokażesz mi małże i inne stworzenia? – zapytał Adam, a wtedy mały skrzywił się lekko, zerkając w stronę matki, która wzięła się pod boki i przyglądała się z daleka scenie. Zauważywszy to, mężczyzna dodał szybko, sięgając do kieszeni: – Masz tu kilka franków, matka będzie zadowolona. Jak się nazywasz?

– Maxime, proszę pana. Maxime Loustau. – Twarz chłopca rozpromieniła się. – Tylko niech pan będzie ostrożny, bo szkoda takie coś w morskiej wodzie zniszczyć. – Wskazał na wysokie buty do konnej jazdy.

Adam zerknął na nogi Maxime'a – miał na nich cienkie słomiane kapcie. Część z tych ludzi pewnie była boso, w takich warunkach nietrudno o skaleczenie... *Nie śmiertelne skaleczenie*, napomniął sam siebie, *nie tak szybko*. Gdyby w ranę wdała się gangrena, Martin Cassou nie zmarłby niemal natychmiast po wypadku. *Chyba że upadł i uderzył się w głowę*, podpowiedziała racjonalna część umysłu. Adam uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, jak wyglądał wypadek. Gazeta wspominała o oparzeniach i tyle.

– To są te małże, które zbieramy. – Maxime pociągnął go za rękaw i podniósł niebieskoczarą muszlę. – A tam dalej... Da pan radę tam przejść? – Chłopak wskazał ręką na cypelek wychodzący dość głęboko w morze. – Tam są jeżowce. W zeszłym roku upadłem

ręką na takiego i spuchła jak bania – dodał z dumą, pokazując, jak wielką miał dłoń. – Przez ponad tydzień nie nadawałem się do pracy.

Jego matka krzyknęła coś po gaskońsku, a chłopak odpowiedział. Adam zrozumiał z tej wymiany zdań tyle, że uspokoił ją w kwestii pieniędzy.

– To się często zdarza? – zapytał, przeskakując po wilgotnych skałach w ślad za znacznie zwinniejszym Maxime'em. – Oparzenie przez jeżowca?

Chłopiec zatrzymał się prawie na końcu cypla.

– To nie oparzenie – powiedział z miną znawcy, wskazując w dół. – To te kolce się wbijają.

Adam przykucnął i przyjrzał się dziwaczny ni to roślinom, ni to zwierzętom przyczepionym do skały tuż pod poziomem wody. Wyciągnął rękę.

– Niech pan tego nie robi – ostrzegł go chłopak. – To naprawdę boli.

Adam dotknął jedynie powierzchni wody. Nie wyczuwał niczego niepokojącego, wręcz przeciwnie – w coraz mocniej grzejącym słońcu dotyk fali był przyjemnie chłodny.

Céline patrzyła na matkę krzątającą się przy palenisku. *Po co ten ogień?*, myślała. *W chacie jest tak strasznie gorąco.* Miała wrażenie, że słońce przebija się przez pokryty strzechą dach, przez ściany i dosięga jej płonącymi palcami. Nic z tego nie rozumiała: zawsze lubiła biegać po nagrzanym piasku, a małże zbierało się lepiej, gdy stopy nie marzły tak bardzo w zimnej wodzie oceanu. Lubiła lato, bo wtedy do pobliskich miast zjeżdżali eleganccy państwo i matka czasem zabierała ją ze sobą na targ w Bajonnie.

Wczoraj był doktor i powiedział, że Céline gorączkuje. Od tamtego wypadku matka szła na zbiór tylko wcześniej rano, a potem wieczorem. Przez większość dnia siedziała przy chorej córce. Céline wiedziała dlaczego. Od kiedy dwóch braci zmarło na duszności, a siostra wyszła za męża, tylko one dwie zostały w domu. Ojca nie pamiętała, podobno dawno temu wypłynął na połów i już nie wrócił.

– Gdzie jest wujek Martin? – zapytała.

Matka spojrzała na nią udręczonym wzrokiem.

– Wujek Martin nie żyje – odparła, a dziewczynka wyczuła w jej głosie niecierpliwość. Tak, pytała o to nieskończoną ilość razy, od kiedy się obudziła. I za każdym razem dostawała tę samą, nieprawdziwą odpowiedź. – Pochowaliśmy go przedwczoraj. Byłaś nieprzytomna, nie mogłaś iść na pogrzeb.

Céline pokręciła głową.

– To nieprawda.

Matka podeszła do niej z kubkiem mleka. Pogłaskała córkę po głowie.

– Wiem, że ci trudno. Wiem, że go bardzo kochałaś.

Tak, brat mamy zastępował jej ojca, ale nie o to chodziło. Kiedy Céline była nieprzytomna, rozmawiała z wujkiem. Nawet teraz wystarczyło zamknąć oczy, żeby go znów zobaczyć. Wtedy na skałach nie upadł, stał wyprostowany, wpatrzony w nią, jakby chciał ją przed czymś ostrzec. I wtedy z muszli wypłynęły pijawki.

Dlaczego mama nie chciała tego zrozumieć?

Matka przez chwilę wpatrywała się w nią wzrokiem, w którym troska mieszała się z udręką. Dlaczego?

Wzrok Céline powędrował tam, gdzie przez chwilę utkwiony był wzrok matki. Ku własnym dłoniom. Omal nie wypuściła kubka z rąk. Palce były czarne jak pijawki.

Matka nie patrzyła na nią. W kącikach jej oczu połyskiwały łzy.

Ona myśli, że umieram, przemknęło przez głowę dziewczynki. Czarne pijawki wiły się wokół kubka, a mimo to trzymała go mocno. *Ona nie wie, że wujek Martin żyje*.

– Chcę iść na cmentarz – oznajmiła.

Odpowiedziało jej rozpaczliwe szlochanie matki.

W tym samym momencie Céline poczuła w głowie ból taki, jakby ktoś wbił jej w czaszkę rozgrzany gwóźdź. Usta same otwarły się do krzyku, ale dziewczynka nie była w stanie wydać żadnego dźwięku. Zza okna dochodziły głosy. Starej Laurine i kogoś, kogo nie znała, a czyja obecność była źródłem tego koszmarnego bólu.

Chwilę później w drzwiach stanął elegancko ubrany młody mężczyzna.

Céline usiłowała krzyczeć. Kubek wypadł z jej dłoni i gorący napar wylał się na prześcieradło. Mężczyzna powiedział coś do matki, która skinęła głową, a on podszedł do łóżka i położył dłoń na czole dziewczynki. Jej oczy eksplodowały czernią. Po wygniecionym materacu pełzły czarne pijawki, wypełniając izbę smrodem i dymem.

Zanim Céline straciła przytomność, zobaczyła wujka Martina wyciągającego do niej opiekuńczo ręce.

– Chyba zwariowałaś – powiedział Félix. – Nikt ci nie pozwoli wyciągać trupa z grobu. Nie w środku lata – dodał, ewidentnie na widok miny przyjaciela. – Nie jesteś naprawdę z policji – spróbował.

Adam wrócił do Biarritz późnym wieczorem. Spóźnił się na raut wydawany przez brytyjskiego ambasadora, a na dodatek przez cały wieczór męczył się z powodu niewyprasowanej koszuli. Był zły, że dał własnemu służącemu wolne, bo liczył na to, że obsługa hotelu zadba o wszystko. Tak, dbała o wszystko, co się jej zleciło, w przeciwieństwie do Jacques'a, który odgadywał życzenia Adama.

– Nie widzę innego wyjścia – odparł, po czym wrócił do sączenia pirenejskiego wina. Raut się już skończył, ale usiedli jeszcze z Félixem w jednej z nadmorskich kawiarenek, by dalej rozkoszować się chłodem późnego wieczoru.

– Nie zatańczyłeś z Eugenią.

– Nie.

– Będzie na ciebie zła.

– Wątpię.

Po prawdzie, zapowiedział się do niej na jutrzejsze *grand déjeuner*. Potrzebował rozmowy, a nie tańca.

– Po co chcesz wykopywać trupy?

– Jednego trupa – uściślił Adam. – Który może nie być trupem.

– Jeśli go pochowano żywcem, to po trzech czy czterech dniach...

– Wiem. Ale muszę sprawdzić. Ta dziewczynka... – Zawiesił głos.

– Ciężko gorączkująca, z tego, co powiedziałaś, z postępującą gangreną. – Félix spoglądał na przyjaciela z niepokojem. – Jak uważasz, że to sprawa dla policji, to ściągnij tu tego Vidocqa...

Adam pokręcił głową.

– To moja sprawa.

– Miał być jeden raz – przypomniał mu przyjaciel.

– Wiem. To jest mój test.

Félix nalał obu więcej wina.

– Za to, żebyś go nie zdał – powiedział, wznosząc kieliszek.

Adam uśmiechnął się blado. Sam nie wiedział, czy chce zdać, czy też nie.

W nocy nie mógł zasnąć, mimo że od ilości wypitego wina szumiło mu przyjemnie w głowie. Usiadł w końcu przy biurku i wyjrzał przez okno na oświetlony księżycową

poświętałą ocean. Miał wrażenie, że nad jego powierzchnię unoszą się ogromne kształty morskich stworzeń, które pokazywał mu Maxime, naigrawając się z niego.

Przed oczami miał poczerwiałe palce Céline. Nie spuchnięte, ale ciemnofioletowe, jak odmrożone i zmartwiałe.

Siedział długo przy jej łóżku, słuchając niezbornej opowieści Justine Hourcade o tym, jak podbiegła do krzyczącej córki, jak tylko kątem oka widziała brata upadającego do wody, a potem – mężczyzn z wioski niosących bezwładne ciało na brzeg. Jak usiłowała uspokoić dziewczynkę, ale Céline tylko wrzeszczała coraz głośniejsze. A później w domu, kiedy była nieprzytomna, jej ręce zaczęły robić się fioletowe i Justine już wiedziała, że właśnie traci trzecie z czworga dzieci, które zdążyła urodzić, zanim mąż wypłynął po raz ostatni w morze.

Céline z początku rzucała się na materacu, ale w końcu uspokoiła się i jakby zasnęła.

Brat, pomyślał Adam. Zapomniał dopytać o Martina, o jego życie. A przecież cokolwiek mu się przydarzyło, musiało mieć związek z chorobą małej. *Melancholia*, podpowiedział rozsądek. Mała też straciła człowieka, do którego była przywiązana. *Ostry przypadek melancholii*, sprecyzował rozsądek.

Adam skreślił liścik do Eugonii, w którym odwoływał wizytę na *grand déjeuner*. Przez chwilę rozważał napisanie też do Félix, ale uznał, że na reprimendę w kwestii rujnowania sobie pozycji towarzyskiej zaczeka do następnego wieczora.

Skoro świt kazał osiodłać konia i pognął galopem ku Soustons.

Céline otworzyła oczy i rozejrzała się po izbie. Matki nie było. Promienie słońca wpadały przez szybę, a stara Laurine chrapała w wyleniałym fotelu, kupionym jeszcze w lepszych dniach, kiedy ojciec wypływał na ryby i nie trzeba było codziennie zbierać małży.

Dziewczynka wiedziała, że staruszka ma mocny sen, ale i tak starała się zachowywać cicho jak myszka, kiedy zakładała sukienkę i niedzielne buciki, a następnie wymykała się z domu. Na jedynej uliczce w ich osadzie nie było nikogo, skierowała się więc szybkim krokiem ku majaczącej na horyzoncie wieży kościoła w Soustons. To tam, na starym cmentarzu, uwięziono wujka Martina.

Omali nie krzyknęła, kiedy tuż pod bramą cmentarza dostrzegła nad sobą cień. Skuliła się z przerażenia. To był ten sam człowiek, który przyjechał do nich wczoraj i nie pozwolił jej uciec w bezpieczne ramiona.

– Dokąd to, moja panno? – Jego głos brzmiał jak zgrzyt metalu o szkło. Céline zasłoniła się rękami. – Nie bój się, chcę ci pomóc wyzdrowieć.

Kuliła się coraz bardziej przed tym wzrokiem i tym głosem. Nagle ziemia wokół niej zafalowała i zaczęły z niej wypelzać czarne pijawki. Céline krzyknęła, kiedy jedna z nich przyczepiła się do jej zmartwiałego palca, ale nie poczuła bólu. Zamknęła oczy i zobaczyła znajomą postać, przyzywającą ją do siebie. To w tamtą stronę pełzły pijawki. Pokażą jej drogę do grobu, a wtedy uwolni wujka Martina i wszystko będzie jak dawniej. Może nawet ojciec wróci wreszcie z połowu. Uniosła garść ziemi pełnej robaków i cisnęła nią w nieznajomego.

Adam ledwie uchylił się przed lecącą w jego kierunku grudą ziemi. Zeskoczył z konia i podniósł ją ostrożnie, jakby była szrapnelem mającym się rozpaść w jego ręce. Była zwykłą grudą ziemi, ale wyczuwał w niej bardzo subtelną obecność, jakby dotyk czegoś brudnego i śmierdzącego. Jakby przez długie tygodnie leżała owinięta w gnijącą szmatę.

Albo w gnijący całun.

Drobna sylwetka Céline znikła właśnie za załomem muru. Adam przeklął swoją nieuwagę i pobiegł za nią.

Znalazł ją przykucniętą przy jednym z nagrobków. Dziewczynka sinymi palcami, z których odpadały płaty martwej skóry, drapała płytę nagrobną, jakby usiłowała ją rozkruszyć lub przemieścić. Na widok Adama przesunęła się, ale nie przestała napierać na kamień.

– Céline.

Podniosła na niego pozbawione wyrazu, półprzymknięte oczy.

– Nie przeszkadzaj mi – syknęła.

To nie był głos dziesięcioletniego dziecka. Przez oczy, sprawiające wrażenie martwych, spoglądało coś innego.

Adam położył rękę na jej ramieniu.

Na chwilę zastygła bez ruchu, potem usiłowała się wyrwać, ale trzymał mocno.

– Nie oddam ci jej – powiedział do tamtego głosu. – Kimkolwiek jesteś.

I wtedy odezwała się całkiem zwyczajnie:

– Wujek Martin żyje. Musimy go uwolnić.

Adam odwrócił ją ku sobie. Patrzyły na niego szarzielone oczy zwykłej dziewczynki. Pod siną, martwą, łuszczącą się skórą widać było różowe ciało.

Pijawki odpełzły do grobu.

Céline patrzyła na swoje ręce, z których spływała czerwona krew. Nieznajomy trzymał ją za ramiona i wpatrywał się w nią z niepokojem. Nie był już przerażający, choć dziewczynka nie przestała się go całkiem bać.

– Posłuchaj mnie, Céline – powiedział przyjemnym głosem, wymawiając słowa tak, jak nauczyciel w szkole, do której chodziła, kiedy miała wolny czas. Albo jak mer Soustons podczas różnych świąt. – Ja też chcę uwolnić twojego wujka. Ale musimy być ostrożni.

Zamrugnęła powiekami. Ostrożni? Wujek Martin jest najmiłszym z ludzi, wszyscy w wiosce go lubią...

– On może być teraz kimś innym, niż był, kiedy go znałaś – powiedział nieznajomy, patrząc jej prosto w oczy. Jak wujek, który miał do niej więcej cierpliwości niż matka i to on zawsze opowiadał jej bajki na dobranoc. – Może być niebezpieczny.

Pokręciła głową. Nie, to niemożliwe.

– Zaprowadzisz mnie na miejsce wypadku? – zapytał nieznajomy i Céline przytaknęła.

Miejsce wyglądało niemal identycznie jak to, w którym Adam rozmawiał wczoraj z Maxime'em. Takie same śliskie skały, tylko zbieraczy było na razie niewielu, bo morze nie cofnęło się jeszcze dostatecznie daleko. Adam rozejrzał się, ale Justine Hourcade nie było nigdzie widać.

– Mama pojechała do Bajonny – powiedziała Céline. – Jeśli sprzeda dużo muli, to będzie mogła zapłacić doktorowi.

Adam poczuł ukłucie winy. Mógł wczoraj zostawić nieszczęsnej kobiecie kilka franków na najważniejsze wydatki.

– Gdzie jest to miejsce?

– Jest tam. – Wskazała ręką na obszar, w którym woda sięgnęłaby jej zapewne powyżej pasa.

Adam wziął dziecko na ręce i wszedł do wody. Najwyżej kupi nowe buty do konnej jazdy.

Szybko przekonał się, że to nie był dobry pomysł. Skały były zdradliwie śliskie, a Céline swoje ważyła. Zawrócił te parę kroków i postawił dziewczynkę na piasku.

– Krzycz do mnie, jeśli pójdę w złym kierunku – powiedział i ruszył z powrotem.

Céline raz czy drugi zawołała do niego z brzegu, a potem – nagle poczuł, że nie potrzebuje wskazówek. Uderzenie – smrodu? obecności? – było tak mocne, że ledwie ustał na nogach. Świat wokół rozpadł się, a woda zaroila się od kształtów przypominających czarne robaki usiłujące przyczepić się do skóry, wciągnąć Adama pod wodę. Naprzeciwko niego stał mężczyzna, na którego twarzy malowało się przerażenie. Uniósł ręce ku szyi i zaczął przeraźliwie krzyczeć.

Adam zamknął oczy i obraz zniknął. Pijawki rozpadły się w proch. Tylko krzyk nie ustał. Stojąca na brzegu Céline wtórowała krzykowi Martina Cassou.

Adam nie wrócił na noc do Biarritz. Nie wysłał nawet telegramu, choć w Soustons była poczta, z której dałoby się to zrobić. Siedział nad prostym obiadem w miejscowym *cabaret* i wyobrażał sobie swoją towarzyską opinię rozsypującą się w proch. Usiłował też wymyślić, co na jego miejscu zrobiłby inspektor Vidocq.

Działałby.

Adam wstał zza stołu, rzucił na blat kilka franków, dał znak kelnerowi, że nie chce reszty i ruszył z powrotem do domu pani Hourcade. Miał nadzieję, że wróciła już z Bajonny.

– Tak, brat mieszkał zazwyczaj z nami – powiedziała. – Choć nocował głównie tam. – Wskazała na kamienną szopę po drugiej stronie podwórka. – Był trochę samotnikiem, marzycielem, czasem wręcz mrukiem, ale nie miał wrogów. Lubił książki i opowiadał niestworzone historie dzieciakom. Wszystkim, mój mąż utonął zaraz po urodzeniu Céline.

Wpuściła go do szopy. Nieduże wnętrze było schludnie umeblowane, na półkach stało kilka tanich powieści. Adam odruchowo przetrząsnął je, bez większej nadziei na znalezienie czegokolwiek, co mogłoby się łączyć z zagadką. Toteż położyła kartka, która wypadła pomiędzy stronic, zaskoczyła go.

Był to list.

Martin, uwierz mi, tym razem jestem pewny, że zdołam to wyciągnąć. To musi być skarb zgubiony przez Anglików, kiedy przewozili te wszystkie dziwowiska z Egiptu. Mój ojciec widział, jak zatonął jeden z takich statków. Wiem, gdzie to jest. Jeśli nie chcesz płynąć ze mną, twoja sprawa. Ale zobaczysz, że jeszcze mi pogratulujesz. Justine będzie miała suknie jak ta dama, a dzieciaki pójdą do szkół jak się patrzy. Jean

– Co to jest? – Za Adamem bezszelestnie pojawiła się Céline. Była blada, ale wyglądała zdrowo. Na plaży przestała krzyczeć, kiedy tylko Adam do niej podbiegł. Mówiła, że kiedy przykucnął, miała wrażenie, że znów widzi wujka wpadającego do wody.

– Muszę porozmawiać z twoją matką – odpowiedział odruchowo, po czym uzmysłowił coś sobie. – Nie, muszę porozmawiać z twoim wujkiem.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– On żyje, prawda?

– Nie wiem – odparł Adam.

Przekupienie grabarza okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał. Adam nakłamał, że jest z biura policji, włożył mężczyźnie, który już teraz średnio trzymał się na nogach, zwitek banknotów do kieszeni i czekał, aż ten odsunie płytę. Następnie wcisnął mu do ręki butelkę wina i posłał do wszystkich diabłów, byle daleko. Po czym pochylił się z latarnią nad dziurą w ziemi.

Grób był pusty. W dole leżały jedynie zbutwiałe deski, jakby trumna spoczywała tu od lat. Adam zaklął pod nosem.

Za sobą usłyszał kroki. Znał ten odgłos.

– To nie tu – szepnęła Céline. – One sobie już poszły.

– One?

– Pijawki. – Dziewczynka spojrzała badawczo na swoje ręce.

Czarne palce, czarne kształty w wodzie. Co uwolnił ojciec Céline? Na co trafił przypadkiem – a może nie? – jego szwagier?

– Czy wujek opowiadał ci kiedykolwiek o skarbie na dnie morza?

Dziewczynka zmarszczyła brwi.

– Skąd pan wie?

– Zgadłem – mruknął Adam.

– Opowiadał, że tato popłynął daleko, daleko, szukać skarbów zatopionych przez angielskich piratów podczas wojny. I że kiedyś wróci bardzo bogaty, a my będziemy żyć jak wielcy państwo. – Obrzuciła Adama krytycznym wzrokiem. – Jak pan, za przeproszeniem.

Adam roześmiał się.

– Czy tatę i wujka zjadły pijawki za to, że chcieli zabrać skarb piratów? – W jej oczach groza mieszała się z ciekawością.

– Może.

– Szkoda – westchnęła. – Wujek był dobrym człowiekiem.

Adam przypomniał sobie mężczyznę chwytającego się za gardło i patrzącego w jego stronę przerażonym wzrokiem. Nagle zrozumiał, co się wtedy stało.

– Tak, był dobrym człowiekiem – powtórzył. – Chciał cię za wszelką cenę ocalić.

Spojrzał na jej dłonie, których różowa skóra upstrzona była ciemniejszymi plamami i liniami, jakby to coś, co wypełzło z morza, nie do końca się od niej oderwało. *Mam nadzieję, że mu się udało*, pomyślał. *Czymkolwiek była ta klątwa albo to wezwanie, było skierowane do was obojga. I wcale nie mam pewności, że zostało unicestwione*. W kieszeni wymacał ukrytą w skórzanej sakiewce grudę ziemi, którą wcześniej rzuciła w niego opętana Céline. Ziemi pełnej pijawek, jak mu potem powiedziała.

– Biegnij do domu – powiedział. – Matka będzie się niepokoić.

– Powiem, że byłam u starej Laurine. – Dziewczynka mrugnęła do niego łobuzersko.

Adam nie chciał widzieć tej pustki, która wciąż czaiła się na dnie jej oczu.

Wracał do Biarritz jeszcze nocą, jakby nie chciał pozostawać dłużej w tym miasteczku. Pomacał kieszeń. Oprócz grudy ziemi była w niej kartka, którą znalazł w szopie Martina Cassou. Céline słabo umiała czytać i uwierzyła mu na słowo, kiedy powiedział, że to tylko nieważny dokument. Przed oczami miał wciąż odwrotną stronę listu, na której brat Justine Hourcade skreślił kilka słów drżącą ręką: *Wczoraj morze wyrzuciło na brzeg ciało Jeana. Nie potrafię powiedzieć Justine. Nie po tylu latach. Wyglądał prawie jak żywy, ponoć tak czasem bywa z topielcami w morzu, ale kiedy zakopywałem zwłoki pod lasem, ciało rozpadło się i miałem wrażenie, że wypływają z niego czarne pijawki opite jego przegniłą krwią. Popłynęły w stronę morza. Modłę się do wszystkich świętych, żeby to mi się tylko przywidziało*. Pod notatką widniała data. Sprzed mniej więcej trzech lat.

Adam położył się spać w ubraniu, a rano zbudził go głos Félix'a.

– Gdzieś ty się włóczył? Jesteś cały w błocie.

– Miałem rację. To nie był po prostu wypadek.

– Morderstwo? – zapytał przyjaciel. – Czy czarna magia?

– Raczej to drugie – odparł Adam z powagą.

Félix roześmiał się.

– Opowiedz to damom w towarzystwie, będą zachwycone. Tylko najpierw wykąp się porządnie, załóż świeże ubranie i chodź ze mną.

Przez następny kwadrans Adam obserwował przyjaciela krzątającego się po apartamencie i komenderującego służbą. Gorąca kąpiel mimo upału, szorstki ręcznik, pachnące mydło i woda kolońska, a na koniec wykrochmalona koszula i czysty surdut – wszystko to nie było w stanie odegnąć wspomnień wizji i zdarzeń ostatnich dni.

– Rozchmurz się – powiedział Félix, wciskając mu do rąk cylinder i laskę. – Jemy śniadanie w doborowym towarzystwie.

Ich wejście do kawiarni spowodowało nie lada zamieszanie, mimo że obaj byli nienagannie ubrani. Oczy wszystkich skierowały się na hrabiankę Eugenię, która na widok Adama cofnęła się z krzesłem aż pod ścianę.

Skonfundowany, Adam zerknął na swoje ubranie i buty.

– Przepraszam – szepnęła Eugenia, wstając i pozwalając kelnerowi przysunąć z powrotem krzesło. Adam poczuł zapach fiołków, jej znak rozpoznawczy. Wyciągnęła do niego dłoń, więc ujął ją i podniósł do ust. *Jest zaręczona*, napomniął sam siebie. *Z moim przyjacielem, z cesarskim kuzynem.* – Monsieur Adam, proszę mi wybaczyć. Miałam wrażenie...

Ich oczy się spotkały. Potaknęła.

– To był tylko cień – powiedziała, kiedy całe towarzystwo wyszło na promenadę i Adam zaproponował jej ramię pod nieobecność narzeczonego. – Ale kiedy weszliście, zobaczyłam to z przerażającą wyrazistością.

Adam wpatrywał się w nią z napięciem.

– Ten cień – ciągnęła – przez chwilę unosił się nad panem, ale potem otoczył Félix.

To było zaskoczenie. Adam przystanął w pół kroku i dopiero po chwili wymamrotał przeprosiny. Eugenia puściła jego ramię i przysiadła na ławce.

– Pan wie, co to mogło być? Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam. A pańska rodzina... – Zawiesiła głos.

– Mademoiselle zapewne też jest wyczulona na pewne sprawy, które... – zawahał się, nie wiedząc, jak to zgrabnie ująć – ...wymykają się rozumowi.

Patrzyła na niego poważnym wzrokiem ciemnych oczu.

– Niech pan go pilnuje. Félix.

Adam zadrżał. Czyżby przez pomoc tamtym ludziom sam zaraził się tym czymś, co prawdopodobnie obudził na dnie morza ojciec Céline? Czy skoro najwyraźniej nie potrafiło przylgnąć do niego, przeniosło się na jego przyjaciela?

Spojrzał na Félixą pogrążonego w rozmowie z mężczyzną, którego na raucie przedstawiono mu jako obiecującego pisarza, choć nazwiska nie zapamiętał. Nic nie zdradzało obecności upiornych pijawek. Ale skąd miał wiedzieć, jak długo trwa zarażenie, zanim się ujawni? Martin Cassou znalazł ciało szwagra trzy lata temu.

– Oczywiście, że będę go pilnował.

A póki co pojedę do Neapolu i postaram się wydobyć z matki i ojca wszystko, co wiedzą o tym, co prześladowało moją rodzinę.

Eugenia lekko dotknęła jego dłoni palcami w delikatnej koronkowej rękawiczce.

– Da pan radę – powiedziała. – Zdał pan swój test.

Adam spojrzał na nią pytająco, ale ona tylko uśmiechnęła się tajemniczo.

Stał na brzegu morza, na samym końcu promenady, wpatrując się w ciemne fale i wielką kulę słońca chylącego się już ku zachodowi. W rękę obracał zamkniętą w sakiewce grudę ziemi. Z początku zamierzał cisnąć ją do wody, ale rozmyślił się – kto wie, czy wtedy to, co było w niej zamknięte, nie ożyłoby. Po długim namyśle schował ją z powrotem do kieszeni. Zawiezie ją inspektorowi do spraw specjalnych, niech on zadecyduje, co z tym zrobić.

Wrócił do apartamentu i wyciągnął metalową skrzyneczkę, w której trzymał przybory do pisania. Przełożył je do skórzanego portfela, po czym wezwał chłopca hotelowego i zażądał papieru do pakowania. Pół godziny później zostawił w recepcji przesyłkę zaadresowaną do Vidocqą, otrzepał surdut i ruszył z powrotem w kierunku promenady.

– Mam nadzieję, że załatwiłeś już wszystkie sprawy – szepnął Félix, kiedy Adam usiadł koło niego. Na nadmorskiej scenie aktorzy przygotowywali się do występu przy świetle gwiazd, a kameralna orkiestra grała leniwego walca. – I od dziś będziesz się jedynie wywczasował. Oprócz zimnej ryby są tu też bardziej towarzyskie damy. I nie tylko damy. – Mrugnął porozumiewawczo.

Adam pochwycił spojrzenie Eugenie, siedzącej po drugiej stronie amfiteatru. Skinął ledwie zauważalnie głową.

– Nie martw się – powiedział do przyjaciela, wpatrując się w niego, jakby chciał na własne oczy zobaczyć tę mroczną aurę. – Nie odstąpię cię na krok do końca lata.

– W kwestii dam, nie dam – szepnął Félix. – Zobacz tę dziewczynę.

Na scenie pojawiła się bardzo ładna aktorka i Adam już miał pochwalić gust przyjaciela, kiedy zakręciło mu się w głowie. Przez sekundę miał wrażenie, że widzi na rękach Félix'a czarne pijawki, złudzenie jednak szybko minęło.

– Myślę, że po tym sezonie zrobi karierę w Paryżu – ciągnął Félix. – Mademoiselle Rachel z niej nie będzie, ale urodą bije na głowę wszystkie paryskie aktorki i tancerki.

– Wybacz, jestem chyba nadal niewyspany – mruknął Adam. – No tak, bardzo ładna.

Céline Hourcade nie mogła zasnąć. Pijawki znikły, palce goiły się, ale dziewczynka nadal nie była w stanie uwierzyć w zapewnienia pana Cardellego, matki i innych, że wujek Martin jednak nie żyje.

– Wróci, razem z tatą i skarbem – oznajmiła matce przy kolacji. – I będziemy żyć jak wielcy państwo.

– Bzdury gadasz – burknęła Justine Hourcade. – A ten pan z miasta tylko ci bardziej w głowie namieszał. Ale nie powiem, ładnie zrobił, że doktora opłacił.

Céline miała już gotową odpowiedź, kiedy poczuła nagły ból w głowie. Zamknęła oczy i zobaczyła piękną kobietę w dziwacznym stroju jak z obrazów, które widziała w kościele, wpatrzoną w nią w napięciu. Spomiędzy fałdów jej sukni wypęły czarne pijawki i sunęły przez powietrze ku dziewczynce. Nie, nie ku niej. Ku komuś, kogo nie widziała.

Céline chwyciła się za głowę i zaczęła przeraźliwie krzyczeć.



ZEW

Dariusz Bednarczyk

Obudziłem się. Z zewnątrz dochodziło zaskakujące, skrofuliczne ciamkanie, nosowe sapanie, gulgot, międlenie napęczniałej galaretowatej masy, kwik zarzynanych, tupot, wycie. Coś ocierało o mój namiot, przysiadało na progu, co i rusz przebiegało tuż obok z obrzydliwym jękiem, charkotliwym, niemal bluźnierczym chlupotem przechodzącym w gardłowy poświst zanurzenia, wprost z odmętów, ze studni jaźni, jakby uwiązane w grobowcu pradawności.

Bałem się poruszyć, swobodnie odetchnąć, na cał poprawić, choćby osłonić tarczą z wypchanego plecaka. Jedyne, na co się zdobyłem, to bezwiedne przyzwolenie prawej dłoni na spotkanie z obojętną gładzią noża leżącego obok samo napełniającej maty. Nie potrafię

zgadnąć, która była godzina. W tym przedmiocie trwałem kompletnie nieświadomy. Nie odważyłem się użyć podświetlacza tarczy zegarka, ekranu telefonu, a już latarki... Pssst...

Noc osaczała niepojętą kakofonią. W ciemnościach trwało karczowanie ciszy, rugowanie pierwiastków racjonalnych, gorączka trzepoczących myśli, a niemal upojne mlaskanie przywodziło tajemne, urywane wspomnienia, wskrzeszało runiczne mity, toczyło obezwładniającą pianę władczej dominacji.

Coś zapamiętałe różnicowało fakturę, zderzało skrajne rejestry, prowadziło do rozszczepienia. Warkot, maltretowanie interwałów, charkotliwe burczenie.

Trwało rozrywanie żywej tkanki, siorbanie płynów umęczonych, wywlekanie opornych, poświęcanie na przedwiecznych ołtarzach. Upust tłumionego, euforia długo oczekiwanej bezkarności, jatka.

Pomimo markowego śpiwora drżałem z zimna. Mózg jak komputer na haju, albo niczym na superszybkim procesorze wykradzionym z NASA, podsuwał coraz to nowe obrazy wypadków mogących zachodzić w czarnej otchłani nocy. Oby tylko... Znowu coś przysiadło tuż na progu. Przecież broniła mnie zaledwie cienka powłoka dobrze napiętego materiału... Leżałem zmartwiałym, w całkowitym bezruchu, zdany na pastwę obezwładniającego strachu oraz kwasu mlekowego powoli wypełniającego skurczone mięśnie. Plecami z szybkością impulsu elektromagnetycznego przebiegały ciarki, krótkie spięcia, wyładowania parzonych we wrzątku komórek nerwowych. Dopiero w tamtej chwili dotarł do mnie sens powszechnie przywoływanego powiedzenia: „włosy stanęły na głowie dęba”. Dotąd przedmiotowe powiedzenie traktowałem z przymrużeniem oka, jako stanowczo nadużywane przy byle okazji. W tamtej chwili, kiedy pobudzone włoski podrażniały nawet moje nagle wysuszone przegrody nosowe, wyświechtane określenie nabrało całkiem realnego znaczenia. Mózg stymulowany upiornymi odgłosami jak oszalały podsuwał coraz to nowe obrazy wydarzeń mogących rozgrywać się pod ochroną otchłani nocy.

Dochodząca z zewnątrz orgia nie milkła ani na chwilę, odnosiłem wręcz nieodparte wrażenie jej eskalacji. Dobiegające ze wszystkich stron, a zatem artykułowane w ciągłym ruchu dźwięki sprawiały wrażenie koncentrycznego okrążania, znamionującego szaleńczą wręcz energię. Ani wyjść, ani poruszyć, ani drgnąć. Czułem się kompletnie osaczony, normalnie jak w jakiejś matni.

Oby tylko... Leżałem niczym w sarkofagu, zupełnie oderwany od czasu prześlizgującego się pomiędzy kolejnymi oddechami. *Poza murem snu* – to chyba jakiś tytuł? – zatrzepotało gdzieś w zakamarku neuronów pytanie zaskakująco błyskotliwe jak na okoliczności.

Utrzymujący się lęk pospołu z jakże usprawiedliwionym znużeniem z wolna spowodowały narastające otępienie zmysłów, zatarcie granicy jawy i snu, powolny spadek napięcia. Wrzaski, ryki, chrupkające ciamkanie, od czasu do czasu coś jak szept wskrzeszonego demona powoli się oddalały, odpływały w kosmatą czapę nocy. Wreszcie ucichły nękane nieuchronnością świtu. Dopiero wówczas zapadłem w uspokajającą otulinę karmiącego snu.

Obudziwszy się, od razu przypomniałem sobie nocne wypadki. Nie bez obaw wyjrzałem na zewnątrz. Nic, wszystko w najlepszym porządku. Radosnymi trelami ptaków trwał niczym niezmacony letni poranek. Puściły obcęgi bojaźni. Czym prędzej wygramoliłem z namiotu. Objąwszy kunktatorsko wzrokiem najbliższe otoczenie, nie stwierdziłem niczego, co mogłoby świadczyć o nocnym zagrożeniu.

Wolno, wolniutko obszedłem napięty prostokąt namiotu. Żadnych śladów, wgnieceń, szczątków. Równo przyszyżona trawa, niemy świadek nocnego koszmaru, nie dawała żadnych wskazówek. Brak jakichkolwiek wydzielin, zero, choćby wyrwanych kępek darni. Rozejrzałem się uważnie wokoło. Camping właśnie budził się do życia. Co prawda, jak zwykle wybrałem położone na uboczu, zaciszne miejsce, jednak rozpościerał się stamtąd doskonały podgląd. Psy rutynowo obchodziły wszystkie zaprzyjaźnione drzewka, zaaferowane mamusie, podobnie jak stateczne matrony, zgodnie podążały w kierunku miejscowego sklepiku, zaś dzieci tradycyjnie okupowały kolorowy placik zabaw.

– A może by tak zapytać kogoś? – Jak kielkujący na wiosnę żołądz zaświtała pierwsza myśl. – Nie, są zbyt daleko. – Trafnie oceniłem odległość dzielącą od sektorów rodzinnych.

– Młodzi? – Skierowałem się w stronę polaci zajmowanej przez młodzież. Liczba flaszek, pustych skrzynek z logo miejscowego browaru, butelek po napojach oraz zgniecionych opakowań z najbliższej pizzerii porozrzucanych wokół namiotów stanowczo ostudziła moje zapędy. Oni mieli w głowach wyłącznie jedno. No, może dwa, skonstatowałem w duchu, przechodząc obok sterty świeżych śmieci, których jawili się niewątpliwymi producentami...

Tak więc pozostawałem zupełnie sam ze swoją przyprawiającą o dreszcze tajemnicą. Nikt nie miał o tym pojęcia, nikogo też pewnie to nie obchodziło.

Podszedłem do ogrodzenia i objąłem wzrokiem najbliższą okolicę. Camping usytuowano na głębokich peryferiach nadmorskiego wczasowiska, z dala od tętniącego życiem centrum. Z prawej strony rozpościerał się cienisty, podmokły las, przez który wytyczono alejki prowadzące prosto na plażę. W wietrzne dni dochodził stamtąd huk przyboju niczym tchnienie nieogarnionego... Po lewej piętrzyły się morenowe wzgórza

upstrzone dziko pleniącą krzaczyną, dostępu do których bronił labirynt głębokich parowów gęsto zadrzewionych i porośniętych kolczastą jeżyną. Wśród wzgórz z rzadka piętrzyły się pojedyncze zabudowania chłopskie, bez wyjątku, prawdopodobnie z powodu lichej ziemi, zaniedbane i podupadłe. Niektóre z nich szczyrzyły szczyrbami ruin na znak opuszczenia. Nigdzie nie spostrzegłem sylwetek pasącego się bydła, brak było również jakichkolwiek oznak aktywności ludzkiej na nielicznych poletkach. Dystans uniemożliwiał rozpoznanie stopnia ich zagospodarowania.

Rankiem zerwałem się z mocnym postanowieniem niezwłocznego opuszczenia nieszczęsnego miejsca. Ogarniał mnie niepokój na samo wspomnienie wypadków minionej nocy. Jednak w świetle dnia uspokojony prozaiczną krzątanią wakacjuszy przy ich namiotach, samochodach tudzież kamperach, heroicznie – bo wbrew sobie – podjąłem się rozwikłania zagadki. Obawa, lęk i trwoga ustąpiły zaintrygowaniu. Nie mogłem przecież tego tak zostawić. Poza tym coś nieodparcie przyciągało mnie do tej sprawy, po raz pierwszy w życiu moje myśli z taką dziwną intensywnością nieustannie krążyły wokół zagadnienia, którym, w przedmiotowym przypadku, jawił się przerażający i jednocześnie zagadkowy spektakl minionej nocy. Z pewnością musiało chodzić o coś więcej, niżli zaledwie o chęć uzyskania banalnej odpowiedzi. Nawet podczas plażowania zagadka tajemnych, nocnych odgłosów nie dawała spokoju. Wciąż zerkałem na zegarek, zamiast na dziewczyny w bikini.

Obudził mnie krótki, jakby ostrzegawczy kwik. Coś pędziło niedaleko z ohydny gulgotem... Zawróciło, okrążyło mój namiot z gniewnym, przenikniętym obłędem fukaniem. Jakby nabierało rozmachu. Kwik i ponowny tupot wybuchły w jednej chwili, zapoczątkowując pandemonium bluźnierstwa. Wycie, ciamkanie, gardłowy gulgot naprzemiennie z ohydny, przerażającym kwikiem obdzieranego ze skóry torturowanego ciała. Bulgotliwe rżenie wprost z odmętów. Drżałem. Podkurczywszy nogi, oparty o wypchany plecak, hańbiąco porzuciłem wszelkie wcześniejsze, jakże ambitne plany. Coś, sapiąc, ocierało się o namiot. Diabelskie kwiczenie o wysokich tonach niczym wiertłem wwiercało się w zwoje spanikowanego mózgu. Naprawdę nie byłem w stanie przedsięwziąć żadnych kroków. Oby tylko wytrzymał namiot! A jeśli *coś* przedziurawi płótno jednym zadzierzgnięciem żółtawych klów? Żałowałem pochopnej decyzji podjętej rankiem, należało spakować się, byłbym już daleko... *Czy wytrzymam, ile do świtu, kurde?* – te i podobne myśli jak oszalałe wciąż tłukły się po zmaltretowanym garnku głowy.

Obudziłem się z uporczywym bólem w karku. Dniało. Z oddali dochodziła odwieczna mantra fal. Noc spędziłem na siedząco, oparty o plecak, z głową opadniętą na piersi. Wypiłem łyk mineralnej i zdecydowanie wsunąłem się w miękkuchną mumię śpiwora.

Wstałem koło południa. Chwyciłem batona i wylazłem na zewnątrz. Nic. Znowu nic, żadnych śladów. Tym razem postanowiłem być aptekarsko dokładny. Obszedłem, uważnie przepatrując każdą piędź ziemi wokół prężącego mięśnie naciągu namiotu. Podobnie, jak zeszłej nocy, rzucał się w oczy brak jakichkolwiek dowodów nocnych szarży. Niczym wytrawny tropiciel, zataczając coraz większe kręgi, na próżno obszedłem spory areal trawnika. Żadnych znamion przeżytego koszmaru. Jak on to robił? Wyraźnie słyszałem mlaskanie, obleśne dziamdzianie, chrupot, wręcz zbrodnicze odgłosy... kanibalizmu! Ale gdzie ślady? Jakież resztki, pozostałości?

Z nosem niemal przy ziemi doszedłem w okolice młodzieżowego sektora. Oprócz stert pustych butelek oraz bez wyjątku porozrywanych worków na śmieci nie natknąłem się na nic, co mogłoby stanowić wyraźny dowód. Stałem bezradnie. Dziwny impuls skierował mnie w stronę siatki ogrodzenia, dokładnie w miejsce, gdzie na dole szczyrzyła się średnich rozmiarów dziura. Podniosłem wzrok. Zza ciemnego, bagnistego lasu dobiegał głuchy grzmot przyboju. Wiatr, jęcząc, rwał na sztuki chmury gnające w kierunku wzgórz, nabrzmiałe granatem i ciężką czernią.

Obróciłem się. Wzgórza stały w głębokim cieniu. Zieleń traw zamieniła się w posępny, maskujący kolor feldgrau, który z mojej perspektywy sprawiał wrażenie szlamu. Coś kłębiło się nad jednym z parowów. Sięgnąłem po lornetkę. Stada krukowatych obsiadające okoliczne drzewa, co i rusz podrywające się ponad ich konarami do lotu, by po chwili ponownie przycupnąć na gałęziach. Wydawało się, jakby szlam, który pod wpływem głębokiego cienia ogarnął całą przestrzeń wzgórz i parowów, powoli pełzał w naszą stronę. Oderwałem lornetkę od oczu, bowiem wrażenie było sugestywnie przygnębiające. Miałem rację, wkrótce rozbłysło słońce i zieleń odzyskała swój optymizm. Zawróciłem.

W miasteczku bawiłem się znakomicie. Gwar i ciżba beztroskich wczasowiczów. Ciepły posiłek, dobra kawa, zimne piwo, rozsądne sprawunki przywróciły należytą pogodę ducha. Nad morze iść nie było sensu z uwagi na wiatrzysko zaskakująco zimne jak na tę porę roku. Jeszcze ten przejmujący wizg, niemal antropomorficzne zawodzenie.

Gdzieś tak w okolicy kolacji postanowiłem ostatecznie rozwikłać tajemnicę. Dziarsko zabrałem do przygotowań. Nóż, latarka, zegarek, telefon, gaz pieprzowy. Co by tu jeszcze...? Aha, w chaszczach ułamałem porządny kij. Przysłowiowego drąga.

Pomimo wcześniejszego optymizmu im bliżej do wieczora, tym większy odczuwałem niepokój. Kolacja jakoś nie chciała przejść przez gardło. Cykor pełną gębą.

Na noc postanowiłem się nie rozbierać. Buty ustawiłem w gotowości tuż obok wezgłowia pospołu ze zgromadzonym „oprzyrządowaniem”.

Warto byłoby przysnąć, wszak zapowiada się kolejna bezsenna nocka, pomyślałem praktycznie. Walnąłem więc piwko i wsunąłem się w wygodny śpiwór.

Dobrze znany kwik rozdarł otulinę drzemki jak ostry nóż miękką tkanę ciała. Charkot, gulgot, wizg, obleśne gardłowe frumkanie, wszystkie te przeraźliwe odgłosy – jak poprzednio, odrażająco – osaczały kakofonią sprośną, wręcz nieprzyzwoitą swą niepojętą archaicznością. Zadrzałem. Jak tu się nie bać? Uwięziony pod kaskadą szalonych ryków, zawzięcie próbowałem się przełamać. Teraz wiedziałem, że koszmar dopiero się rozpoczynał. Bluźnierczy chaos nabierał rozmachu. Coś okrążało, zbliżało się z furią, rykiem, groźbą zawartą w nieokiełznanym. Dostałem skurczu łydek, który z trudem próbowałem opanować. Panika. Strach. Tajemny przybysz czekał cały dzień, by wrócić w to samo miejsce. O co chodzi? Dlaczego tylko do mnie? Zalała mnie fala gulgotu, obraźliwego chrumkania i gróźb. Diabelski, niejako sapliwy, że pozwolę sobie zastosować neologizmy, kwik narastał, wwiercając się w czaszkę, bębenki, napięte postronki nerwów. Neeee!!! Nie wytrzymam trzeciej nocy! W desperackim odruchu zapaliłem latarkę i poprzez brezent namiotu skierowałem się w stronę, z której właśnie dolatywały upiorne dźwięki. Przycichło, by po paru sekundach na nowo rozgorzeć opętańczą grozą ryków. Szybko wzułem buty, chwyciłem nóż, latarkę oraz sękaty kij i bez zawahania wyskoczyłem na zewnątrz. Teraz albo nigdy!

W powietrzu wciąż wirował opętańczy ryk, kiedy oświetliłem trawnik. Nagle zapadła cisza. Natychmiast skierowałem snop światła w miejsce, z którego jeszcze przed chwilą rozlegał potępieńczy, odrażający w swej dzikiej pierwotności motyw. Wówczas go ujrzałem.

PARTNERZY





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

